

MRO CZNA
SERIA

MARIUSZ
CZUBAJ

**zanim
znowu
zabiję**



Wydawnictwo
WAB

Mariusz Czubaj

ZANIM ZNOWU ZABI-
JĘ



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2012

Wydanie I

Warszawa 2012

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o. o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

- [Motto](#)
- [Prolog](#)
- [CZĘŚĆ PIERWSZA](#)
 - [1](#)
 - [2](#)
 - [3](#)
 - [4](#)
 - [5](#)
 - [6](#)
 - [7](#)
 - [8](#)
 - [9](#)
 - [10](#)
 - [11](#)
 - [12](#)
 - [13](#)
 - [14](#)
- [CZĘŚĆ DRUGA](#)
 - [15](#)

- [16](#)
- [17](#)
- [18](#)
- [19](#)
- [20](#)
- [21](#)
- [22](#)
- [23](#)
- [24](#)
- [25](#)
- [26](#)
- [27](#)
- [28](#)
- [DOGRYWKA – PIERWSZA POŁOWA](#)
 - [29](#)
 - [30](#)
- [DOGRYWKA – DRUGA POŁOWA](#)
 - [31](#)
 - [32](#)
- [Od autora](#)
- [Kolofon](#)
- [Przypisy](#)

Największą siłę na tym świecie stanowi przynęta

Jean-Henri Fabre, *Z życia owadów*

Pleased to meet you

Hope you guess my name

The Rolling Stones, *Sympathy for the Devil*

Prolog

Usłyszał kroki, ocknął się z letargu. Wiedział, że znów jest blisko. Przez chwilę, która wydłużała się w nieskończoność, nic się nie działo. A potem szczęknął zamek.

Chłopiec gwałtownie poderwał głowę. Nie pomylił się. W sobie tylko wiadomy sposób odczuwał obecność nieznajomego na długo przedtem, nim ten się zjawiał. Był pewien, że jest jedynym człowiekiem na świecie, który z takiej odległości słyszy słabe drgania silnika i stłumiony odgłos zamykanych drzwi samochodu. Ostrożnie stawiane kroki wyczuwał niczym Indianie, których podziwiał w westernach. Poznawał ciche skrzypnięcie gumowej podeszwy. Jestem jak wąż, uświadomił sobie, gdy jeszcze miał siłę myśleć. Czytał gdzieś, że te gady odbierają drgania podłoża za pomocą kości szczękowych połączonych z uchem środkowym, i w ten sposób doskonale słyszą odgłosy innych zwierząt. Kiedyś interesował się węzami i dużo o nich wiedział. Na próżno błagał rodziców, by pozwolili mu mieć w domu terrarium. To było kilka lat temu. Potem pochłonęło go zupełnie coś innego.

Pamiętał, że czerwonoskórzy czasami porywali białych. I tak jak jemu, wiązali z tyłu ręce i mocowali do drzewa albo wbitego w ziemię pała. Ale nigdy nie zakładali opaski na oczy ani nie

zaklejali taśmą ust. Nikogo nie zamykali w wilgotnej norze. Dzielni kowboje stali na słońcu, a on czuł stęchliznę butwiejących ubrań, podobną do tej, którą pamiętał z garażu dziadka Pierre'a. Tak było na początku. Później się przyzwyczał. Sam nie wiedział, kiedy smród zaczął traktować jako coś naturalnego.

Dziadek Pierre. Na pewno go szuka. I rodzice też go poszukują. Ktoś wreszcie go znajdzie i uwolni. A wtedy nieznajomego osądzą i powieszą. Będzie jak na westernach. Szubienicę postawią z pewnością przy *beffroi*, wieży strażniczej z czerwonej cegły, z której można podziwiać panoramę okolicy. Albo nie. Postawią ją na stadionie. A kat będzie ubrany w koszulkę w czarne i białe pasy. Całe miasto będzie na to patrzeć, a on usiądzie na honorowym miejscu, z którego będzie widział zazdrość kolegów i pełne podziwu spojrzenia dziewczyn. Zwłaszcza tej, która niedawno się wprowadziła do jego kamienicy, ma na imię Marie i mieszka dwa piętra wyżej.

Tak myślał pierwszego i drugiego dnia. Trzeciego zaczął tracić nadzieję. Gdy czwartego dnia znów nie dostał nic do jedzenia, po raz pierwszy pomyślał, że umrze. Zapadł w dziwny półsen i stracił rachubę czasu. Nie wiedział, jak długo przebywa w tej pułapce. Tydzień, dwa tygodnie, miesiąc? Nie mógł odgadnąć, jaka jest pora dnia. Nie potrafił, a może już nie chciał, o własnych siłach wstać z podłogi. Już dawno przestał poruszać nadgarstkami w nadziei, że uwolni się z więzów. Przestał się nawet bać. Powoli zacierały się wspomnienia, a w letargu, w którym trwał, rozmywały się rysy twarzy rodziców i przyjaciół.

Nie potrafił zrozumieć, co właściwie się stało. Jak zwykle wracał z kolegami do domu. Przez ramię miał przewieszoną torbę

sportową. Ostatnie kilkaset metrów pokonywał sam. Przy chodniku zatrzymał się samochód i przez uchyloną szybę kierowca o coś zapytał. Głos brzmiał znajomo. Podeszedł bliżej i pochylił się. Potem zapadła ciemność. Ocknął się w zimnym lochu, który został jego nowym domem. Nie mógł wiedzieć, że to miejsce miało stać się także jego grobem.

Zgrzyt zamka w drzwiach zabrzmiał niczym wybuch granatu na filmie wojennym. Chłopak ocknął się. Mimo woli uderzył głową o gruby pręt. Przeszywający ból rozchodził się promieniście przez szyję, barki i plecy. O dziwo, wsparty o zimny metal, chłopak uniósł się sam do góry. Drżał. Po raz pierwszy od nie wiadomo jakiego czasu przestraszył się. Czujnie nasłuchiwał. Tym razem nieznajomy zachowywał się inaczej.

Zawsze gdy przychodził, zrywał mu taśmę z ust i dawał wodę do picia. Potem rozwiązywał ręce i żelazny uchwyt, wykluczający wszelki opór, zaciskał się na przedramieniu chłopca. Mężczyzna prowadził go do kubła, by mógł się załatwić. Za pierwszym razem porwany próbował zerwać opaskę z oczu. Zanim to uczynił, został powalony potężnym ciosem. Stracił przytomność. Więcej nie chciał już przeciwstawiać się nieznajomemu.

Za każdym razem powtarzały się te same czynności. Mężczyzna odprowadzał go na miejsce i przywiązywał z powrotem. Zaklejał usta. Przez te wszystkie dni nie odezwał się ani słowem. Chłopiec słyszał świst wydychanego powietrza. Czuł wstrętny nieznany zapach wydobywający się z ust tamtego. Wstrzymywał wówczas oddech, by nie dostać torsji.

Tego dnia było jednak inaczej. Nieznajomy wszedł do środka, ale nie podeszedł do porwanego. Potem rozległ się odgłos, jakby

mężczyzna postawił coś na podłodze. Chłopiec usłyszał charakterystyczny dźwięk zamka błyskawicznego. Tamten pewnie był w dresie i rozpiął bluzę. Wtedy poczuł zapach, którego nie sposób nie rozpoznać. Frytki. Więc to nie była bluza, ale zamek od torby. Nieznajomy przyniósł jedzenie. Po raz pierwszy. Żołądek porwanego odruchowo skurczył się. Chłopiec poczuł ból oraz mdłości i osunął się z powrotem na podłogę.

Nie mógł widzieć, że nieznajomy wyjął z torby nie tylko biały plastikowy pojemnik, ale i skórzany pasek. Złożył go na pół i zbliżył dwie pięści do siebie, tworząc w ten sposób pętlę. Gwałtownym ruchem odciągnął dłonie. Pętla błyskawicznie spłaszczyła się i pasek strzelił. Rozległ się dźwięk przypominający trzask bicia. Chłopiec drgnął. Mężczyzna zauważył to i uśmiechnął się.

Podszedł do wmurowanego w ziemię pręta i chwycił za sznur krępujący ręce. Wtedy w pomieszczeniu rozległ się czyjś głos. Ktoś śpiewał po angielsku. Nieznajomy znieruchomiał, a potem sięgnął do kieszeni. Przez chwilę stał w miejscu. Chłopiec słyszał jego oddech głośniejszy niż zwykle. Do jego uszu dobiegło chrząknięcie. Mężczyzna jakby się zawahał. A potem szybkie kroki skierowały się w stronę drzwi. Klucz zachrobotał w zamku. Tamten zniknął.

W piwnicy wciąż unosił się zapach frytek. A więc, domyślił się chłopiec, nieznajomy zostawił torbę i pewnie niedługo wróci. Po raz pierwszy od nie wiadomo jak długiego czasu porwanego opuściły halucynacje. Stanął o własnych siłach, a nogi przestały drżeć.

Szarpnął nadgarstkami, przywarł nimi do metalu i powtórzył czynność. Skręcił prawą dłoń i najmniejszym palcem natrafił na pętlę. A przecież próbował uwolnić się dziesiątki razy! Poczuł nagły przypływ sił. Jak wówczas, gdy w ostatniej minucie strzelił bramkę,

a w dogrywce dołożył jeszcze jedną i został bohaterem meczu. Cierpliwie rozluźniał pętlę, aż poczuł, że może wcisnąć kolejny palec.

Gdy sznur opadł na ziemię, chłopiec zerwał taśmę z ust i zdjął opaskę.

Nie rozwarł powiek. Jego ojciec i dziadek byli górnikami, on też urodził się i mieszkał w mieście, które nie przypadkiem Belgowie nazywali *Pays Noir*¹. Podczas obiadów wielokrotnie słyszał o tąpnięciach i wybuchach oraz górnikach uwięzionych pod ziemią, czekających dniami i nocami w zasypanych korytarzach na ratunek. Gdy już cię wydobędą, nie otwieraj oczu. Nie otwieraj oczu. To zdanie, czarodziejskie zaklęcie, słyszał wiele razy.

Ze zmrużonymi powiekami, rękami omiatając przestrzeń wokół, dotarł do drzwi i szarpnął za klamkę. Nie mylił się. Były zamknięte. Tamten wróci, przypomniał sobie. Niedługo wróci. A wtedy...

Poczuł, że paraliżuje go strach. Że zaczyna krępować niczym porzucony na podłodze sznur. Odwrócił się i oparł o drzwi. Spod zmrużonych oczu widział, że po przeciwległej stronie pomieszczenia znajduje się jakieś źródło światła. Ruszył w tamtym kierunku. Potknął się o torbę, pod stopą zachrupały rozgniecione frytki. Dotarł do niewielkiego okna. Pod murem natrafił dłonią na stare rozlatujące się krzesło. Widocznie okno było kiedyś otwierane. Powoli się wspiął. Dawniej nie miałby szans, by się przecisnąć przez ten otwór. Teraz był jednak o wiele chudszy. Zdumiał się, że otworzył okno tak łatwo. Poczuł świeże powietrze. Zakrztusił się.

Tamten wróci, pomyślał z rozpaczą. Może już się zbliża.

Wydostał się na zewnątrz i z wciąż przymkniętymi powiekami zaczął biec. Zatoczył się i upadł.

Ktoś powiadomił policję, że na nabrzeżu, na Quai de Brabant, siedzi chłopiec, który nie odpowiada na żadne pytania. Dwunastolatek w stanie szoku i całkowitego wyczerpania został odwieziony do szpitala.

Policji nie udało się natrafić na ślad tajemniczego kierowcy. Bezskutecznie próbowano ustalić miejsce, w którym przetrzymywano porwanego. Chłopiec milczał. Jakby chciał wyrzucić ze swojego życia koszmar, tak jak usuwa się dane z komputera. W ten sposób opisał jego zachowanie psycholog. Zgłaszali się kolejni świadkowie, ale niewiele wniesli do sprawy. Ktoś widział go w parku Reine Astrid, pewna starsza kobieta mówiła, że błąkał się po Place du Manège, jakiś starszy mężczyzna wskazywał na okolice hałd.

Tydzień po odnalezieniu chłopca, 19 sierpnia 1996 roku, policja wkroczyła do domu Marca Dutroux, którego dziennikarze nazwali wkrótce Potworem z Charleroi. Urowadzenie dwunastolatka powiązano z jego czynami.

Od tego dnia już nic w Belgii nie było takie samo jak wcześniej.

*

Zobaczył nadjeżdżający pociąg i podjął decyzję. Ostatnią w swoim życiu.

Zaraz po południu złapał taksówkę na Powiślu i pojechał na ulicę Kijowską. Gdy wysiadł przed zrujnowaną fasadą Dworca Wschodniego, zaczął siąpić drobny deszcz. Taksówkarz milczał przez całą drogę, wsłuchując się w wiadomości dobiegające z radia. Kilkakrotnie wychwycił spojrzenie kierowcy we wstecznym lusterku. Ciekawe, czy wie, kim jestem, pomyślał.

Taksówkarze na ogół go rozpoznawali. Trzydziestokilkulatek wyróżniał się wzrostem i posturą. Gdy pytali o nazwisko, nie mieli już żadnych wątpliwości. Jacek Kos. Wielokrotny reprezentant Polski. Lewy obrońca. Zaczynał w Warszawie, potem grał na Śląsku, wreszcie wiele ostatnich sezonów spędził w niemieckich klubach. Od dwóch lat pisano o nim mniej. Jego występy nie były komentowane tak jak dawniej. Nawet gdy strzelił niedawno samobójczą bramkę, oszczędzili go klubowi kibice i internetowi frustraci w kraju. Kosa zaczęły nękać kontuzje, usunięto go z pierwszego składu, zmienił drużynę i znów na kilka miesięcy wypadł z gry. Od pewnego czasu nie był już powoływany do reprezentacji. Taka jest kolej rzeczy. Poważnie myślał o zakończeniu kariery, powrocie do Polski i rozkręceniu interesu związanego z futbolem. Może kupi kilka mieszkań, podpisze umowę z którymś z klubów i będzie wynajmował je młodym zawodnikom. Wiedział nawet, kto mu pomoże stawiać pierwsze kroki na grząskim gruncie, opanowanym przez starych wyjadaczy. Z długich rozmów zapamiętał zwłaszcza jedno zdanie. Ten biznes jest jak wieczna gra na obcym boisku, a ci, którzy grają z tobą w drużynie, mogą okazać się najgroźniejszymi przeciwnikami. Podjął już zresztą pierwsze działania, by przygotować się do nowej roli. To wszystko przyjdzie za chwilę. Na razie raz jeszcze spróbuje powrócić do dawnej formy i roześmiać się w twarz tym, którzy postawili na nim krzyżyk.

Tak do niedawna wyobrażał sobie teraźniejszość i przyszłość. Kilka dni temu wszystko się zmieniło. A przed godziną cały świat runął mu na głowę. Wiedział, że musi coś zrobić. Po tym, co usłyszał, nie było już odwrotu.

Zostawił taksówkarzowi napiwek. Łysiejący mężczyzna z sumiastym, kolejarskim wąsem skłonił się.

– Straszne. – Taksówkarz odwrócił się w stronę radia. – Tragedia – dodał zbolalym głosem. – Ciągle nie mogę w to uwierzyć. A pan?

– Tak. Straszne – mruknął pod nosem Kos i wysiadł z samochodu.

Straszne. Miał na myśli coś innego niż kierowca odjeżdżającej taksówki. Zasunął suwak skórzanego kurtki. Tragedia. Tak, to prawda. Tyle że ta, która dotyczyła jego, była na razie dobrze skrywana. Wiedziały o niej trzy osoby na świecie. Od godziny był jedną z nich.

Przyleciał rano samolotem Lufthansy. W zwykłych okolicznościach zdecydowałby się na samochód. Tym razem jednak sytuacja była szczególna. Chciał mieć to spotkanie jak najszybciej za sobą. Tak bardzo pragnął usłyszeć, że zaszła niewyobrażalna pomyłka. Że wszelkie podejrzenia są jedynie wytworem chorej wyobraźni. Na lotnisku w Warszawie zorientował się, że zdarzyło się coś niezwykłego. Przepchnął się przez tłum ludzi wpatrzonych w zawieszony na panelach telewizor. Wzrokiem przebiegł przesuający się u dołu ekranu pasek z wiadomościami. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Nie chciał autografu. Nikt nic nie mówił.

Kos przygryzł wargi. Zaczął szybko oceniać sytuację. Nauczył się tego podczas tysięcy godzin spędzonych na boisku. Niespodziewane zdarzenia pociągają za sobą inne, które trudno przewidzieć. To, co się stało, mogło pokrzyżować jego plany.

Sięgnął po telefon. Rozmowa trwała kilka minut. Gdy ją zakończył, odetchnął z ulgą. A jednak się uda. Dopiął swego. Jest jeden argument, pewna siła, której nikt jeszcze się nie oparł. Tak się stało i tym razem.

Teraz było już po wszystkim. Zgarnął krople deszczu z czoła. Czuł się, jakby w jednej chwili postarzał się o dwadzieścia lat. Był skończony i musiał coś z tym zrobić. Wyprostował się i ruszył w stronę ogródków działkowych. W alejce minął się z kobietą, która wyszła na spacer z owczarkiem niemieckim. Pies prowadzony na czerwonej smyczy obwąchał go nieufnie.

Nigdy nie bał się zwierząt. Godzinę temu ten nieustraszony obrońca zaczął bać się ludzi. A właściwie zaczął lękać się jednego przerażającego człowieka.

Skręcił w prawo. Przed sobą widział nasyp kolejowy i wznoszące się nad nim semafony. Bezwiednie ruszył w tamtą stronę. Po lewej zobaczył niski budynek otoczony ogrodzeniem. Na tabliczce znajdował się napis: „Markot”. Przed stróżówką siedział dozorca i palił papierosa. Zza uchylonych drzwi dobiegała muzyka z radia. Kos rozpoznał utwór. *Adagio* Albinoniego. Kiedyś od jednego z niemieckich kibiców dostał płytę z tym nagraniem. Nie przepadał za muzyką poważną, ale ten utwór z jakiegoś powodu zapamiętał.

„Markot”. Siedlisko bezdomnych. Tych, którzy wypadli ze społeczeństwa. Odpadli, tak jak odpadł tynk z fasady dworca. Nagle poczuł, że jest takim samym wyrzutkiem. Niczym się od nich nie różni.

Zatrzymał się, sięgnął po telefon i zaczął wstukiwać esemesa. *Adagio* skończyło się, w radiu muzyka organowa przycichła i rozległ się zbolący kobiecy głos. Drżały mu ręce. Nie mógł pisać. Zaklął głośno, a potem wybrał numer telefonu. Po pięciu sygnałach usłyszał komunikat poczty głosowej. Nagrano go najpewniej w trakcie jakiejś imprezy, w tle rozbrzmiewały bowiem śmiechy i brzęk kieliszków.

Pozostawił wiadomość.

– Wiem już wszystko – wydusił przez ściśnięte gardło. – Morderca... Nie daruję...

Chciał powiedzieć więcej, lecz nie miał siły.

Dozorca „Markotu” widział, jak postawny młody mężczyzna o znajomej twarzy wspina się na nasyp. Miał zamiar krzyknąć, podniósł rękę, ale rozmyślił się.

Kos usłyszał cichy świst szyn. W oddali zobaczył światło zbliżającego się pociągu. Przerażliwy dźwięk sygnału ostrzegawczego narastał, ale zignorował go. Nie widział przerażonych, coraz większych oczu maszynisty, nie słyszał zgrzytu hamulców.

Zanim poczuł uderzenie, po raz ostatni otarł twarz z deszczu. A może po prostu ją zasłonił. Było popołudnie 10 kwietnia 2010 roku. Niespełna sześć godzin wcześniej w Smoleńsku rozbił się prezydencki samolot.

Samobójcza śmierć znanego piłkarza, reprezentanta Polski, w normalnych warunkach byłaby wiadomością dnia. Z oczywistych względów tym razem przeszła niemal niezauważona. Gazety i portale internetowe odnotowały ją w kilku zdaniach i jednym niewiele obszerniejszym wspomnieniu.

Nekrologi, które ukazały się po jego śmierci, znikły wśród innych nazwisk w czarnych ramkach.

*

Leżał na łóżku, założył ręce pod głowę i wpatrywał się w sufit. Potrafił tak tkwić bez ruchu godzinami. Gdyby ktoś patrzył na niego

z boku i widział nieruchome otwarte oczy, mógłby pomyśleć, że nie żyje.

Nic bardziej mylnego. Żył i miał się nieźle.

Cichy jęk przypominał sygnał karetki pędzącej w oddali. Albo skowyt psa. Wiedział jednak, że źródło tego odgłosu jest zupełnie inne. Za chwilę jęk przemieni się w przeciągły szloch, a potem, gdy do akcji wkroczą sanitariusze ze środkami uspokajającymi, ucichnie. Podobnie zachowywał się ten drugi. Ten, który pociął się szkłem. W sumie dobrze, że na nikogo się nie rzucił. Zaczęłyby się dokładniejsze kontrole, a te zawsze zwiastują kłopoty.

A on miał już problem. I ten jeden w zupełności mu wystarczał. Podróżnik więcej nie przyjdzie. Podróżnik nie przyjdzie, powtarzał sobie. Nazwał mężczyznę w taki sposób, bo przecież wkroczył on do dziwnego świata. I zapragnął rozmawiać na egzotyczne tematy, w których pojawiały się rozkładające się ciała i ludzkie kości.

Zawarli umowę. Coś za coś. Opowieść za opowieść. Słuchał więc, co tamten miał do powiedzenia, uśmiechał się łagodnie i odpływał w świat swoich fantazji. Wiedział, że te marzenia prędzej lub później przemieni w rzeczywistość.

Podróżnik więcej nie przyjdzie. Ale nie wiadomo, czy jego śladem nie przyjdą inni. A do tego nie chciał dopuścić.

Jeden, dwa, trzy... Policzył do sześćdziesięciu. Minęła minuta. Jego czas się kończył. Sytuacja skomplikowała się. Nabrała przyspieszenia. Nie może dłużej czekać. Po raz pierwszy od wielu minut poruszył oczami.

Żył i miał się nieźle. Niektórym nie wróżyło to niczego dobrego.

– Po owocach mnie poznacie. Po owocach – wyszeptał i uśmiechnął się szeroko.

CZEŚĆ PIERWSZA

1

Są ludzie, którzy znają się na wszystkim. Takie złote rączki z głowami nie od parady. I są też ponoć sprawy, na których znają się wszyscy. Trudno znaleźć takich, którzy nie mają pojęcia o sporcie, pogodzie i polityce.

Może i trudno, lecz nie jest to niewykonalne. Jak się chce, to można. Sam należałem przecież do tego ekskluzywnego grona. Owszem, z większym lub, częściej, słomianym zapalem trenuję karate u greckiego mistrza, senseia Kastoriadisa. Ale poza tym nie śledzę wyników rozgrywek, z wyjątkiem żużla, nie chodzę na mecze, nie wyrecytuję jednym tchem składów drużyn trzecio- i drugoligowych. Mam ku temu osobiste powody. Tak czy inaczej znam się na piłce nożnej jak Osama bin Laden na pacyfizmie. Z pogodą jest podobnie. Przypominam sobie o jej istnieniu najczęściej wczesną wiosną i późną jesienią, gdy chłód i wilgoć paraliżują mi stawy i unieruchamiają dłonie. Fachowcy nazywają to schorzenie zespołem Raynauda. Poza tym o pogodzie rozmyślałem równie często co Amy Winehouse o wizycie w klubie krykieta. Oprócz choroby stawów mam jeszcze jedną przypadłość. Mnożę metafory. Przypadłość ta dopada mnie zwłaszcza wtedy, gdy jestem zmęczony. A tak się czuję prawie zawsze. Świat ludzi przemęczonych jest dość bezbarwny. Więc przynajmniej w taki sposób wzbogacam go sobie. Tyle o tym.

Polityką nie zajmowałem się nigdy, a ona nie zajmowała się mną. W policji polityka dopada tych, którzy są albo znacznie niżej ode mnie i mają nieposkromione ambicje, albo dawno już mnie wyprzedzili i chcą dotrzeć na sam szczyt. Byłem coraz starszym, coraz bardziej korodującym, ale wciąż trwającym w tym samym miejscu środkowym trybem w maszynerii sprawiedliwości. I nigdy nie miałem ambicji, by piąć się w górę. Im wyżej jesteś, tym boleśniej spadasz. Napatrzyłem się trochę na to, kilka razy upadłem i potłukłem się, więc wiem, o czym mówię. Od czasu do czasu widzę gdzieś w internecie nazwiska kilku kolegów, z którymi studiowałem. Garnitury, krawaty, okulary w kosztownych oprawkach mające dodać im powagi. Oraz, nieodłącznie, kilka słów przy nazwisku, wiadomość o tym, w imieniu jakiej partii mówią. Zauważyłem, że informacje te zmieniają się przy ich twarzach dość często. Z głoszonymi przez nich poglądami pewnie jest tak samo. Tymczasem moje nie ulegają zmianie. Ja po prostu nie mam poglądów.

W sobotę 10 kwietnia 2010 roku obudziła mnie melodyjka w telefonie. Jimi Hendrix grał *Purple Haze*, a mnie wciąż zdawało się, że jestem w wypełnionej zapachem rozlanego piwa sali prób w Sosnowcu, w trzeciej z kolei norze, którą wynajmowaliśmy w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Właśnie włączam jeden z moich efektów gitarowych i chropowate dźwięki zaczynają płynąć wartkim strumieniem. Zamykam oczy i wsłuchuję się w linię basu.

Gdy otworzyłem oczy, sala prób znikła. Poczułem ucisk w skroniach. Suchość w moim gardle mogłaby konkurować z wielodniową suszą w Somalii.

Hendrix zagrał introdukcję do *Purple Haze* od nowa. Sięgnąłem po telefon. Usłyszałem głos Kastoriadisa.

– Już wiesz? – zapytał.

Milczałem, a on powtórzył pytanie.

– O czym? – zachrypiałem.

– Prezydent... Samolot w Smoleńsku rozpieprzył się na kawałki. W drobny mak. Nikt nie przeżył.

Nie wiedziałem, o czym ten szaleniec do mnie mówi. Każde słowo Greka osobno coś znaczyło, lecz z całej wypowiedzi niczego nie rozumiałem. Pewnie miał jakieś olśnienie, zdarzają mu się takie przebłyski, gdy medytuje. A wczoraj był piątek i może mistrz karate po treningu sobie pofolgował.

– Słuchaj – wychrypiałem – ile piw zrobiłeś wczoraj? Ciekawe, czy tyle co ja. Widzimy się o szóstej, mistrzu. Przypominam ci, że mamy poćwiczyć *kawashi* i inne uniki przy ataku przeciwnika. A teraz muszę dojść do siebie.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączyłem się.

Zarzuciłem ubranie przesiąknięte papierosowym dymem i zwlokłem się do „Biedronki”. Paliło mnie w gardle, było w nim więcej ognia niż na festynie straży pożarnej. Musiałem go ugasić. Jedno piwo postawił mi na nogi, pomyślałem. Rudolf Heinz rozpocznie nowy dzień i wkroczy do akcji.

Dopiero w sklepie zorientowałem się, że coś musiało się zdarzyć. Ludzie robili zakupy, ale co chwila rozbrzmiewały dzwonki telefonów. Nigdy w życiu nie widziałem tylu ludzi rozmawiających przez komórki. I pewnie nigdy już nie zobaczę. Nawet na reklamie. Chwytałem strzępy rozmów. Samolot. Prezydent. Smoleńsk. Słowa Kastoriadisa ułożyły się w logiczny ciąg.

Postawiłem piwo na taśmociągu i wychwyciłem spojrzenie kasjerki. Czterdziestoletnia sucha kobieta w fartuchu za dużym o kilka numerów patrzyła na mnie, jakbym zabił jej córkę. I matkę.

– Pić w taki dzień. – Pokręciła głową i przyłożyła puszkę do czytnika.

– Mam jeszcze to – powiedziałem ze skruchą i podałem jej worek z czterema kajzerkami.

Gdy odszedłem od kasy, przekonałem się, że nie wszyscy tego dnia interesowali się katastrofą. Przy filarze sklepu stał szpakowaty mężczyzna w szarym kombinezonie. W dłoni trzymał nóż i z zapalem zeskrobywał ogłoszenia poprzyklejane do muru.

– Joga, kurwa mać... – mruczał pod nosem. – Juju fitness... – to przesyłabizował z większym trudem. – Połączenie samoobrony i tańca – czytał kolejne anonse – zajęcia pozaszkolne, balet, kurwa, dla dzieci...

W takim towarzystwie opuściły mnie wszelkie skrupuły. Z trudem przełknąłem ślinę. Czułem się, jakby ktoś przez godzinę tarką skrobał moje podniebienie. Stwierdziłem, że nie ma na co czekać, i sięgnąłem po piwo. Trzask zawlecзки był jednym z najpiękniejszych dźwięków, jaki mogłem usłyszeć. Pociągnąłem łyk i odetchnąłem. Wróciłem do mieszkania i zacząłem przeglądać czarno-białe strony w internecie.

Dokończyłem piwo i poczułem, że wracam do świata żywych.

2

O dziewiątej wieczorem, gdy minęła mi ochota na cokolwiek, co nie było kolejnym zimnym piwem, znów odezwał się Hendrix.

– Mamy go. – Usłyszałem głos starszego aspiranta Kuleszy. – Adam Szyszko został przywieziony pół godziny temu.

– Przyznał się?

– Nie. Wszystkiemu zaprzecza. Niewinny jak anioł. Wielkie niebieskie oczy jak z japońskiej kreskówki, które pytają: „Czego ode mnie chcecie?”. Pomyślałem, że zechcesz go przesłuchać.

Oczywiście, że chciałem. W takich wypadkach trzeba działać szybko. Zanim minie szok po niespodziewanym zatrzymaniu i podejrzany zdąży oswoić się z nową sytuacją. Włożyłem czysty T-shirt i wysłużoną sztruksową marynarkę. Z kolumn dobiegły pierwsze takty *Ain't No Heaven on the County Road*. Z żalem wyłączyłem płytę. Tradycyjny blues przegrał z Suszarkowym Mordercą, jak nazwał go Kulesza.

Uczestniczyłem w dziesiątkach podobnych spraw, w których nie było nic niezwykłego, jednak tym razem coś wykraczało poza rutynę. Jechałem do komendy i raz jeszcze porządkowałem w myślach to, co wiedziałem. Nie, nie mogłem się mylić. Adam Szyszko musiał być tym, kogo szukaliśmy od trzech tygodni.

Było tak: zwłoki Patrycji Jezierskiej znaleziono we wtorkowy wieczór 24 marca. Tego dnia dziewczyna nie pojawiła się w pracy.

Wszelki kontakt z nią się urwał. Ciało znajdowało się w wannie wypełnionej wodą. Na jej dnie niczym łódź podwodna pływała podłączona do gniazdka suszarka.

Wypadki się zdarzają. Ktoś odkręci piecyk gazowy, ktoś inny wdepnie w kałużę, w której tkwi kabel elektryczny pod napięciem. Ale tym razem o zwykłym nieszczęściu nie było mowy. Dobrze, mogło ostatecznie zdarzyć się tak, że dziewczyna poślizgnęła się w wannie, upadła, uderzyła się w skroń, a suszarka podłączona do prądu znalazła się w wodzie. Mogło. Ale Patrycja Jezierska nigdy nie suszyła włosów. I wolała szybki prysznic od długich kąpeli. Tyle dowiedzieliśmy się od jej siostry, która znalazła ciało. Aż tyle.

Poinformowano mnie o dochodzeniu dopiero na przełomie marca i kwietnia, kiedy wróciłem z konferencji dla profilerów w Liverpoolu, na której opowiadałem o polskich seryjnych mordercach. Wówczas, gdy śledztwo straciło swój początkowy impet, włączono mnie do sprawy. Kłopoty zaczynają się wtedy, kiedy pojawiają się komplikacje. Tych zaś w sprawie Suszarkowego Mordercy było w nadmiarze.

Zatrzymałem się na światłach. W blasku latarni zobaczyłem starszego mężczyznę, który wspinał się na drabinę opartą o mur kamienicy. W dłoni trzymał biało-czerwoną flagę. Pewnie przed komendą wojewódzką na Lompy flagi spuszczone już do połowy masztu. Nagle pomyślałem o czymś innym. W przyszłym tygodniu mamy grać koncert w Sosnowcu. Wielodniowa żałoba sprawi, że plany wezmą w łeb. Zresztą raz już było podobnie. Chyba cztery lata temu, gdy w „Halembie” zginęli górnicy. Zbliżała się zima, a wraz z nią nadchodził czas naszego debiutu. Mieliśmy wywalić ludziom

w twarz całą energię, która zgromadziła się w naszych trzewiach i gitarach. Zamknięto wtedy klub na cztery spusty.

Włączyłem radio. Rozbrzmiewał marsz żałobny Chopina, lektor zaś, nie sposób powiedzieć, który raz tego dnia, odczytywał listę ofiar katastrofy prezydenckiego samolotu. Wcześniej w internecie przeczytałem uważnie spis nazwisk. Chyba nikogo spośród zmarłych nie znałem osobiście. Sięgnąłem do schowka i na chybił trafił wyjąłem płytę. Ballady jazzowe. Trąbka Davisa grającego *Round Midnight* wypełniła wnętrze samochodu. Około północy, jak dobrze pójdzie, zamkniemy sprawę. Będziemy mieli pewność, kto zamordował Patrycję Jezierską. Dodałem gazu i pomyślałem o rafach, na które natknęliśmy się w śledztwie.

Kłopot pierwszy polegał na tym, że dziewczyna mieszkała w miejscu, gdzie ludzie potykają się o siebie, ale i tak tego nie zauważają, bo traktują to jako normę. Superjednostka. Ta nazwa mówiła wszystko. Kiedyś dowiedziałem się, że mieszkańcy nazywają to potężne blokowisko „szafą”. Jak na mój gust siedemset mieszkań mieszczących ze trzy tysiące lokatorów to zbyt okazały i niezbyt przytulny mebel, ale może nie znam się na architekturze. Pracowałem w policji dobre dwadzieścia lat i tylko raz zostałem wezwany do Superjednostki z powodu zabójstwa. Wtedy usłyszałem od pracowników pogotowia, że odwiedzinom w tym mrówkowcu towarzyszy swoista loteria. Zwłoki można uznać za fartowne lub nie. Szczęście sprzyja, gdy ciało znaleziono na parterze albo drugim, piątym, ósmym, jedenastym i przedostatnim, czyli czternastym, pięttrze. Tylko na tych kondygnacjach, zgodnie z wizją i kaprysem projektanta budynku, zatrzymują się windy. Oznacza to, że niefartowne ciała trzeba znosić po schodach. Zwłoki Jezierskiej

należały do fortunnych, dziewczyna mieszkała na piątym piętrze. Policjantom, którzy rozpytywali mieszkańców, mniej się poszczęściło: nikt niczego nie widział, niczego nie słyszał. Emerycy spali, wynajmujący mieszkania studenci opowiadali o wszystkim, tylko nie o tym, co trzeba.

Jezierska studiowała zaocznie prawo na Uniwersytecie Śląskim i niedawno rozstała się z chłopakiem. I jak to bywa, uwaga skupiła się na młodym człowieku, który ostatecznie ze sprawą miał tyle wspólnego, ile ja z systemem podatkowym w księstwie Monako. Nic tak nie podcina skrzydeł prowadzącym śledztwo jak świadomość, że idealny kandydat na mordercę ma równie idealne alibi wykluczające go z kręgu podejrzanych. W ciągu dnia dziewczyna pracowała w jednej z knajp na Stawowej – ulicy, na której, jak dumnie obwieszczał slogan przesłaniający teren olbrzymiej budowy w centrum Katowic, „zaczyna bić serce naszego miasta”. Mnóstwo gości, kalejdoskop zmieniających się twarzy. Nie, nie zauważyłam, by Patrycja z kimś dłużej rozmawiała w pubie. Nie, nie widziałem, by okazywała komuś zainteresowanie, choć niejeden się narzucał.

Być może największy kłopot polegał na tym, że dziewczyna miała w sobie to coś. Z pewnością nie miała urody rasowych modelek, ale wystarczyło popatrzeć na jej pełne usta naturalnie układające się w drwiący uśmiezek oraz zielone oczy, w których pełna niewinność sąsiadowała z totalną drapieżnością, i człowiek był ugotowany. Przypatrywałem się zdjęciom i nie miałem wątpliwości, że mężczyźni, a może i kobiety, lgnęli do niej jak ćma barowa do darmowego drinka albo jak wisielec do sznura.

W śledztwo włączyłem się na zasadzie gościnnego występu. Magia pierwszych czterdziestu ośmiu godzin dochodzenia, gdy zwykle

chwytła się zabójcę, dawno przestała działać. Wpadłem do knajpy na Stawowej, popytałem na uniwersytecie, pokręciłem się dookoła odnawianej Superjednostki. Zagadałem z ekipą remontową. Chłopaki mają oczy wokół głowy, nieraz się o tym przekonałem. No, tak, była taka, z piątego... Ale nawet się nie obejrzała, gdy na nią gwizdaliśmy. Sztywna, wiesz, jak nasze rusztowanie.

Bez większych nadziei wkroczyłem do baru sąsiadującego z blokowiskiem. Tak jak przypuszczałem, stali bywalcy lokalu o wdzięcznej nazwie „Gastromatic” mieli pamięć dobrą, ale wybiórczą.

– U nas takie laski nie przesiadują. – W dłoni pięćdziesięciolatka, który zbliżał się wyglądem do kształtu idealnego, czyli kuli, zabrzączały monety. Po chwili drobne znikły w czeluściach automatu do gry. – Są tylko takie jak ta za barem, prawda, Kloss? – zwrócił się do kolegi.

Mężczyzna zwany Klossem coś mruknął i potakująco skinął głową. Odwróciłem się i spojrzałem na wysuszoną kobietę przy ladzie. Mogłaby grać w horrorach albo pozować malarzom pragnącym ożywić motyw tańca śmierci.

– Ja pamiętam jedynie tych, co wiszą mi kasę – powiedział Kloss i pacnął dłonią w bok automatu, jakby poklepywał najlepszego kumpla.

Trafiłem nawet do pobliskiej siłowni, ale faceci z rozrośniętymi karkami z większą czułością darzyli wyciskane żelastwo niż dziewczynę ze zdjęcia. Słowem nic. W mieszkaniu ofiary także nie natrafiłem na cokolwiek, co mogłoby skierować śledztwo na właściwe tory. Może stało się tak dlatego, że siostra zamordowanej

dziewczyny posprzątała tam, gdy tylko nasza ekipa skończyła swoją robotę.

Zanim zaparkowałem przed komendą, zatrzymałem się na stacji benzynowej. Kupiłem paczkę niebieskich cameli i dwie niepasteryzowane perły. Z ciekawości zerknąłem na płytę zatytułowaną *Muzyka do samochodu*, wypełnioną ludowymi i biesiadnymi przyśpiewkami. Idealny prezent dla najgorszego wroga. Tak powinni ten szajs reklamować. Flaga przed budynkiem, który dzieliliśmy z dziarskimi chłopcami i dziewczętami z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, smętnie powiewała targana przez wiatr. Na parkingu natknąłem się na dwóch policjantów, których znałem z widzenia. Przywitaliśmy się bez słów. Kolejny raz tamtego dnia zaczęło siąpić. Otarłem krople deszczu z czoła, a policjanci rozpląnęli się w mroku niczym duchy.

Przełom w sprawie nastąpił, gdy ponownie przejrzałem zdjęcia wykonane po zabójstwie. Cholera, oglądałem je po raz trzeci i dopiero zauważyłem to, co powinienem zobaczyć od razu. Śledztwo znów ruszyło z impetem. Aspirant Kulesza zachowywał się jak zwierzę, które poczuło krew. Innym także zależało na zamknięciu sprawy. W wydziale zabójstw komendy wojewódzkiej w Katowicach atmosfera poprawiła się, gdy odszedł naczelnik Kościuk. Chuj mu na grób, jak śpiewał jeden z wokalistów rockowych. A już z pewnością nie kwiaty. No właśnie. Swoją drogą, kto by pomyślał, że egzotyczny bukiet doprowadzi nas do sprawcy.

– Przyznał się? – zapytałem Kuleszę.

– Gdyby tak było, zadzwoniłbym do ciebie. Mógłbyś obserwować, co dzieje się w Smoleńsku. – Aspirant przygryzał końcówkę długopisu.

Na jego głowie pojawiły się pierwsze oznaki siwizny. Wyglądał tak, jakby w krótkim czasie postarzał się o kilka lat. Wolałem nikogo nie pytać, o ile sam się postarzałem w ciągu ostatniego roku. A na mnie czekał niewinny anioł o oczach... Jak to było? O oczach jak z japońskiego filmu.

Gdy wszedłem do pokoju przesłuchań, nawet na mnie nie spojrzał. Siedział zgarbiony, przytrzymując jedną dłoń drugą, zaciśniętą w pięść, jakby przymierzał się do zadania ciosu. Mógł być nieco wyższy ode mnie, ale był znacznie szczuplejszy. Z dokumentów wiedziałem, że studiował w Akademii Górniczo-Hutniczej, ale zaważył ostatni rok i wrócił do Katowic. Utrzymywali go rodzice. To norma w naszych czasach. Sam starałem się uciec z domu najszybciej jak mogłem. Rodzina nie kojarzyła mi się zbyt dobrze.

– Zapalisz? – Wyciągnąłem w jego kierunku camele.

Cisza. Jak podczas kazania w kościele albo w muzeum sztuki nowoczesnej.

Są różne metody przesłuchań. Od kilku lat wszyscy podniecają się techniką wywiadu kognitywnego opracowaną przez speców z FBI. Na każdej policyjnej konferencji nazwiska Ronalda Fishera i tego drugiego, Edwarda Geiselmanna, twórców tych czarodziejskich sztuczek, wymieniane są z czcią i stosowną nabożnością. Pobudź pamięć przesłuchiwanego, poproś, by opowiedział to samo, ale od końca, wywołaj skojarzenia z czymś, co zna.

Dobra. Wiem to wszystko. Ale i tak uważam, że najlepsze są stare metody. W muzyce jest blues i niczego lepszego nie wymyślono. A podczas przesłuchania papieros, który pozwala nawiązać kontakt z podejrzanym.

– Bo widzisz – sięgnąłem do kieszeni – ja palę e-papierosa. Ale nie mogę nigdzie kupić smaku, który by mi odpowiadał. Zresztą co to za palenie...

Znów nic. Brak odzewu.

Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem koło chłopaka.

– Była z prostownicą? – zapytałem cicho.

Zaskoczony podniósł głowę, jakby ktoś dźgnął go widelcem podczas prozowanej kolacji.

– Że co?

– O, widzę, że jednak umiesz mówić! – Uśmiechnąłem się. – Siedziałeś taki ponury, że pomyślałem sobie, że ty jakieś emo jesteś.

– Bawiłem się paczką papierosów. – Moja żona prosiła, bym cię zapytał, czy ta suszarka, którą wrzuciłeś do wanny, była z prostownicą.

Moja żona... Nie wiem, skąd przyszło mi to do głowy. Może i by zapytała, gdyby nie wypadek samochodowy, który zdarzył się prawie dwadzieścia lat temu. Niedługo, myśli przebiegały mi przez głowę, będzie piętnasty i jak każdego miesiąca pojedę złożyć kwiaty. Kilka lat temu oznakowali to miejsce ze względu na dużą liczbę wypadków. Czarny punkt. Gdy zdarzył się wypadek, nikt o tym nie myślał...

– Ja tego nie zrobiłem! – Chłopak podniósł głos. – A pan – spojrzał na moją wymiętą marynarkę z łatami na łokciach – nie wygląda na takiego, co ma żonę! Zresztą pewnie niewiele pan ma... – W jego głosie zabrzmiała nutka szyderstwa.

– Posłuchaj, synku – wycedziłem. – Może i niewiele mam. Za to ty masz cholerne kłopoty. Wdepnąłeś jak śliwka w gówno. Szansa, że poprawisz swoją sytuację, jest bliska zeru. Chyba że się przyznasz.

– Ja tego nie zrobiłem – powtórzył jak katarzynka.

– Ależ zrobiłeś. – Odłożyłem camele na stół i sięgnąłem po elektronicznego papierosa. Ciekawe, czy jego też wymyślili Fisher z tym drugim?

– Popeliłeś jednak dwa błędy – ciągnąłem. – Pierwszy polega na tym, że postanowiłeś użyć suszarki. Tymczasem dziewczyna nigdy jej nie używała. Drugi błąd jest poważniejszy. Nie zabrałeś ze sobą kwiatów.

Uniósł głowę i spojrzał mi w oczy.

– W pierwszej chwili, gdy zobaczyłem kwiaty na zdjęciach, zignorowałem ten szczegół. Ale później coś mnie tknęło. Sprawdziliśmy, że dziewczyna nie miała imienin, urodzin, nic szczególnego nie wydarzyło się u niej w pracy. Nie dał jej tego bukietu na przeprosiny chłopak, z którym niedawno zerwała. Zresztą to nie były zwykłe kwiaty. Żadne tam róże czy tulipany. To był niezwykły bukiet od niezwykłego młodzieńca dla niezwykłej dziewczyny, prawda?

Zagryzł wargi i zacisnął pięści. Wpatrywał się we mnie w napięciu.

– Cóż więc tam mieliśmy? – Otworzyłem teczkę i wyszukałem odpowiednią notatkę. – Kombinacja protei, liście fatsji i palmy, leukodendron... A, jeszcze anturium Andreego. Swoją drogą – sapnąłem – kto wymyśla te straszne nazwy? Wyszukana kombinacja z Południowej Afryki i Australii. Nie ma co – uniosłem głowę – postarałeś się. Wykosztowałeś się bardziej niż na bilety do multipleksu.

Usta chłopaka drżały. A po chwili zaczęło trząść się jego całe ciało.

– Nie doceniła tego – szepnął. – Ani tego, że protea zaczyna się literą taką samą jak jej imię, a anturium...

– Nie, no chyba nie mówisz poważnie, tak to wymyśliłeś? – Nie mogłem powstrzymać się od uśmiechu. Ciekawe, jak zareagował Kulesza, który obserwował wszystko zza fenickiego lustra.

Adam Szyszko zerwał się z krzesła. Na twarzy chłopaka pojawiły się rumieńce.

– Nie ma pan prawa się ze mnie śmiać! Przyszedłem do niej z kwiatami, znaleźmy się z widzenia... Popchnąłem ją i wtedy upadła... To był wypadek! Ja naprawdę nie chciałem!

Jak wstał, tak teraz równie gwałtownie usiadł. Zgarbił się i ukrył twarz w dłoniach. Podeszedłem do okna. Na parkingu ktoś bez powodzenia próbował odpalić samochód. Po chwili się poddał. Całym ciężarem wsparłem się na poręczy krzesła, aż zaskrzypiało.

– To teraz ja ci opowiem, jak było. – Starłem się pohamować gniew. – Popchnąłeś ją, a gdy upadała, uderzyła o coś głową. Leżała bez oznak życia, a ty zastanawiałeś się, co zrobić. Ludzie w takich razach tracą głowę, ale ty do nich nie należysz. Pomyślałeś, że sprawy zaszły za daleko, że musisz się jakoś ratować, zatrzeć ślady. Przyszła ci na myśl suszarka. Ale u niej w łazience nie mogłeś znaleźć, a czas uciekał...

Sięgnąłem po e-papierosa.

– No więc co robisz? Wracasz do siebie, na siódme piętro, pewnie schodami, bo szybciej, a poza tym nie chcesz ryzykować, że ktoś spotkany w windzie cię zapamięta. Bierzesz suszarkę, zbiegasz na dół. Wypełniasz wannę wodą. Przechylasz ciało nad brzegiem, a przy okazji widzisz, że dziewczyna naprawdę była piękna.

Zanurzasz ją... Będzie wyglądało tak, jakby poślizgnęła się podczas suszenia włosów... I co się wtedy stało?

Popatrzył na mnie. Już nie był niewinnym aniołem. Z jego spojrzenia bił chłód, który mógłby zaintrygować speców od reklamy lodówek.

– I gdy ją zanurzasz, a może już wcześniej, czujesz, że Patrycja jednak żyje. Że odzyskuje przytomność. Mogłeś zrobić wszystko, ale nie dałeś jej szansy. Zabiłeś ją z zimną krwią. Tu nie ma mowy o przypadkowej śmierci.

Podszedłem do biurka i włożyłem dokumenty do teczki.

– Zastanawiałem się, dlaczego to zrobiłeś. Myślałem, że zdecydował strach przed konsekwencjami, które mógłbyś ponieść. Ale nie o to chodziło.

Pokręciłem głową.

– Ona cię wyśmiała. Miała cię gdzieś. I twój bukiet też. Poczujesz się poniżony. Tego nie mogłeś znieść... Nawet dziś, gdy mówiliśmy o tych kwiatach, zareagowałeś gwałtownie, bo przypomniałeś sobie, jakie upokorzenie cię spotkało.

Otworzyłem drzwi pokoju przesłuchań. Miałem dość.

– A z tą suszarką to myślałeś, że jesteś jak profesor Moriarty albo jakiś inny geniusz zła? Nie jesteś niezwykłym chłopakiem z niezwykłym bukietem kwiatów. Jesteś zwyczajnym mordercą. Wspominałem o błędach. Tylko kilka kwiaciarni w Katowicach mogło przygotować tak egzotyczną wiązanekę. A ty byłeś na tyle dumny ze swojego pomysłu, że podałeś nazwisko, gdy składałeś zamówienie. Prawdziwe nazwisko.

Przezesłem dłonią włosy na skroniach.

– A potem nie zabrałeś tych kwiatów ze sobą. Gdybyś to zrobił, to tak jakbyś przyznał się przed samym sobą do klęski. Tyle o tym. Aha – stałem już w drzwiach – jutro dostaniesz protokół, podpisz go. Tylko to może cię ocalić przed dożywociem.

Był środek nocy, a ja wciąż nie mogłem zasnąć. Dwa piwa to na ogół idealny środek nasenny. Ale nie tym razem. Zresztą nie powinienem się dziwić. Katastrofa samolotu, krótki, ale intensywny trening z Kastoriadisem, po którym pozostały mi obolałe i posiniaczone przedramiona, oraz Suszarkowy Morderca.

Gdyby nie zbieg okoliczności, wszystko mogło potoczyć się inaczej. Przypadek sprawił, że zadziałał efekt domina. Może gdyby nie ten drwiący uśmiezek wypisany na twarzy dziewczyny, sprawy przybrałyby inny obrót. Gdyby chłopak nie wyskoczył z tym, że nazwy kwiatów mają coś wspólnego z imieniem... I gdyby był odporniejszy psychicznie i mniej przewrażliwiony na swoim punkcie. Swoją drogą, kompletny obłąd.

Wstałem z łóżka i po raz pierwszy od kilku miesięcy zajrzałem do pokoju syna. Odkurzałem tam od wielkiego święta. Może podświadomie chciałem ocalić w tej przestrzeni coś, co kojarzyłoby mi się z jego obecnością. Młody już tu nie wróci. To pewne. Skończy studia w Akademii Morskiej i zostanie na Wybrzeżu. Zresztą gdziekolwiek, byle z dala ode mnie. Morderca był w jego wieku. Może ta zbieżność mnie tak zaniepokoiła?

Za oknem ujadał pies. Wróciłem do siebie i kolejny raz włączyłem płytę z bluesowymi standardami. Nie ma Boga na wiejskiej drodze. Tak, to prawda. Przed oczami mignęła mi twarz zamordowanej dziewczyny. Pewnie nie ma go w ogóle. A jeżeli jest, nie należy do moich sprzymierzeńców.

3

Nie wierzę w prawo serii. Jedyny wyjątek czynię dla seryjnych morderców oraz płyt Led Zeppelin, genialnych bez wyjątku. Są jednak tacy, którzy uważają, że śmierć przyciąga śmierć. Że zmarła żona przywołuje do siebie męża. Że nie minie rok, a facet przygarnie do grobu kobietę, nawet jeśli za życia wyzywał ją od najgorszych za przypalony obiad.

W moim wypadku pogrzeb gonił pogrzeb. Tydzień temu na Wawelu pochowano prezydenta. Nie do końca rozumiałem tę kłótnię nad trumną, nie kibicowałem żadnej ze stron debatujących nad miejscem pochówku pary prezydenckiej. Nie bardzo mnie to obchodziło. W poniedziałek 26 kwietnia wziąłem udział w innej imprezie funeralnej, która dotyczyła kogoś, kogo znałem. I zapowiadała się mniej wystawnie. Nie miał to być więc Wawel, lecz cmentarz komunalny w Katowicach przy ulicy Murckowskiej. Wyjąłem z szafy swoją jedyną czarną koszulę i jedyną czarną marynarkę. Próbowałem odnaleźć krawat, ale w końcu machnąłem na to ręką. Rdzewiejącymi nożyczkami przyciąłem siwiejący zarost. Przejrzałem się w lustrze. Facet w czerni. Mógłbym udać się na koncert gotyckiego rocka albo śpiewać *narcocorridos* w Tijuanie. Brakowało mi tylko sombrera.

Starszy aspirant Kobro nie był moim przyjacielem, nigdy też razem nie pracowaliśmy. Ale był z tej samej branży. Należał do

policjantów, którzy sami prochu nie wymyślą. Ale tacy są podobno najbardziej potrzebni. Spektakularnym wyczynem Kobry było zatrzymanie ekipy niszczącej znaki drogowe w Katowicach i narażającej budżet miasta na duże straty. Śledztwo nazywano „B-16”, bo to właśnie znak zakazu zatrzymywania się złodzieje upodobali sobie szczególnie. Emocji w tym tyle, ile w dojrzewalni bananów. Ale w takich sprawach Kobro był naprawdę niezły.

Ledwo wszedłem na cmentarz, natknąłem się na puszkę po piwie Rysy oraz butelkę po wódce Biznesowa Cytrynowa. Wprawdzie od kilku lat cmentarz był monitorowany, nie przeszkadzało to jednak okolicznym menelom. Przynajmniej otoczony grobami człowiek nie pije w samotności. A i na sztukę się napatrzy. Jeden nagrobek z wyrzeźbionym złamanym drzewem, inny z garbatym aniołem, którym powinni się zainteresować ortopedzi z Konstancina pod Warszawą. Amatorom mocniejszych wrażeń pozostaje kwatera N.N., gdzie chowa się osoby o nieustalonej tożsamości. Kopnąłem w bok kolejną puszkę.

Krzysztof Kamil Kobro imiona zawdzięczał matce, wielbicielce polskiej poezji. Zginął najgłupiej, jak można. Wyszedł wieczorem z bloku wyrzucić śmieci. I już nie wrócił. Jeden cios nożem w okolice serca załatwił sprawę. Ciało leżało koło kontenera przysypane odpadkami. Dwie wersje zdarzeń konkurowały ze sobą. Według pierwszej zabójstwo miało związek z podpaleniami samochodów na Śląsku. A aspirant zginął mniej więcej w tym samym czasie, w którym kilka przecznic od jego mieszkania płonął elegancki saab. Konkurencyjna hipoteza głosiła, że zabójstwo było wynikiem zemsty. Ktoś w końcu wysypał na ciało śmieci. Wiele wskazywało więc na osobiste porachunki. Ale kto mógłby chcieć

śmierci Kobry? Przecież nie złodzieje znaków drogowych. Płonące wozy łączono z porachunkami mafijnymi, sprawą zabójstwa zajęli się spece od przestępczości zorganizowanej. Specjalny nadzór nad śledztwem objął komendant śląskiej policji. Ci od mafii nie lubią, gdy zagląda się im w papiery, i potrafią być naprawdę niemili. Więc tam nie zaglądałem. Ale mówiło się, że na razie błędzą jak dzieci we mgle.

W sumie nieważne jak było. Niewłaściwy człowiek znalazł się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Przypomniałem sobie jedno z niewielu spotkań z B-16. Ksywa ta przyłgnęła do niego nieodwołalnie jak wizerunek króla Jagiełły do banknotu stużłotowego. Kobro narzekał na pracę w policji, chciał odejść.

– Skończę z tym i założę firmę ochroniarską. Krzysztof Kamil Kobro. W skrócie: KKK. Prawie jak Ku-Klux-Klan. – Zaśmiał się. – Albo nie. Cobra. Pisana przez „C”.

– A nie B-16? – zawołał ktoś wesoło.

Rozległ się śmiech. Kobro wzruszył ramionami, wstał od stołu i trzasnął drzwiami. Podobno nawet złożył wymówienie, po czym w ostatniej chwili je wycofał. Takich opowieści krążyło wiele, więc nie bardzo w nie wierzyłem.

W kaplicy ujrzałem trochę znajomych twarzy oraz kilka całkiem młodych i nieznanymi, za to w mundurach. Mignęła mi nawet broda medyka sądowego Taranienki. Jego się nie spodziewałem. W sumie przez dwadzieścia lat nazbierało się trochę pogrzebów. Kilka hucznych, z salwami honorowymi. Kilka zaskakujących. Jak wtedy, gdy zmarły zażyczył sobie *Highway to Hell*. Albo gdy trumnę podczas ostatniej drogi eskortowało czterech motocyklistów na harleyach. Widziałem zalanych w trupa grabarzy i ekipy z firm pogrzebowych

w garniturach tak drogich, jakby właśnie wyszli z bankietu w „Ritzu”.

Ze wspomnień wyrwał mnie kobiecy trzęsący się głos.

– Śmierć każdego człowieka umniejsza mnie, albowiem jestem zespolony z ludzkością. Przeto nigdy nie pytaj, komu bije dzwon: bije on tobie.

Spojrzałem na drobną kobietę w czarnej woalce. Najwyraźniej matka Kobry lubiła nie tylko polskich poetów. Ksiądz odprawiający nabożeństwo nie pozostał dłużny.

– Jesteśmy świadkami strasznych czasów, w których tragedia goni tragedię. A ich znakiem wulkaniczny pył z Islandii spowijający Europę niczym żałobny całun.

Kulesza spojrzał na mnie i ciężko westchnął.

– Podobno rodzina zabroniła robić zdjęcia i kręcić filmy podczas pogrzebu. By nie zepsuć tradycyjnej uroczystości – szepnął.

– No to nie zobaczymy się na Facebooku. Nie obejrzymy też B-16 na lawecie. Ani nie usłyszymy księżulka.

Kulesza zaczął kasłać. Widziałem, że z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Każdy z nas w takich sytuacjach radzi sobie jak może. Byle nie zarazić się śmiercią. Najwyraźniej my potrafiliśmy uporać się z tym tylko w ten sposób.

Pogrzeb przebiegał bez niespodzianek. Ciało złożono w grobie, obok krzyża ktoś położył policyjną czapkę. Komendant odczytał pożegnalny list. Opisując bogatą karierę zmarłego, nie zająknął się o schwytyanych złodziejach znaków drogowych. Było uroczyście i podniosłe.

Podeszliśmy z Kuleszą do wdowy, by złożyć kondolencje.

Kobieta otarła oczy chusteczką i przyjrzała mi się uważnie.

– Pan się nazywa Heinz, prawda?

– Tak. – Byłem zaskoczony.

– Mąż wspominał o panu.

Pokręciłem głową.

– Musi mnie pani z kimś mylić. Nie znaliśmy się zbyt dobrze. Niezależnie od tego proszę przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia.

Widziałem tę kobietę po raz pierwszy. Chciałem jeszcze o coś zapytać, ale rozmyśliłem się.

Gdy wracałem do samochodu, zaczęło padać. Spojrzałem w niebo. Ciężkie chmury koloru brudnego metalu wisiały nad miastem. Ale na cmentarzu czekała mnie jeszcze jedna niespodzianka.

Przy bramie stał mężczyzna, który patrzył w moją stronę. A raczej nie tyle patrzył w moim kierunku, ile spoglądał wprost na mnie. Pomimo że rozpadało się na dobre i wzmógł się wiatr, w jednej chwili poczułem, że robi mi się gorąco. O pomyłce nie mogło być mowy.

Jak to szło? Tragedia goni tragedię. Nieszczęście gna za nieszczęściem. Może jednak ci, którzy mówią o prawie serii, mają rację? W tym momencie byłem gotów uwierzyć we wszystko.

Zatrzymałem się, żeby przyjrzeć się starszemu człowiekowi. Wspierał się dłonią o bramę cmentarza, jakby brakowało mu sił albo jakby chciał tym gestem zagrozić mi drogę. Czułem, jak tężeją mi mięśnie, a twarz upodabnia się do maski pośmiertnej. Ktoś uciekający przed deszczem potracił mnie, ale nie zwróciłem na to uwagi. W oddali zaszumiał meleks przewożący zapewne kolejną trumnę.

Zaraz wystawię cię w walkach psów, takiego szczękoscisku dostałeś, powiedziałem kiedyś do podejrzanego. Mógłbym powiedzieć teraz to samo do siebie.

Zrobiłem dwa kroki naprzód. Spojrzałem tamtemu w oczy, które były lustrzanym odbiciem moich piwnych. Znajdował się na wyciągnięcie ręki, ale nie zamierzałem mu jej podać. Napięcie mięśni nagle ustąpiło.

– Cześć, Rudolf. – Usłyszałem lekko nosowy głos. – Chyba czas, byśmy wreszcie porozmawiali. Na komendzie powiedzieli mi, że tu cię znajdę.

Nie wytrzymałem.

– Przyszedłeś tu, bo uznałeś, że podczas pogrzebu nic ci nie grozi? Że na cmentarzu nie rzucę się na ciebie? Świt żywych trupów, co? A może powrót taty?

Józef Heinz, mój ojciec, którego ostatni raz widziałem czterdzieści lat temu, zamrugnął nerwowo i pokręcił głową, jakby chciał zaprzeczyć.

– Co cię napadło? Mieliśmy przecież spotkać się na Wybrzeżu, na koncercie Krzyśka...

– Ale nie dojechałeś.

Zawiodłeś jak zwykle, chciałem dodać, ale się powstrzymałem.

– Zatrzymały mnie wtedy ważne sprawy.

– A wcześniej ważne powody sprawiły, że zostawiłeś rodzinę. – Podszedłem do samochodu i otworzyłem drzwi.

– Zaczekaj! – Złapał mnie za rękę. – Daj mi pół godziny. Chciałem cię poprosić o pomoc w pewnej sprawie.

– Zwróć się do wróżki. – Wyrwałem mu się. – Jest tu taka w Katowicach, która wróży w sprawach biznesowych i osobistych.

Powiedz, że nazywasz się Heinz, a będziesz miał zniżkę.

Ruszyłem z piskiem opon. Zbliżałem się do Osiedla Tysiąclecia i wciąż nie mogłem ochłonąć. Wiele razy zastanawiałem się, jak będzie wyglądać nasze spotkanie po tylu latach. Kreśliłem w głowie rozmaite scenariusze, a ten dzisiejszy był jednym z nich. A jednak nie wytrzymałem. Puściły mi nerwy. Nie byłem przygotowany na tę konfrontację. W innej sytuacji zachowałbym się lepiej. A tak niewiele brakowało, bym się na ojca rzucił. Gazety miałyby o czym pisać. Rodzinne porachunki na cmentarzu. Policjant pobił byłą gwiazdę futbolu.

W ostatniej chwili zauważyłem, że samochód przede mną hamuje. Nadepnąłem pedał i czekałem na cud. Czułem, jak zarzuca mnie w lewo, a potem w prawo. Zatrzymałem się kilkadziesiąt centymetrów za toyotą. Gdy kierowca przede mną ruszył, zobaczyłem na bagażniku nalepkę z napisem: „Dziki kraj”.

Nabrałem powietrza w płuca i skręciłem w lewo w kierunku Tauzena. Wiedziałem, że ten dzień mam z głowy. Zadzwoiłem do firmy i powiedziałem, żeby dziś na mnie nie liczyli.

Pierwsza płyta Led Zeppelin nie przyniosła ukojenia. Jimmy Page, mój ukochany gitarzysta, jest mniej więcej w wieku mojego ojca, przemknęło mi przez głowę. Zacząłem czytać *Wskreszenie umarłych*, kryminał austriackiego pisarza Wolfa Haasa. Nie mogłem się skupić i cisnąłem książkę w kąt. *Wskreszenie umarłych*. No właśnie. Wszystkie myśli krążyły wokół spotkania z Józefem Heinzem. Emocje powoli opadały. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego tak nagle się pojawił. Wspomniał, że ma do mnie jakąś sprawę. Ciekawe, o co mogło chodzić. Może młody coś wie? Ostatecznie to on nawiązał kontakt z dziadkiem. Wybrałem numer telefonu syna

i jak zwykle zderzyłem się ze szczebioczącym głosem dziewczyny nagrany na sekretarkę.

Czteropak perły nie pomógł mi zasnąć. Wyszperałem w szufladzie środki nasenne. Bezsenna sprawiła, że moje ciało przemieniło się w chodzące laboratorium chemiczne. Połączenie alkoholu ze stilnoksem niemal mnie kiedyś zabiło. Lunatykowanie i wykonywane w środku nocy telefony, o których później nie pamiętałem, to w takich sytuacjach norma. Drobne skutki uboczne. Od pewnego czasu sypiałem lepiej, rzadziej sięgałem po prochy, a już z pewnością nie po tak mocne jak kiedyś.

Gdy w końcu zasnąłem, przyśnił mi się uśmiechnięty mężczyzna. Trzymał małego chłopca za rękę i szedł z nim przez puste boisko piłkarskie. Wolną dłonią machał do kogoś siedzącego na trybunach.

Obudziłem się w środku nocy.

Chyba krzyczałem przez sen. W pobliżu nie było jednak nikogo, kto mógłby to potwierdzić.

4

Drzwi gabinetu naczelnika wydziału zabójstw Pawła Gawlika jak zwykle były otwarte. Szelest papieru i przekładanych dokumentów to najczęstszy dźwięk, jaki dobiegał z jego pokoju. Nowy szef stanowiąc przeciwieństwo swojego poprzednika, wielbiciela armwrestlingu skupionego na pomiarach obwodu bicepsa. W siłowaniu się na rękę Gawlik byłby zapewne bez szans nawet z moją sąsiadką emerytką. Filigranowy brunet nie miał w sobie nic z herosa, uchodził natomiast za tytana pracy. Krążyła o nim legenda, że w ciągu wielu lat służby ani razu nie był na zwolnieniu lekarskim. W naszym fachu takie przypadki nie mają prawa się zdarzyć.

Gdy więc Gawlik objął schedę po tym kretyńce Kościuku, na wszystkich padł blady strach. Oczami wyobraźni widzieliśmy już dziesiątki kiepsko płatnych nadgodzin, śrubowanie wszelkich statystyk i bicie rekordów wykrywalności oraz niekończące się, jak w szwedzkim kryminale, zebrania. Na szczęście okazało się, że nowy szef wymaga poświęceń głównie od siebie. My mieliśmy być po prostu w porządku. Ja byłem. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Nikt nie jest doskonały. Naczelnik nie przypadkiem zwany był Pawłem-Gawłem. Bywało, że w tym człowieku łagodnego usposobienia odzywała się dzika strona osobowości. Zupełnie jak u doktora Jekylla, który przeistaczał się w pana Hyde'a.

Wyprowadzony z równowagi Paweł-Gaweł strzelał seriami najwymyślniejszych przekleństw z szybkością kałasznikowa. Wypalił tak kiedyś do dziennikarza z mikrofonem. Gdy zorientował się, że wypowiedź idzie na żywo, uszło z niego powietrze. Machnął ręką, odwrócił się na pięcie, burknął coś pod nosem i pozostawił reportera lokalnej telewizji w totalnym oszołomieniu. Wpadka niemal kosztowała go utratę stanowiska, a Gawlik od tego czasu przestał udzielać wywiadów. Odbijał to sobie w swoim gabinecie.

Siedziałem naprzeciwko jego biurka z nogą założoną na nogę i zastanawiałem się, w jakim jest nastroju. Ważyły się losy mojego urlopu.

– Mówisz: tydzień. – Gawlik nie patrzył na mnie. Skupił się, jak to miał w zwyczaju, na przeglądaniu dokumentów.

– Tylko tydzień. – Starłem się, by mój głos brzmiał przekonująco.

– Znów dzwoniли z centrali. Pytają, co robimy z tymi podpaleniami samochodów. I o B-16 też pytali. Wiesz, jak to jest, gdy ginie policjant. Nie wydawali się usatysfakcjonowani odpowiedzią.

Niedobrze. Robi się gorąco. Zabagnione śledztwa domagają się wszystkich rąk na pokładzie.

– Moim zdaniem te sprawy się nie łączą. – Podrapałem się po nieogolonym policzku. – Jeśli chodzi o podpalenia, mówiłem ci, jakie jest moje zdanie. To zabawa sprytnych małolatów, a nie żadna mafia. B-16 miał po prostu pecha...

– Pecha to będziemy mieć wszyscy, Hipis – przerwał mi.

Mógłbym wyłysieć, a i tak do śmierci będą nazywać mnie Hipisem. Już nawet nie pamiętam, skąd się ta ksywa wzięła. Ale zawsze mogło być gorzej. Na przykład gdyby nazwali mnie B-16.

Poruszyłem się niespokojnie. Mógłbym powiedzieć Gawlikowi, że są inne sposoby, bym dopiął swego. Mógłbym udać się do szpitala psychiatrycznego na trzymiesięczne leczenie. Należy się skołatanym nerwom profilera. I jeszcze dostawałbym za to kasę. Grubo ponad stówę dziennie. Jedzenie marne, ale można sobie dokupić. Niby to szpital psychiatryczny, ale tak naprawdę nikt nie kontroluje tego, co robisz. Sklep w pobliżu, browar pod ręką. Życie nie umierać. Mogłem to wszystko powiedzieć, ale nie zrobiłem tego. Zbyt długo się znaliśmy, bym podchodził go w taki sposób. Poza tym groziła mi seria przekleństw.

– Potrzebuję tego tygodnia. Mam kilka spraw rodzinnych...

Gówno prawda. Nie miałem nic do załatwienia. Ojciec niczym duch objawił się na cmentarzu, a po tym spotkaniu znikł bez śladu. Minęły dwa dni, a on nawet telefonicznie nie spróbował się skontaktować. Było to nawet nieco dziwne. Gdybym był na jego miejscu, przynajmniej bym zadzwonił. Na Wybrzeże do młodego nie miałem po co jechać. Nie byłem powabną dziewczyną, tylko starzejącym się ojcem, więc raczej nie przyjąłby mnie z otwartymi ramionami. Widocznie u Heinzów niechęć do rodziców dziedziczy się genetycznie. Paweł-Gaweł nie musi jednak tego wiedzieć. A na Śląsku rodzina to rzecz święta. Nawet w tak bezbożnym miejscu jak komenda policji.

Naczelnik oderwał wzrok od papierów i popatrzył na mnie przeciągle. Przejrzał mnie. Byłem tego pewien.

- Dobra, Hipis – powiedział w końcu. – Najwyżej tydzień, okej? Prawie chciałem przybić mu piątkę.
- Ale zanim udasz się na urlop, wyświadczyć mi pewną przysługę.
- Zamieniam się w słuch.

– Słyszałem, że twój zespół ma teraz próby w Sosnowcu.

– Nie wiedziałem, że lubisz bluesa. A w dodatku, że jesteś naszym fanem! Tak, to prawda. Próbujemy w Sosnowcu.

– Tak w ogóle nazywacie się jakoś? Od nikogo nie mogłem się dowiedzieć.

– Killing Floor.

– Killing Floor? – Skrzywił się. – Co to jest?

– Nie wiesz? To więzienny oddział, na którym przetrzymuje się najgroźniejszych przestępców. Chcesz śpiewać u nas chórkach czy jak?

Tym razem wpatrywał się w ekran laptopa.

– Mamy problem z bin Ladenem.

Sięgnąłem po e-papierosa. Wreszcie udało mi się kupić liquid o smaku moich ulubionych chesterfieldów.

– Z tego, co się orientuję, z bin Ladenem mają kłopot przede wszystkim Amerykanie. I to prawie od dziesięciu lat.

– Nie o tego, kurwa, mi chodzi. – Paweł-Gaweł najwyraźniej zaczął tracić cierpliwość. – Stanisław Cieślak. Pamiętasz takiego?

Przytaknąłem. Trudno było zapomnieć. Prawdziwych frików się pamięta. Cieślak był chemikiem, pracował na Politechnice Śląskiej. Specjalista od radioizotopów wykorzystywanych w górnictwie do odkrywania złóż rud metalu i paliw kopalnianych. Albo czegoś podobnego. Nie znam się na tym.

– Więc pewnie kojarzysz, że kłopoty z Cieślakiem pojawiły się, odkąd zaczął grozić rzecznikom patentowym, którzy jak utrzymywał, ujawnili konkurencji tajemnice jego przełomowych odkryć. Zdziwaczał, wywalili go z uczelni, zapuścił brodę jak bin Laden albo Rasputin, a potem zaczął konstruować ładunki

wybuchowe. Nasi pirotechnicy twierdzili, że facet ma fach w ręku. Wybitny talent...

Aż wreszcie postanowił wysadzić kamienicę, w której mieszkał – przerwałem mu. – Twierdził, że jest szykanowany przez mieszkańców.

– Właśnie wyszedł na wolność. I wraca na stare śmieci. Dawni sąsiedzi podobno grożą mu linczem.

– Dlaczego my mamy się tym zająć? Przecież to sprawa tych z Sosnowca...

Gawlik spojrzał znad ekranu. A potem zanurkował pod blat biurka i zaczął grzebać w szufladach.

– Owszem, to jest ich sprawa. – Stęknął i wynurzył się na powierzchnię. – Ale to ty zatrzymywałeś bin Ladena. Będiesz tam, więc pogadaj z ludźmi, z nim też, jeśli go spotkasz. Może cię jeszcze pamięta. A może nawet serdecznie wspomina. – Uśmiechnął się. – Obiecałem chłopakom z Sosnowca, że ich wspomozemy. Oni też nam pomagają.

Jasne. Na Śląsku rodzina to naprawdę rzecz święta. Policyjna rodzina też.

Wzruszyłem ramionami. Wstałem. Negocjator ze mnie mniej więcej taki jak z Brudnego Harry'ego. Ale jak mus, to mus.

Była siedemnasta, gdy znalazłem się w Sosnowcu na ulicy Głogowskiej, pod czynszówką, w której mieszkał bin Laden. Przyjechałem z Katowic znacznie wcześniej. Zostawiłem gitarę w bagażniku i tak jak miałem w zwyczaju, udałem się do baru na Sienkiewicza, który reklamował się największym burrito w mieście. Wprawdzie „El Mexico” sąsiaduje z zakładem pogrzebowym, ale nigdy nie psuło mi to apetytu.

Dom na Głogowskiej wyróżniał się czerwoną wyszczerbioną cegłą i poszarzałymi od sadzy talerzami anten satelitarnych. Miejsce, jakich wiele. Obok sklep z tanią odzieżą i punkt sprzedaży telefonów komórkowych. Metalowa buda z hamburgerami i watą cukrową, delikatesy „Szarotka”, a kilkaset metrów dalej multipleks „Plaza”. Zaściankowość miesza się z nowoczesnością, jak wszędzie. W pobliżu blokowisko upstrzone krzywym liternictwem. „Łowcy hanysów”. Przestroga kibiców piłkarskich skierowana do innych fanów futbolu. Byłem pewien, że także mieszkańcy kamienicy pozostawili swoje ostrzeżenie bin Ladenowi. I nie pomyliłem się.

Nawet ślepy zauważyłby to mieszkanie. Na drzwiach pomalowanych na czarno ktoś białą farbą zrobił napis: „Wypierdalaj!!!”. Więcej wykrzykników się nie zmieściło. Zapukałem. Żadnej reakcji. Zastukałem ponownie. Tym razem rozległ się szelest, tyle że po przeciwległej stronie. A potem otworzyły się drzwi naprzeciwko.

Mężczyzna w siatkowanej koszulce na ramiączkach, nazywanej niekiedy żonobijką, mrużył oczy pod zrosniętymi krzaczastymi brwiami.

– Czego tu? Pierdolona opieka społeczna? – Trudno było potraktować te pytania jako znak pokoju.

Nie wdawałem się w dyskusję. Wyjąłem policyjną blachę.

– A więc nawet psy go bronią! – Podrapał się po owłosionej klacie. – Niech tylko skurwysyn się tu pokaże, a skończy z siekierą w plecach. Chcieliśmy wysmarować mu drzwi gównem, ale cuchnęłoby na całą kamienicę.

Patrzyłem w przekrwione złe oczy. Skądś znałem tego faceta. Ale skąd? Zresztą jakie to ma znaczenie.

– Jeśli Cieślakowi spadnie włos z głowy, tobie pierwszemu dobioreę się do dupy. Masz to u mnie – powiedziałem spokojnie.

– Grozisz mi? Na tym polega wasza jebana sprawiedliwość. – Jego szyja pokryła się czerwonymi plamami. – Ale załatwię gnoja! Załatwię! – dyszał.

– On tu nie wróci. – Zza pleców mężczyzny odezwał się kobiecy głos. W drzwiach stanęła potężna blondynka o nienaturalnie jasnych dłoniach. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że jej ręce były pokryte mąką. – Coś panu powiem – wycedziła. – W bloku naprzeciwko mieszkał asfalt. Czarnuch. I co? Już nie mieszka – ciągnęła z satysfakcją. – Poradzili sobie z nim. I z tą jego białą lafiryndą, znam ją zresztą. I z tym małym bękartem też. To my sobie z jednym pomyleńcem nie damy rady? Pogonimy gnoja! – Klasnęła w dłonie. Mgła z mąki wzbiła się w powietrze niczym dym na koncercie Scorpionsów.

Zszedłem na dół. To nie może zakończyć się dobrze. Facet jest załatwiony. Ten psychol z naprzeciwka i jego upiorna żona nie odpuszczą. Fajna parka. Jak Bonnie i Clyde. Nie opuszczała mnie myśl, że gdzieś już kiedyś widziałem tego mężczyznę.

5

Ludzie różnie wykorzystują urlop. Najgorsi są ci, którzy każdą godzinę muszą mieć zaplanowaną z wielomiesięcznym wyprzedzeniem i wielokrotnie omówioną z towarzyszami tego wątpliwego wypoczynku. I nigdy nie rozstają się z telefonem komórkowym ani laptopem, a przy tym podają nieskończoną liczbę wymówek, dlaczego muszą być podpięci do sieci. Inni odrabiają w tym czasie domowe zaległości: sprzątajają miejsca i tak lśniące czystością albo naprawiają meble i przekonują, że udręczona mina bierze się z bólu kolana albo kontuzji stawu biodrowego. Są i tacy, którzy podczas urlopu realizują swoje postanowienia noworoczne. Na przykład odchudzają się. I raz w tygodniu, jeśli byli dzielni i wytrwali, przyznają sobie nagrodę. Centymetr kwadratowy czekolady, niskokaloryczny batonik lub coś równie absurdalnego. Są wreszcie tacy, do których urlop w ogóle nie pasuje. Taki Gawlik na pewno porządkuje wtedy akta. Sprawy rozwiązane, nierozwiązane i zamknięte oraz te w toku. Albo według innego klucza. Ktoś opowiadał mi, że naczelnik jest fanem surfingu, ale brzmiało to jak gadka pijaka fantasty spod budki z piwem.

Na szczęście z nikim nie musiałem uzgadniać swojego urlopu. Nie miałem też nic do naprawienia. Nic z wyjątkiem mojej głowy.

Czułem się, jakby zważyło się na mnie kilka ton żelastwa. Nie mogłem spać, a jeśli już zasnąłem, męczyły mnie koszmary. Ciało

mężczyzny przywiązanego do drzewa i rozszarpanego przez dzikie zwierzęta. Odcięta głowa staruszki ukryta w pralce. Takie historie zdarzają się nie tylko w filmach. Ostatnio we śnie zobaczyłem policjantkę z Warszawy, która pomagała mi przy dwóch sprawach. Chorowała na raka. Szanse, że z tego wyjdzie, były małe. Prawie żadne. Z równym prawdopodobieństwem zostanę Misterem Universum. Ale telefon od chłopaków ze stolicy milczał. A mieli mi dać znać, jeśli zdarzy się najgorsze. Nie mogłem też wykluczyć, że zapomnieli. Wolałem jednak tego nie sprawdzać. W ciągu dnia nie było lepiej, moją głowę odwiedzali nieproszeni goście. Kilka tygodni temu, gdy wychodziłem z McDonalda, natknąłem się na wycieczkę uczniów z podstawówki. Przed oczami mignęła mi poważna twarz chłopca ze zdjęcia do szkolnej legitymacji. Przez te wszystkie lata flashbacki towarzyszyły mi niczym cienie. Milczące wyrzuty sumienia. Chłopiec zniknął podczas białego tygodnia. Wraciał z kościoła w jasnym garniturze i ślad po nim zaginął. Nie rozwiązaliśmy tej sprawy. Wielu innych też nie. Może zbliżał się wielkimi krokami ten moment, gdy ciało jeszcze nie odmawia posłuszeństwa, ale w głowie następuje zwarcie.

Wielu się w takich chwilach wycofywało. Nie mogłem tego zrobić. Ale za moją decyzją nie przemawiał żaden heroizm niezłomnego gliny.

Sam w czterech ścianach nie wiedziałbym, co ze sobą zrobić. Z pewnością bym zwariował. A skoro tak, wolałem oszaleć przy robocie.

Podczas urlopu naprawiałem więc głowę. Chodziłem na treningi do Kastoriadis. Grek wynajął pomieszczenie, które miało być nową salą treningową. Mieszkanie ma być mieszkaniem, a *dojo* to ma być

dojo, mrucał pod nosem. Jeździłem więc na ulicę Wodną, mijałem sklep akwarystyczny dla profesjonalistów oraz kilka ruder, a potem wchodziłem w bramę ozdobioną napisem: „Ryzy – persona non grata”. Ciekawe, o kogo chodziło? Lambros Kastoriadis nie był zadowolony z moich postępów, chociaż dawałem z siebie wszystko i wylewałem litry potu. Czasami traciłem wiarę, że doczekam się kiedyś pochwały. Myślałem, że może zwyczajnie się do karate nie nadaję i powinienem zająć się czymś spokojniejszym. Na przykład nordic walkingiem. A potem zaciskałem zęby i ćwiczyłem ze zdwojoną energią.

– Wstyd przynosisz swojemu senseiowi – zamruczał. – Gdzie twoje mięśnie wewnętrzne? Bez nich będziesz jak te wygolone uliczne cyborgi. Jak złocona rama, z której wyjęto obraz.

Taki z Kastoriadisa poeta, jaki ze mnie karateka.

Na gitarze też nigdy nie będę grał jak Alvin Lee. Ale na koncercie w Sosnowcu daliśmy czadu. Szkoda, że widziała to tylko garstka znajomych.

Sekcja rytmiczna miała niespożytą energię i przypominała serce długodystansowca. Miałem też swoje pięć minut, gdy przyszła pora na *All Along the Watchtower*. Nasza wersja nie brzmiała kameralnie, jak u Dylana, ani nie była technicznym popisem, tak jak u Hendrixa. Wybraliśmy coś pomiędzy.

There must be some way out of here, said the joker to the thief², nuciłem cicho, a gitara strzelała trzema delikatnie przesterowanymi akordami. Gdy kończyliśmy ostatnią zwrotkę, wydało mi się, że do klubu wszedł mój ojciec. Nieczysto trafiłem w struny. Zamrugłem oczami i duch znikł. Zarobiliśmy na naszym graniu tyle, że starczyło na kilka piw na głowę.

Gdy wróciłem do domu, w skrzynce czekał list. Moje nazwisko wypisane było drukowanymi literami, stempel pocztowy rozmazał się, nie było nadawcy. Dokładnie obejrzałem kopertę pod światło. W takich wypadkach ostrożności nigdy dość. W końcu nie wiadomo, kiedy człowiek trafi na swojego Unabombera. Otworzyłem przesyłkę nożem i delikatnie wyjąłem dwie kartki złożone na pół. Pierwszy list napisano na komputerze. Zobaczyłem podpis. Promile wyparowały z mojego ciała w jednej sekundzie. Zacząłem czytać.

Drogi Rudolfie,
spodziewałem się, że nasze spotkanie po latach przebiegać będzie inaczej. Być może nie powinienem zjawić się w takim miejscu, ale Twoje zachowanie to także nie była Liga Mistrzów. Może po prostu oczekiwałem za dużo. Nie będę się teraz usprawiedliwiać. I tak pewnie nie chciał byś tego słuchać. Powiem Ci tylko, że wszystko miało być inaczej. Nie chciałem Was zostawić. Stało się jednak tak, jak się stało. Załączam także drugi list, który otrzymałem od Twojej Matki krótko przed jej śmiercią. Mam nadzieję, że trochę Ci wyjaśni i pomoże zrozumieć, że nie do końca jesteśmy panami własnego losu. Muszę się z Tobą spotkać. Sprawa jest poważna. Chodzi o czyjeś życie. Właściwie o czyjąś śmierć. Liczę na Twoją pomoc i mam nadzieję, że tym razem mi nie odmówisz. Zadzwoń do Ciebie w czwartek 3 maja. Na dniach przyjadę do Katowic.
Trzymaj się dobrze.

Pod listem widniał ukośny odręczny podpis: Józef Heinz. Pod nim znajdowały się numer telefonu oraz komputerowy dopisek:

Adres podał mi Twój syn. Krzysiek prosił, bym Cię pozdrowił.

Przeczytałem list ponownie. I jeszcze raz. Ortografia ojca to z pewnością także nie była Liga Mistrzów. W dodatku wciągał młodego do gry i niedwuznacznie dawał mi do zrozumienia, że mój syn trzyma jego stronę. Piwo w lodówce czekało wiernie niczym ostatni Mohikanin. Zwlekałem z rozłożeniem drugiej kartki. Jeszcze kilka sekund i kilka kolejnych łyków.

Matka napisała list odręcznie. Dobrze znałem jej charakter pisma. Litery były drobne i równe jak spod linijki. Spojrzałem na datę. Dwa miesiące później umarła. Nikt nie spodziewał się jej śmierci. Przyszła nagle, we śnie. Być może to był ostatni list, jaki napisała.

Józefie,

są rany, które się nie goją. Najpierw czułam gniew, potem upokorzenie. Nawet nie wiesz, jak to jest, gdy idziesz z małym chłopcem, trzymasz go za rękę, słyszysz szepty sąsiadów i widzisz ich złośliwe uśmiechy. Zostawiłeś nas po prostu i Twoje intencje nie miały tu nic do rzeczy. Rozumiem, że chciałeś zapewnić nam lepsze życie i ściągnąć nas do siebie. Rozumiem też, że natrafiłeś na kłopoty nie do przewyciężenia. Piszesz, że takie były czasy. Pewnie tak. Nie możesz zrozumieć, dlaczego później nie zdecydowałam się przyjechać do Ciebie, mimo że na to nalegałeś. Kiedyś Ty podjąłeś decyzję, teraz ja podjęłam swoją. Nie mam wiele, ale nie rzucę tego wszystkiego tylko dlatego, że tak chcesz. Powiem Ci coś, co może Cię pocieszy. Moje rany się zagoiły. Nie na tyle, bym zaczęła nowe życie, ale wystarczająco, bym mogła Ci wybaczyć. Mam nadzieję, że Rudolf postąpi kiedyś podobnie.

List kończyły takie same drobniutkie litery układające się w podpis. Potarłem dłonią czoło. To niemożliwe. Matka i ojciec utrzymywali ze sobą kontakt. On ją namawiał do wyjazdu? Nie, to niemożliwe. Zdawałem sobie sprawę, że się nie rozwiedli, ale nigdy nie zapytałem matki dlaczego. Odkąd pamiętam, temat ojca nie istniał. Ilekroć matka wymieniała jego imię, wpadałem w furję. Przebiegłem wzrokiem ostatnie zdanie. „Mam nadzieję, że Rudolf postąpi kiedyś podobnie”. Raz jeszcze spojrzałem na datę. Czy powinienem potraktować ten list jako jej ostatnie przedśmiertne życzenie?

Musiałem zagłuszyć myśli. A potrafię to zrobić tylko w jeden sposób. Złapałem kluczyki i pobiegłem do samochodu. Nie powinienem w takim stanie prowadzić, ale miałem to gdzieś. Na najbliższej stacji benzynowej chwyciłem pierwszą lepszą zgrzewkę piwa i wróciłem do domu, szczęśliwie nie rozjeżdżając nikogo po drodze.

Są rany, które się nie goją. Są i takie, które się ponownie otwierają. Bez browaru i muzyki nie dałbym rady. Zresztą słuchanie bluesa w samotności przypomina trochę picie do lustra. Z głośnika sączył się „Mississippi” John Hurt, a ja sączyłem piwo, byle doczekać snu. A jednak dwa listy, które wrzuciłem do szuflady, sprawiały mi ból, a piwo nie znieczulało. Pomyślałem o młodym. Właściwie czym różniłem się od Józefa Heinza? Wprawdzie nie wyjechałem, nie zostawiłem syna z dnia na dzień, ale moja obecność była tylko pozorem. Od lat poruszaliśmy się po równoległych ścieżkach. Byłem zajęty ściganiem morderców i nawet nie zauważyłem, kiedy zaczął szukać swojego pomysłu na życie, w którym nie było dla mnie miejsca. Ostatnio wprawdzie trochę się

między nami polepszyło, ale w każdej chwili mogłem spodziewać się odpływu. W czym więc byłem lepszy od ojca? Nie, nie byłem lepszy. Zgniotłem pustą puszkę i rzuciłem przed siebie. Wstałem i podszedłem do biurka. Wyjąłem złożoną na pół kartkę. Sięgnąłem po telefon i wybrałem zapisany na niej numer. W głowie lekko mi szumiało. Poza tym czułem pustkę. Nie bardzo wiedziałem, co chcę mu powiedzieć. Będzie, co będzie.

Usłyszałem komunikat sekretarki i rozłączyłem się. Nie wiem dlaczego, ale poczułem ulgę.

Gdy zasnąłem, matka i ojciec nie opuścili mnie. Kobięcy głos wołał mnie z okna na obiad. Gdzieś w oddali przejechała karetka na sygnale. Józef Heinz, otoczony gromadką zachwyconych dzieciaków, odbijał piłkę o murek tak, że ani razu nie dotknęła ziemi. Dwudzieste siódme odbicie, ósme, dziewiąte. Pam, pam, pam...

Obudziło mnie walenie do drzwi. Przemknęła mi przez głowę absurdalna myśl, że przyjechał ojciec. Spojrzałem na budzik stojący przy łóżku. Zbliżało się południe. Wstałem i poszedłem otworzyć.

Wpatrywały się we mnie trzy pary wystraszonych oczu. Jedna należała do Kuleszy. Dwie pozostałe do umundurowanych policjantów, którzy w rękach trzymali broń.

– Chryste! – Kulesza wpadł do środka i rozejrzał się nerwowo. – Nic ci nie jest?

– Poza tym, że mam ciężkiego kaca, to nic – wychrypiałem. – Ale wam coś się stało...

– Nie można się do ciebie dodzwonić – przerwał mi. – Masz wyłączony telefon... A on uciekł, rozumiesz, Hipis? Uciekł.

– Kto?

Zanim zdążył udzielić odpowiedzi, już wiedziałem. Czułem, że prędzej lub później to nastąpi.

– Urbaniak. Inkwizytor...

Poprosiłem Kuleszę i dwóch mundurowych, by usiedli. Więc samochód na sygnale mi się nie przyśnił. Poszedłem do łazienki i wsadziłem głowę pod kran z zimną wodą. Drżącą ręką umyłem zęby. Na tyle było mnie stać.

– Jak to się stało? – Osunąłem się w fotelu.

– Uciekł z psychiatryka. To stało się w nocy. Na razie wiemy niewiele. W szpitalu tłumaczą się, jak mogą, wiedzą, że pali im się koło dupy.

– Jest weekend majowy... Pewnie mniej niż zwykle personelu.

– Prawie o połowę – przytaknął Kulesza. – Poza tym Inkwizytora i kilku innych pojebów przenieśli na pierwsze, gorzej strzeżone piętro.

– Dlaczego? – Krople wody spływały mi po skroniach.

– Bo jeden z tych prawdziwych czubów wpadł w furję. Zdemolował górę. A zanim ktoś go powstrzymał, pociął się szkłem. Podobno była niezła jatka...

– I Inkwizytor wykorzystał okazję. – Skrzywiłem się.

– W jednym z okien były źle zamocowane kraty. Tamtędy wyskoczył. A kilka godzin wcześniej wysiadł w budynku system monitoringu. Nie wiemy jeszcze, czy to zbieg okoliczności, czy działanie Urbaniaka. W końcu był elektrykiem, więc mógł... – Urwał.

Mógł. Mógł dużo. Były ksiądz. Elektryk. Seryjny morderca. Człowiek o rozlicznych talentach.

– Musi być stąd jakieś wyjście... – mruknąłem sam do siebie, przypominając sobie piosenkę Dylana. Inkwizytor znalazł je i oddycha teraz świeżym powietrzem.

Jeden z mundurowych oglądał swój pistolet, jakby widział go pierwszy raz w życiu, drugi wystukiwał coś w telefonie komórkowym. Napięcie opadło, więc dobrze się bawili. Jak w szkolnej świetlicy.

– Rozmawiałem już z szefem. – Kulesza spojrział na policjantów.

– Mam kierować tą sprawą?

Aspirant milczał. Poprawił kołnierzyk koszuli, jakby coś go uwierało.

– Co chcesz mi właściwie powiedzieć? – wycedziłem.

– Gawlik chce, żebyś się trzymał od tej sprawy z daleka. – Pewność siebie Kuleszy gdzieś uleciała. – Tak mi powiedział. Inkwizytor to prawdziwy wariat. A dlaczego? Bo tylko prawdziwy czub ucieka z psychiatryka. Rozumiesz?

– Nie bardzo. – Pokręciłem głową.

– Uznali go za niepoczytalnego, tak? Siedział w szpitalu. I tylko jeden powód mógł sprawić, że zechciał uciec. Wiesz jaki?

Bez dwu zdań. Tym powodem byłem ja sam.

– Gawlik pytał, czy nosisz broń.

– Mój pistolet jest w magazynie.

– Od tej chwili ma być twoją trzecią ręką. Coś takiego powiedział. I jeszcze jedno. Abyś nic nie robił bez jego wiedzy.

Nie słuchałem, co mówił dalej. Wreszcie wstali i poszli, a mój gniew falował jak surfer na antypodach. Minęło już sporo lat od tamtego czasu, ale to ja rozpracowałem Urbaniaka. Nikt nie poznał go tak dobrze jak ja. Potrafiłem zrozumieć, co myśli i jak czuje.

Byliśmy prawie jak młeczni bracia. A potem omal przez niego nie spłonąłem, gdy przywiązał mnie do krzesła i rozpałił wokół ognisko niczym stos. I teraz tylko ja mogłem go złapać. Ten dzień musiał nadejść. Poczulem to, gdy trzy lata temu znów stanęliśmy twarzą w twarz. „Pomyśl, gdzie jest twoja szubienica”, rzucił mi wtedy na pożegnanie.

Powiedział błazen do łotrzyka. Ciekawe, który z nas jest błaznem.

6

Piąty maja miał najwyraźniej zapisać się w mojej biografii jako dzień spotkań na szczycie, a te nie działają na mnie krzepiąco. Gdy jechałem do naczelnika, zadzwonił ojciec. Po południu miał być w Katowicach. W porównaniu do naszego pierwszego spotkania zachowywałem się jak dyplomata po wielkiej wojnie w Wersalu. Panowałem nad sobą i nie poczęstowałem go tekstem w stylu „daję ci pięć minut” albo „nie chce mi się z tobą gadać”. Usiądziemy przy stole, dlaczego nie? Może nawet zagramy w scrabble.

– Tylko proszę cię o jedno – powiedziałem, zanim się rozłączyłem – nie serwuj mi głodnych kawałków o ojcowskich uczuciach i tym, że przez całe życie o mnie myślałeś.

– Nie zamierzam.

Dodał coś jeszcze, ale jego głos zagłuszył skowyt pędzącej karetki.

Naczelnik Gawlik też czegoś nie zamierzał. Nie chciał ustąpić. Mógłbym przemawiać do niego w stu językach świata, a i tak pozostałby nieugięty. Tym razem nie przekładał akt ani nie gapił się w monitor. Patrzył takim wzrokiem, jakby chciał mnie przyszpilić do ściany.

– Nie ma mowy, Hipis! – Uderzył otwartą dłońią w stół. – Powtarzam ci ostatni raz...

– A ja ci ostatni raz powtarzam, że nie wiecie, z kim macie do czynienia. – Z trudem panowałem nad sobą. – Zobacz – starałem się

uspokoić bicie serca – facet znika po latach odsiadki u czubów. Mobilizujesz wszystkie siły, by go odnaleźć. Mija kilkadziesiąt godzin i nic. O czym to świadczy?

– O tym, że wszystko świetnie przemyślał. Miał mnóstwo czasu. Że może mieć współnika w szpitalu i poza nim. Sprawdzamy to wszystko. Ale już gołym okiem widać, jaki panował tam burdel.

– A teraz pomyśl, że nikt mu nie pomagał. Może tak być? Nie wykluczasz tego. Ten człowiek potrafi się odnaleźć w każdej sytuacji, wtopić w otoczenie. Jest jak kameleon...

Nie dał mi dokończyć.

– Wydaje ci się, że jako jedyny masz licencję i patent na Urbaniaka! Gość nie poruszał się po ulicach dziewięć lat. To dużo, ale nie przesadzajmy. Poza tym nie był odcięty od świata, wiedział, co się dzieje...

Nie wytrzymałem.

– Za chwilę powiesz, że poruszyła go tak tragedia smoleńska. Tymczasem...

– Tymczasem ja tego nie kupuję, Hipis. – Gawlik wziął głęboki wdech i pochylił się w moim kierunku. – Z tego co wiem, odwiedziłeś go jakiś czas temu. I rzuciłeś się na niego. O co wtedy poszło?

Ludzi dobrej woli jest więcej. I zawsze znajdzie się ktoś, kto z czystej życzliwości na ciebie doniesie.

– Okazało się, że kibicujemy innym klubom – odparłem. – Stąd mała sprzeczka. Poza tym chyba nie umył zębów, a ja nie lubię rozmawiać w tak niekomfortowych warunkach...

– Dostyc, Heinz! – Filiżanka z kawą podskoczyła na biurku naczelnika. – Na razie trzymasz się z daleka od tej sprawy!

Zrozumiałeś? Tylko nie mieszaj się. Okej?

Zostałem odsunięty. Dalsza rozmowa nie miała sensu. Wstałem od biurka.

– Mam nadzieję, że nie traktujesz mnie jako żywej przynęty. A jeżeli przyjdzie ci do głowy taki pomysł, powiedz to mnie pierwszemu.

Nie zareagowałem od razu. Ale moje słowa musiały podziałać jak bomba z opóźnionym zapłonem. Przez zamknięte drzwi usłyszałem wiązaną przekleństw. Nie miałem wątpliwości, w którym kierunku została rzucona. Sekretarka Gawlika skuliła się, jakby chciała się uchronić przed nadlatującymi pociskami, a ja skwitowałem wszystko wzruszeniem ramion.

Opuszczałem komendę z ciężkim sercem. Może dlatego, że pod lewą pachą trzymałem glocka 17, który sprawił, że moja waga wzrosła o jakieś osiemset gramów. Kompozycja ze stali i polimerów była przykładem porządnej austriackiej roboty. Nie było to wymarzone magnum 44, ale nie powinienem narzekać. I tak miałem więcej szczęścia niż ci, którym przydzielono P-99. Z glocka strzelało się celniej, był bronią o wiele trwalszą i niezawodną. Tymczasem walther P-99 często się psuł. Czasami w najmniej odpowiednich momentach. Tyle że lufy do tego pistoletu produkuje się w „Łuczniku”, osławionej fabryce radomskiej. Zachęcano nas więc do noszenia felernego P-99, a dzięki takim decyzjom polski przemysł zbrojeniowy mógł trwać w najlepsze. Odzwyczaiałem się od noszenia broni. Ale z pewnością nie uwierała mnie tak jak krawat. Uzbrojony wyruszyłem na spotkanie z ojcem.

Umówiliśmy się w barze „Pod Siódemką” na Stawowej. Żaden luksus, ale nie było powodu, byśmy spotkali się w bardziej

eleganckim miejscu. Żarcie bezpretensjonalne, mało wykwintne, ale smaczne. Zresztą facetowi, który żyje na mrożonkach, kebabach i big macach, niewiele trzeba. Klientów jak na lekarstwo. No i lubiłem zielone karteczki, na których wypisywano menu. Wielokrotnie używałem ich do sporządzania notatek ze śledztwa. Zamówiłem piwo i spojrzałem na zegarek. Najwyraźniej Józef Heinz, pomimo upływu lat, nie nauczył się niemieckiej punktualności.

Kończyłem tyskie, gdy się zjawił. Bez słowa podaliśmy sobie ręce. Podszedł do baru i zamówił piwo. Po raz pierwszy miałem możliwość przyjrzeć mu się uważnie. Był wyższy i szczuplejszy ode mnie. Poruszał się sprężysto i mogłem się założyć, że w biegu na sto metrów miałbym kłopot, by z nim wygrać. Jednak na jego twarzy rysowały się wyraźne oznaki starości. Świadczyły o tym głębokie bruzdy na czole i cienie pod oczami, które mogły być zwiastunem choroby nerek. Siwizna na jego skroniach była znacznie pełniejsza niż u mnie. Przemknęło mi przez głowę, że gdy osiągnę jego wiek, będę wyglądał podobnie. O ile dożyję.

– Co tu można zjeść? – zapytał, jakbyśmy spotykali się od lat. – Jestem potwornie głodny.

– Wszystko. Z wyjątkiem kotleta kasprowego, po parysku i rolady greckiej, bo tego tu nie jadłem.

Zdecydował się na tradycyjny obiad śląski.

– Przepraszam za spóźnienie, ale jechałem przez Opole. Chciałem zobaczyć stare śmieci. Nie mogłem sobie odmówić. Ale to, co ujrzałem... – Pokręcił głową.

I zaczęło się. Że jego ukochana Odra Opole stacza się coraz bardziej. Że zawodnicy grają mecze na jakichś wiejskich klepiskach,

a kibice skrzykują się, wywieszając z okien prześcieradła z wypisanymi informacjami o najbliższym meczu. Że gdzie te dawne czasy, gdy grał on, Gajda albo Józek Kloś.

– Wiesz – patrzył na mnie – który to. Nie ci piłkarze i nie ten doping.

Co gorsza, zaczął sobie przypominać stare kibicowskie piosenki i zawołania. Jak to szło? Wojciecha Tyca całuje w dupę stolica. Nasz Alfred Bolcek najlepszy napastnik w Polsce. Znów w Opolu radość wielka, nasza Odra gra, tkwi jak zawsze w nas nadzieja, że gry koncert da. O, a to najlepsze: Ole, ole, ole, ole, Tyc Wojciech lepszy niż Pele.

– Pamiętasz to wszystko, prawda? Mogę zapomnieć imię mojej matki, a twojej babki, ale piłkarskie przyśpiewki będę pamiętał.

Obracałem szklanę z tyskim w dłoni. Chlusnąłbym mu w twarz, by ostudzić ten zapał, ale szkoda mi było piwa.

– Nie. Nie pamiętam Wojciecha Tyca. Nigdy takiego nie aresztowałem. A o piłce nożnej nie mam pojęcia. Skutecznie mnie zniechęciłeś...

Podziałało. Uśmiech na jego twarzy zgasł. Nerwowo pociągnął kilka łyków.

– Nie umawiasz się ze mną przecież po to – ciągnąłem – by opowiadać mi te głodne sentymentalne kawałki. Przejdźmy lepiej do rzeczy.

Odsunął talerz z roladą oraz kluskami i sięgnął do marynarki. Wyjął zmięty wycinek z gazety i podał mi go. Zdjęcie przedstawiało szczupłego chłopaka w reprezentacyjnej koszulce. Ramiona miał rozpostarte niczym Chrysus Odkupiciel na górze Corcovado. W tle zamazane, wypełnione kibicami trybuny. Domyśliłem się, że

odpowiednio wykadrowaną fotografię wykonano podczas grania hymnu przed jakimś meczem, a po bokach zawodnika stali inni piłkarze. Nad postacią widniał upiorny napis złożony ogromną czarną czcionką: „Rzucił się pod pociąg! Dlaczego to zrobił?”.

– Poznajesz? – zapytał ojciec.

– Nie. Nie wiem, kto to jest. – Odsunąłem zdjęcie. – Ale z pewnością nie było co z niego zbierać.

– Jacek Kos. Reprezentacyjny obrońca. – Na brodzie osadziły mu się drobiny modrej kapusty. – 10 kwietnia popełnił w Warszawie samobójstwo.

Seria niefortunnych zdarzeń. Czarna sobota. Choć tego akurat dnia, przypomniałem sobie Suszarkowego Mordercę, mnie się akurat poszczęściło. Milczałem, czekając na ciąg dalszy.

– On grał tu, na Śląsku. – Józef Heinz odłożył sztucce. – A potem trafił do Niemiec. Grał w Berlinie, później w Hanowerze. Zrobiło się o nim głośno. Wprowadziłem go do wielkiej piłki.

– Gratuluję. – Nie starałem się ukryć ironii.

– Parę razy znalazł się na życiowym zakręcie. Nie miał łatwo i nie był potulnym, wzorowo prowadzącym się sportowcem...

A ja nie byłem wzorowym gliną.

– Ale samobójstwo... To nie w jego stylu...

– Chcesz powiedzieć, że ktoś go wepchnął pod pociąg?

– Oczywiście, że nie. – Odstawił talerz. – Ale mam wiele powodów, aby przypuszczać, że zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Kos miał robić licencję pilota podczas wakacji. Latanie to była jego pasja.

– Aktualnie to dość niebezpieczne hobby.

Nie słuchał mnie.

- Nie wykupujesz kursu po to, by się zaraz potem zabić! On był...
- Głos uwiązał mu w gardle.

Miałem dość. Wstałem gwałtownie. Kolanami trąciłem stolik. Szklanka z resztką piwa zatańczyła na blacie i potoczyła się w stronę ojca, który też zerwał się od stołu. Pochyliłem się i nasze twarze dzieliło kilkadziesiąt centymetrów.

- Spotykasz się ze mną po czterdziestu latach po to, żeby uzalać się nad jakimś gościem, którego w ogóle nie znałem? No to, kurwa, wysłów się chociaż. On był jak kto? Jak twój syn! Twoja rodzina zastępcza! W dodatku piłkarski talent!

Próbował mnie zatrzymać, ale ominąłem go i wyszedłem przed lokal. Rozejrzałem się po Stawowej, zastanawiając się, co ze sobą zrobić. Kilka głębokich oddechów. Inhalacja e-papierosem. Aromat chesterfieldów wymieszał się z zapachem smażonego mięsa. Ruszyłem w prawo, w kierunku wielkiej dziury, która za kilka lat ma się przemienić w nowoczesny dworzec kolejowy i galerię handlową.

- Zaczekaj! – Usłyszałem jego głos. – To nie było samobójstwo! Ktoś go do tego zmusił!

Na Stawowej różne historie się zdarzają. Krzyk ojca mieszał się z ulicznym gwarem oraz dobiegającymi skądś odgłosami bębnow, ale byłem pewien, że przynajmniej kilka osób musiało popatrzeć na niego ze zdziwieniem. Przystanąłem. Nie wiem dlaczego pomyślałem o urlopie. I o Inkwizytorze, który zasmakował wolności. Poczułem ciepły podmuch wiatru. Smażenina znów połechtła mnie w nozdrza. Odwróciłem się.

Wróciliśmy do baru i patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Musieliśmy wyglądać jak wytrawni szachiści przystępujący do

decydującej partii. Przy stoliku zjawiła się barmanka. Spojrzała na nas z niesmakiem i przetała blat. Zamówiliśmy po kolejnym piwie. Mogę mieć ojca gdzieś, ale żeby z tego powodu siedzieć o suchym pysku? Jedno nieszczęście wystarczy.

– To chyba pana. – Barmanka położyła coś przed Józefem. – Musiało panu wypaść z kieszeni.

Jeden rzut oka mi wystarczył.

– Chodzisz po mieście z nożem?

– To nóż myśliwski. Kiedyś polowałem, a od lat zbieram takie cacka. Mam tego sporo w domu. Traktuję je jak talizmany. Zawsze gdy gramy ważny mecz, zabieram coś z kolekcji ze sobą.

Czy można nie lubić kogoś jeszcze bardziej, jeśli nie lubiło się go wcale? Popatrzyłem na ojca. Jednak można. Nigdy nie rozumiałem myśliwych i ich zwyczajów. Te wszystkie myśliwskie chrzty, hubertusy, dźwięki sygnałówek, święty Michał i zwierzyna układana na prawym boku w określonej kolejności. Sięgnąłem po nóż. Na takich gadżetach trochę się znałem, ale ten model trzymałem w dłoni pierwszy raz. Jedno ostrze przypominało brzytwę, drugie, odrobinę krótsze, wykonano szlifem wklęsłym. Nie miałem wątpliwości, do czego może służyć. Za pomocą takich cudów ściąga się skórę ze zwierzęcia, nie uszkodzając organów wewnętrznych. Na rękojeści widniał napis: „EKA Swingblade”.

– Szwedzki. – Wyjął mi nóż z ręki. – Kiedyś mogę pokazać ci takich więcej. A teraz posłuchaj.

Piłem piwo i słuchałem. 10 kwietnia Kos zostawił ojcu dziwną wiadomość na poczcie głosowej. Był bardzo wzburzony. Mówił, że wie wszystko. Było też coś o morderstwie. Gdy Heinz skończył trening z juniorami Hannoveru, odsłuchał nagranie. Zaniepokojony

oddzwonił. Komórka obrońcy była wyłączona. Próbował skontaktować się z nim przez cały dzień. Bez skutku. 11 kwietnia dowiedział się, co zdarzyło się w Warszawie. I zaczął łączyć fakty. Kos próbował powiedzieć o nadchodzącej tragedii. O samobójstwie. Oraz o tym, że ktoś go do tego desperackiego kroku zmusił.

– Czy jego nagranie zachowało się? – zapytałem.

– Nie. – Pokręcił głową. – Było krótkie. Takie, jak ci mówię.

– Dlaczego zadzwonił właśnie do ciebie? Zdesperowany facet wybiera właśnie twój numer. Nie miał nikogo bliższego?

– Też o tym myślałem. Ze swoją dziewczyną rozstał się pół roku temu. Mocno to przeżył. Matka nie żyje, z ojcem nie utrzymywał kontaktu.

Skądś to znałem.

– Mógł jeszcze zadzwonić do moich współników. Stamma i Kruczka...

– Kim oni są?

– Mówimy o sobie: „trzej przyjaciele z boiska”. Jak w tej starej piosence, wiesz której?

Bałem się, że znów zaczniesz coś śpiewać albo recytować, ale tym razem się opanowałem. Ze Stammem i Kruczkiem tak naprawdę nigdy nie grałem w drużynie. Są od niego znacznie młodszy. Razem prowadzą interesy piłkarskie, bo piłka to potężny i rozwojowy biznes.

– Zresztą – dodał – będziesz miał okazję ich spotkać. Też przyjeżdżają do Katowic. A może już są.

– Wybrał jednak ciebie. – Nie dawałem za wygraną.

– Pewnie najbardziej mi ufał. – Wzruszył ramionami. – Naprawdę tego nie rozumiem.

– Dlaczego uważasz, że ktoś się przyczynił do jego śmierci? Enigmatyczny telefon od człowieka, który nie panuje nad sobą, to trochę mało...

Zamyślił się. Wpatrywał się w szklanę z piwem tak, jak wróżka patrzy w magiczną kulę. Jakby chciał wyczytać przeszłość. Barmanka włączyła radio. Ktoś przejętym głosem śpiewał, że serce do życia wystarczy. Jednym wystarczy, innym nie.

– Jeszcze pół roku temu był radosnym człowiekiem. Potem wydarzyła się ta historia z dziewczyną... Ale powoli dochodził do siebie. Zapisał się na kurs pilotażu. A kilka tygodni temu znów coś się stało. Zmienił się. Zamknął w sobie. Stał się nieufny. Próbowałem z nim rozmawiać, ale niewiele z niego wyciągnąłem. Tydzień temu powiedział coś dziwnego. „Muszę jechać do Warszawy. To sprawa życia lub śmierci”. Tak się zwykle mówi, gdy ma się do załatwienia coś ważnego, prawda? Ale on potraktował to dosłownie...

Opuścił głowę, jakby opadł z sił.

– Czy miewał wcześniej jakieś kłopoty? Czy ktoś mógł dogrzebać się do jego przeszłości? Dobrzy piłkarze nie są biednymi ludźmi, więc...

– Pytasz o to – spojrzał na mnie – czy mógł być szantażowany. Też o tym myślałem. Mógł. Ciągnęła się za nim sprawa związana z ustawianiem meczów. Z czasów gdy grał na Śląsku.

Nie trzeba było śledzić rozgrywek z wypiekami na twarzy, by wiedzieć, co jest grane. Informacje o kolejnych zatrzymanych pojawiały się w serwisach niczym refren. Powszechnie znani piłkarze, sędziowie, prezesi klubów i działacze umoczeni po czubek głowy. A obok nich plankton. Prawdziwa ławica. Prokuratorzy

z Wrocławia prowadzili tę sprawę i nic nie wskazywało, by w ciągu kilku lat stali się bezrobotni.

– Niczego mu jednak nie udowodniono. Kilku pismaków próbowało go opluć, ale poradził sobie z tym. To naprawdę był twardziel.

– Dasz głowę, że w nic nie wdepnął?

Roześmiał się.

– Takim frajerem to ja nie jestem, Rudolf. Za nikogo, kto ma związek z polskim futbolem, bym nie poręczył. Świętych szukaj gdzie indziej. Tu od dziecka wdychasz morowe powietrze. W Niemczech jest zupełnie inaczej. – Wyprostował się i poprawił marynarkę, jakby chciał wygłosić ważne oświadczenie. Spodziewałem się, że usłyszę coś o niemieckich autostradach i pociągach. Albo nawet o Bismarcku i systemie emerytalnym w Europie. Na szczęście ojciec litościwie milczał.

– Czyli nie możesz wykluczyć, że po latach ktoś się czegoś dogrzebał i odkrył, że Kos jest umoczony.

– Nie. Nie mogę.

Zadałem jeszcze kilka pytań, ale nie usłyszałem nic, co mogłoby ukazać samobójstwo obrońcy w innym świetle. Kręciliśmy się w kółko. Zirytowany odsunąłem pustą szklanę. Czy korupcja i szantaż mogły sprawić, że facet skoczył pod pociąg? Straciłby twarz, smród ciągnąłby się za nim przez kilka tygodni, a może miesięcy. Potem wszyscy by o tym zapomnieli. A ojciec poza przeczuciami i jednym wykasowanym nagraniem nie miał nic.

– Czy jest ktoś, z kim moglibyśmy o Kosie porozmawiać? – zapytałem. – Ktoś, kto pamięta go z czasów, gdy tu grał?

– Zastanawiałem się nad tym. – Ożywił się. – Nawet już zadzwoniłem do takiej osoby. Z Julkiem Gontarzem graliśmy w lidze. Wołaliśmy na niego Rzeźnik. Nogę miał jak trzy moje i kosił napastników równo. Siedzi teraz w Zabrze. Był trenerem Kosa. Możemy go jutro odwiedzić.

Umówiłem się z ojcem na następny dzień w południe i odprowadziłem go do hotelu „Qubus”. Zarezerwował pokój na siedemnastym piętrze. Chciał pooglądać panoramę Katowic i zobaczyć, co się zmieniło. Powiedziałem mu, że jeszcze lepsze widoki będzie miał w „Sky Barze” na ostatniej kondygnacji. O ile nie przesadzi z alkoholem. Ja byłem w tym podniebnym miejscu raz, na imprezie pożegnalnej kolegi odchodzącego na emeryturę, i wspomnienia miałem mocno zamglone. Później dowiedziałem się, że hotel wprowadził specjalną opłatę, aby wyeliminować kłopotliwych, przygodnych gości. Dziesięć złotych za wjazd pod katowickie niebo. Jeśli ojciec liczył na to, że zaproszę go do siebie, musiał się rozczarować. Nie przenocowałbym go za żadne pieniądze. Były granice, których nie chciałem przekraczać.

W domu włączyłem laptopa i wpisałem w wyszukiwarkę nazwisko „Kos” oraz hasło „korupcja”. Przeczytałem kilka moralizatorskich artykułów o upadku polskiego futbolu. Autor jednego z nich natrętnie pytał, który ze znanych piłkarzy jest następny do odstrzału. Nic konkretnego jednak nie znalazłem. Poczułem się zmęczony. Wykańczało mnie oczekiwanie. Przez całe popołudnie nie zadzwonił do mnie nikt z komendy. Jakby się umówili. W tym wypadku brak wiadomości oznaczał, że dzieje się źle. Inkwizytor wciąż nie wpadł w policyjny potrzask. Przewidywałem, że tak będzie. Spotkanie z ojcem było mi potrzebne. Nie jestem

oredownikiem prawdy za wszelką cenę i daleko mi do szlachetnych detektywów zmagających się z całym światem. Musiałem walczyć z samym sobą i to mi wystarczało. Jedyne powód, aby przyjrzeć się śmierci Kosa, był taki, że przynajmniej mogłem czymś zająć głowę. Nawet jeśli podejrzenia ojca okazały się bezpodstawne, powinno wystarczyć ich na kilka dni. Zresztą to też nie tak. Było przecież w tej sprawie coś niepokojącego. Coś nie dawało mi spokoju. Czułem to przez skórę, a każdy po wielu latach w moim fachu ma wyczulony sejsmograf i wierzy swojej intuicji.

Rozmyślenia przerwał mi szmer na korytarzu. Ktoś zapukał do drzwi. Odruchowo sięgnąłem do szuflady po glocka i odbezpieczyłem broń. Ojciec zdobył mój adres, więc mógł to uczynić każdy, kto ma kilka zwojów w mózgu.

– Kto tam? – zapytałem.

Usłyszałem głos Karolakowej, sąsiadki z dołu. Klasyczne gumowe ucho. Wie wszystko o wszystkich. Uchyliłem drzwi i wystawiłem głowę na zewnątrz.

– Ale pan ostrożny – szepnęła z podziwem. – Szkoda, że mój stary taki nie jest. Od lat mu mówię, by nie otwierał drzwi na oścież. Od razu widać, że pan policjant...

Towarzyszyła jej jakaś gruba kobieta w kapciach, której nie znałem. Karolakowa wręczyła mi dwie wymięte kartki. Zabezpieczyłem pistolet i szybko odłożyłem go na miejsce, zanim spostrzegły, co trzymam w ręku.

– Na Stadionie Śląskim znów zaczną się sezonowe imprezy. I znów zastawią nam wszystkie chodniki samochodami. Rozjeżdżą trawniki. Tu jest petycja w tej sprawie...

Roztargniony podpisałem kartkę. Wziąłem drugą i też złożyłem podpis. Kobiety popatrzyły na siebie i zaczęły się wycofywać w głąb klatki.

– Dobranoc – wyszeptała Karolakowa.

– Niby policjant, a prawdziwy patriota – powiedziała ta druga.

– Czym zasłużyłem na pani uznanie? – Próbowałem być miły, ale chyba kiepsko mi to wyszło.

– Dzięki takim odważnym ludziom jak pan ten krzyż tu stanie. – Pomachała kartką.

– Jaki krzyż? – Nic nie rozumiałem.

– Jak to jaki? – obruszyła się. – Zbieramy także podpisy pod drugą petycją. Chcemy, by na osiedlu postawiono krzyż, taki duży, upamiętniający ofiary smoleńskie, a zwłaszcza świętej pamięci prezydenta z małżonką.

Otworzyłem usta, ale nim zdążyłem coś powiedzieć, obie wsiadły do windy.

Włączyłem płytę i osunąłem się w czeluście fotela. Charlie Parker grał *Lovermana*, a ja myślałem o piłkarzu zmiecionym przez setki ton stali. Nagle uświadomiłem sobie, że nie zadałem ojcu oczywistego pytania.

Odnalazłem jego numer i zadzwoniłem. Odebrał po pierwszym sygnale.

– Co się stało z telefonem Kosa?

– Z tego co wiem, nie znaleźli go. Musiał zostać zmiądzony przez pociąg.

A więc nic z tego. Znów ślepa uliczka.

– Co robisz? – nie wiem dlaczego wyrwało mi się pytanie.

– Byłem na jednym w „Sky Barze”. Nigdy Katowice nie były tak rozświetlone. Miałeś rację, imponujący widok. Świetnie wyglądała ta galeria handlowa... Silesia Center. I ta kopuła oświetlona wściekle kolorowymi światłami. Mówili mi... jak to się nazywa? Rondo Sztuki...

Najpewniej ojciec nie zaspokoił głodu rozmowy w „Sky Barze”. A może tą nostalgią przejawiał się wieloletni głód kontaktu.

– Ze staroci, które pamiętam, jest dom towarowy „Skarbek”. Ale, cholera, nie ma dworca ani tej kamienicy, w której była siedziba jakiegoś wydawnictwa... Chyba „Śląska”. No, a teraz już jestem w pokoju.

Rozłączyliśmy się. Silesia Center i Rondo Sztuki... Ale ze „Skarbkiem” coś mu się chyba pomyliło. Dom towarowy wybudowano w latach siedemdziesiątych. A może ojciec bywał w Katowicach później. Przecież tak naprawdę nic o nim nie wiem. Ponownie zagłębiłem się w fotelu i zasnąłem. Trwałem tak aż do rana.

Z

Gdy wyszedłem spod prysznic, zobaczyłem dwa nieodebrane połączenia w telefonie. Pierwsze od ojca, drugie z firmy. Najwyraźniej coś zaczęło się dziać. Zadzwoiłem do Kuleszy.

– Szef wszystkich szefów wyznaczył nagrodę. – Usłyszałem. – Trzydzieści koła. Za chwilę Inkwizytor wskoczy na „Top 10”.

„Top 10”. Lista najbardziej poszukiwanych przestępców w kraju. I kasa w puli. Trzydzieści tysięcy. Szef szefów zaszalał. Sięgnął do głębokiej kieszeni. Nawet głowy mafiosów tyle nie kosztują.

– Jeszcze jedno. – Kulesza ściszył głos. – Ktoś twierdzi, że widział Inkwizytora w okolicach cmentarza komunalnego. Tam gdzie byliśmy ostatnio. Ale świadek mało wiarygodny. Więcej denaturatu niż krwi w organizmie.

Tak. Miłośnik „błękitu Paryża” nie mógł wzbudzić zaufania śledczych.

– Sprawdziliście to?

– Facet się zaklina, ale co z tego?

– A siostra Urbaniaka? – nie dawałem za wygraną.

– Jest przerażona. Nie kontaktował się z nią. Nie ma powodu, by jej nie wierzyć. Podobno jest pod obserwacją, ale sam wiesz, jak jest.

Wiedziałem dobrze. Jak zwykle pewnie brakowało ludzi, a nikt nie lubi wypłacać nadgodzin. Kryzys w policji to stan permanentny.

Jakiś czas temu w jednym z miast ukazało się rozporządzenie komendanta, by rezygnować z pościgu za piratami drogowymi. Okazało się, że oszczędności objęły ubezpieczenia samochodów służbowych, a nikt nie chciał ścigać się z lepiej wyposażonymi przestępcami na własną odpowiedzialność. Kulesza konfidencjonalnym szeptem przypomniał mi, że nic o sprawie nie wiem i niczego nie słyszałem. Jakby była to dla mnie nowość.

Zadzwoiłem do ojca. Zaproponował podwózkę do Zabrza. Miał przyjechać tam ze swoimi współnikami. Poznam ich. Fajni faceci. O tak, z pewnością. Zdecydowałem się pojechać własnym samochodem. Chciałem odwlec moment spotkania jego znajomych. Opóźnić ten krok na drodze do zacieśnienia stosunków. Chyba tak mawiają dyplomaci. A poza tym miałem kilka spraw do przemyślenia.

Na początku roku mój stary samochód zaczął sypać się dokumentnie. Sprzedałem go jakimś cudem i przesiadłem się do niewiele mniej wysłużonego volkswagena polo. Miałem przynajmniej wóz, którym można przewieźć sprzęt na koncert.

Kierowałem się do Zabrza, na aleję Roosevelta, ale nie myślałem ani o muzyce, ani o czekającym mnie spotkaniu. Zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem od Kuleszy. Inkwizytor pracował jako elektryk właśnie na cmentarzu. Jeśli tam się zjawił, to na pewno nie po to, by położyć komuś kwiaty na grobie. Nabierałem pewności, że ta informacja jest prawdziwa. Zapijaczony grabarz nie wymyśliłby jej. Tylko co z tego miałoby wynikać?

Ktoś na mnie zatrąbił. Spojrzałem we wsteczne lusterko.

Jaki powód miałby Urbaniak, by się tam zjawić? Starzy znajomi? Wątpliwe. Więc co? Miałem w głowie pustkę. Czulem przez skórę,

że wszystko zacznie toczyć się szybciej niż dotychczas. Odruchowo sięgnąłem pod marynarkę i sprawdziłem, czy mój stary towarzysz glock, z którym wczoraj odświeżyłem znajomość, jest na miejscu. Był.

Gdy dotarłem do celu, ojciec już czekał. Rozejrzałem się po parkingu.

– Stamm i Kruczek poszli do klubowej kawiarni. – Uprzedził moje pytanie. – Najpierw spotkamy się z Gontarzem. To trener starej daty, więc dam ci kilka wskazówek.

Miał na sobie dres z naszywkami Hannoveru 69. Pewnym krokiem skierował się w stronę bocznego boiska. Jedni czują się jak w domu na salonach. Inni w kasynie, a jeszcze inni w burdelu. Nie było wątpliwości, że ojciec właśnie na stadionie był w swoim żywiole. Czego nie dałoby się powiedzieć o mnie. Przemknął mi przed oczami młody mężczyzna w sportowym stroju, który trzymał chłopca za rękę. Tłum wiwatował. Ktoś krzyczał. Potrząsnąłem głową i wszystko ucichło. Józef Heinz wyjaśnił mi, że do Gontarza mam mówić „panie trenerze”. A jeśli podejdzie jakiś młody piłkarz, to szczawiowi pierwszemu nie podawać ręki. Wzruszyłem ramionami. Było mi to obojętne.

Podeszliśmy do boiska, dwie drużyny rozgrywały mecz. Zawodnicy w żółtych kamizelkach na tych w czerwonych. Przy linii bocznej przechadzał się siwy mężczyzna w dresie. Był w wieku ojca. Od czasu do czasu rozkładał ręce, burczał coś pod nosem i wznosił oczy do nieba. Czasami spoglądał na młodzieńca, który siedział na ławce i wstukiwiał coś do laptopa. W plebiscycie na najbardziej udręczonego człowieka roku trener Gontarz zająłby wysokie

miejsce. W pewnym momencie sięgnął po gwizdek, przerwał grę i wtargnął na środek boiska.

– Tyle razy powtarzałem – miał taki głos, że Tom Waits brzmiał przy nim jak sopran koloraturowy – tyle powtarzałem... – Zaczerpnął powietrza. – Najpierw destrukcja, potem konstrukcja – zawiesił głos niczym wytrawny kaznodzieja – a na końcu egzekucja. Drewniak – klepnął niskiego blondyna w ramię – przytrzymaj piłkę, a jak nie potrafisz, graj do najbliższego.

Piłkarze pokiwali głowami. Wysoki w żółtej kamizelce podniósł rękę.

– Ty, Antczak, nawet się nie odzywaj – warknął do niego Gontarz. – Wiesz, ile przebiegasz kilometrów w trakcie meczu? – Spojrzał w kierunku mężczyzny z laptopem. – Więcej się nachodzę, gdy idę rano po mleko.

Powiedział coś jeszcze i klasnął w dłonie. Piłkarze wrócili do gry, a on podszedł do nas. Ojciec przywitał się z nim, jakby znali się od lat. Pewnie tak było. Niemal natychmiast przeszli na gwara śląską. Wprawdzie nie mam z nią problemu, ale nagle uświadomiłem sobie, że nie wszystkie słowa są dla mnie zrozumiałe. Dwóch starszych mężczyzn znajdowało się w swoim świecie, ja zaś nie istniałem. Wreszcie ojciec spojrzał na mnie, zmieszał się, jakby czytał w moich myślach, i chrząknął.

– To mój syn.

Dziwnie to zabrzmiało.

– Zastanawiałem się, o co mnie pytałeś przez telefon. – Gontarz otarł pot z czoła i popatrzył na ojca. – Popytałem tu i tam. Nie mam ci zbyt wiele do powiedzenia.

– Zastanawiamy się, panie trenerze – zaakcentowałem dwa ostatnie słowa – co mogło doprowadzić Kosa do tak desperackiego kroku. Może był szantażowany...

– Nie przewalał meczów. – Miętosił palcami gwizdek. – Wiedziałbym o tym.

Spojrzał na boisko i zagwizdał. Wykonał kilka niezrozumiałych dla mnie ruchów rękami i zawodnicy wznowili grę.

– Kos nie był umoczony. Ale przecież – popatrzył na mnie – wcale nie musiało chodzić o korupcję.

– A o co?

– Był hazardzistą. Nałogowcem. O kasie, którą przepuścił, krążyły legendy. Wiesz o tym? – Spojrzał na ojca.

– Wiem. Ale w Niemczech się ustatkowałem... Nie miał z tym większych problemów... Tak sędzę... – W jego głosie nie było jednak pewności.

W naszym kierunku szybkim krokiem zbliżał się mężczyzna w szarym garniturze. Przywitał się z nami, w moją stronę rzucił trzy słowa. Dwa ostatnie brzmiały jak: kierownik drużyny. Pierwsze zapewne było nazwiskiem. Energicznie potrząsnął moją ręką, jakby chciał wyrwać mi ją ze stawu.

– Mam spotkanie z prezesem, a tu ktoś na moim miejscu stawia starego volkswagena – powiedział do Gontarza. – Może to któryś z tych młodych? – Spojrzał na boisko.

– Oni takim złomem nie jeżdżą – odparł trener i znów gwizdnał.

Ojciec popatrzył na mnie, jakby chciał zadać mi pytanie, czy wiem coś o tej sprawie. Przez kilka kolejnych minut Józef obserwował trening, a ja trwałem przy nim niczym czwarty

halabardnik przy królu. W końcu pożegnaliśmy się i ruszyliśmy do klubowej kawiarni.

Zbliżała się czternasta. Tylko trzy stoliki były zajęte. Najbliżej baru siedziało dwóch staruszków. Przekrzykiwali się z radiem i zawzięcie sprzeczali o rezerwowych Górnika z 1975 roku. Miejsce przy oknie zajmował mężczyzna w bladoporóżowej koszuli. Głośno rozmawiał przez telefon, a jego angielski był mniej więcej taki, jak mój węgierski. Sklejone czarne włosy opadały mu na twarz. Wyglądał trochę jak Neil Young, który zapomniał zabrać szamponu w dwumiesięczną trasę, a trochę jak mokra Włoszka. Mokry Włoch. Nosił okulary w białych oprawkach. Coś podobnego zakładał jeden z policjantów zajmujących się przestępstwami w sieci. Ray-coś tam. Nie mam pamięci do marek. Z wyjątkiem nazw gitar. Oraz piw, oczywiście.

Skierowaliśmy się w stronę stolika, przy którym siedziało dwóch mężczyzn. Obaj byli mniej więcej w moim wieku, może trochę starsi. Obaj bruneci. Obaj z włosami na żel. Z kilkudniowym zarostem. Ale dzięki Bogu, można ich było odróżnić. Ten z lewej miał koszulkę polo z napisami po portugalsku, ten z prawej ubrany był w beżową marynarkę.

– Poznaj moich współników. – Ojciec rozpromienił się. – Robert Kruczek – koszulka polo uścisnęła mi rękę – i Jerzy Stamm. Mówiłem ci, że jesteśmy jak trzej przyjaciele z boiska...

– Prawie się zgadza. – Przerwał mu Stamm. – Prawie jak w piosence. On jest z Krakowa. Ty urodziłeś się blisko Chorzowa. Tylko ja nie jestem z Warszawy.

Szczebiotali jak koleżanki na zakupach w galerii handlowej. Dowiedziałem się, że znają się od lat. Stamm i Kruczek razem

zaczynali karierę piłkarską. Obaj zapowiadali się świetnie, ale tylko ten pierwszy zaistniał w wielkiej piłce. Drugiego wyeliminowała kontuzja. Okazało się jednak, że ma smykałkę do interesów. I tak Stamm kopał, a Kruczek dbał o jego pieniądze. A później zabiegał o apanaże wielu innych. Zjeździli pół Europy, od Portugalii po Belgię. Z ojcem poznali się w Niemczech, wszyscy trzej mieszkają w Hanowerze. A kiedyś otwierali szkółki piłkarskie w Afryce oraz szukali talentów w Indiach, co zakończyło się wielką kłapą. Propagowali rozgrywki drużyn młodzieżowych w Polsce. I teraz Stamm przyjechał promować taki turniej i rozdać dziesiątki autografów. Nie miałem wątpliwości. Przede mną siedziało dwóch apostołów futbolu. A razem z ojcem istna Trójca Święta.

– Zastanawiam się – przerwałem im tę idyllę – co mogło się stać z Kosem. Panowie go znali. Coś mnie niepokoi w jego historii...

Atmosfera przy stole natychmiast zgęstniała.

– Ten telefon. – Kruczek pił sok pomarańczowy. – Joseph wspominał nam o nim. Dziwna sprawa...

Joseph. Ojciec rozpoczął w Niemczech drugie życie i miał nowe, choć brzmiące znajomo, imię. Pasowało do niego.

– Zastanawiam się nad tym – popatrzyłem na portugalskie napisy – co ten trener nam powiedział. Może tu nie chodzi o korupcję, ale hazard. To jest możliwe?

– Wszystko jest możliwe – odpowiedział Stamm. – Dla wielu gra w piłkę łączy się z ogromnym stresem. Sam pamiętam, że po ważnych meczach całą noc nie mogłem spać... Radzimy sobie z tym różnie. Niech pan spojrzy. – Pokazał palcem na ścianę. – Widzi pan te fotografie?

Spojrzałem na czarno-białe zdjęcia piłkarzy oprawione w brązowe ramki.

– Ten po lewej to „Epi” Kowal. Słyszał pan o nim?

Pokręciłem głową.

– Genialny napastnik. Mijał obrońców jak tyczki w slalomie. Gdyby nie chlał tyle, byłby wielkim piłkarzem. A jak skończył? Próbował wskoczyć do odjeżdżającego tramwaju i wyrócił się na lodzie. Za pazuchą miał flaszkę wódki, bo spieszył się na śledzika do kolegi. Ta butelka wbiła mu się w ciało i poharatała trzewia. Nie uratowali chłopaka. To nie jedyny taki przypadek.

– A ten drugi – wskazał dłonią fotografię po prawej stronie niczym przewodnik w muzeum – to Ernest Pohl – nazwisko wymówił cicho i z namaszczeniem. Zupełnie jakby mówił o Bogu. – Nikt nie strzelał tak jak on. Prawdziwy czarodziej. „Ernest pije, ale Ernest gra”, to jedno z jego powiedzonek.

Kiedyś alkohol był głównym lekarstwem na stres.

I dla wielu jest nim do dziś.

– Kos radził sobie inaczej?

– Grał we wszystko – niechętnie odpowiedział Joseph. – Od pokera i blackjacka po wyścigi konne. Od jednoręki bandytów do obstawiania skoków narciarskich i drugiej ligi norweskiej.

– Leczył się?

– Nawet się wyleczył. Bo w Niemczech nie miał takich kłopotów...

– Gdy rozmawialiśmy z Gontarzem, przepraszam, z panem trenerem Gontarzem, powiedziałaś, że nie miał większych kłopotów.

– Naciskałem. – Czyli miał mniejsze, ale miał. Dlaczego Kos rozstał się z narzeczoną?

– To wygląda tak, Joseph, jakby on cię przesłuchiwał. – Stamm roześmiał się.

Ojciec chciał coś odpowiedzieć, gdy nad stołem rozległ się tubalny głos.

– Widzę, że trwa tu prawdziwa narada bojowa. – Mokry Włoch pochyłał się nad nami.

– Spadaj stąd, Komorowski – syknął Stamm. – Zjazd!

Mężczyzna spojrzał na mnie zza okularów.

– Przestrzegam pana przed robieniem interesów z tymi dżentelmenami. Sprzedadzą pana tak jak tych piłkarzy z Afryki. Jeżeli przyjechaliście tu – wyciągnął gruby palec w stronę Kruczka – by odebrać mi tych trzech młodych z Górnika, to od razu mówię: odpuście sobie. Gontarz będzie współpracował tylko ze mną. Szkoda waszego czasu.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował do swojego stolika.

– Kto to? – zapytałem.

– Rafał Komorowski – odpowiedział Stamm. – W skrócie Rafa. Menedżer piłkarski. Chociaż na wizytówce powinien mieć napisane: kawał skurwysyna.

Poprosiłem ojca, by dowiedział się, gdzie Kos się leczył. Hazard to uzależnienie jak każde inne. Skoro nauczył się nad nim panować, musiał mieć jakiegoś terapeutę. Zapłaciliśmy za sok i kawę. Odprowadzało nas gniewne spojrzenie mokrego Włocha.

Zza chmur wyszło słońce. Zapowiadało się jeszcze kilka ciepłych dni. Później spodziewano się dużych opadów, które wiosną nikogo nie powinny dziwić. Robert Kruczek w przeciwieństwie do mnie znał się na pogodzie. Gdy szliśmy na parking, zauważyłem, że nieznacznie zaciąga nogą. Pochwycił moje spojrzenie.

– Mówią, że sport to zdrowie. – Uśmiechnął się. – Gówno prawda, proszę w to nie wierzyć. Efekty kontuzji odczuwam do dziś. Zwłaszcza gdy pada. Wtedy jestem nie do życia.

– To prawda – wtrącił Stamm – doktor Olewnik mógłby napisać o nim w encyklopedii medycyny. Ale ostatecznie nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

– Olewnik?

– Tak się nazywa. Polak, ale prawie całe życie pracował za granicą. Teraz siedzi chyba w Warszawie, w centrum medycyny sportowej. Znasz go?

Nie znałem. Ale nazwisko kojarzyło się każdemu policjantowi w Polsce. Spojrzałem raz jeszcze na Kruczka. Nie on pierwszy, nie ostatni. Chłód, wilgoć i zespół Raynouda także żyją w symbiozie.

Pożegnaliśmy się i wsiałem do samochodu. Gdy odjechali, wyjąłem kluczyki ze stacyjki i wróciłem do kawiarni. Sytuacja zmieniła się o tyle, że staruszkowie cofnęli się w czasie i dyskutowali o meczu z 1968 roku, a naprzeciw mokrego Włocha siedział piłkarz, którego wcześniej widziałem na treningu. Kupiłem małe piwo, podszedłem do stolika Ruffy i oniemiałem.

Przed menedżerem stał talerz z krewetkami. Obok, niczym zapasowe sztucce, leżały trzy telefony komórkowe. Biały laptop powędrował na skraj stołu. Komorowski wyglądał, jakby był w siódmym niebie. Przewracał oczami ni to do młodego piłkarza, ni to do świata.

– Królewskie krewetki dla króla – powiedziałem i nie pytając o zgodę, dosiadłem się.

– Krewetki, maselko, czosneczek i cytryna – wymamrotał mokry Włoch. – Nic lepszego nie wymyślono. Zamawiam w pobliskiej

restauracji i przywożą mi tutaj.

Czosnek pewnie się zgadza. W domu wystarcza ci dobrze naczosnkowana kiełbasa i wóda, a w knajpie zgrywasz światowca.

– O czym to mówiliśmy, Sobiesik? – zwrócił się do piłkarza. – Aha, pytali o ciebie w kilku klubach w Belgii i Holandii. Może nie była to najwyższa półka, ale od czegoś trzeba zacząć.

Chłopak wpatrywał się w niego jak w obrazek.

– Przepraszam – postanowiłem się wtrącić – nie chcę panom przeszkadzać, mam tylko dwa pytania.

Komorowski uśmiechnął się. Budził taką samą sympatię jak wodorosty w Bałtyku.

– Nie zajmuję się piłką – ciągnąłem. – Ci trzej proponują mi, abym wszedł do spółki. Zdaje się, że pan ich zna...

– Powiem ci coś, przyjacielu – Rafa zuł krewetkę – trzymaj się od nich z daleka. To specjaliści od handlu żywym towarem w Trzecim Świecie.

– Żywym towarem?

Czekałem tylko, aż powie coś o *Jądrze ciemności*. Może istnieją eksternistyczne kursy literatury dla menedżerów, by mogli popisywać się przed klientami.

– Zapytaj ich, jak kupowali dzieci, by sprzedać je do zachodnich klubów. Za psie pieniądze. Może to nie azjatycka mafia, która handluje meczami na całym świecie, ale zapewniam, że są niewiele lepsi. Oni z ludźmi robią o tak! – Trzymał ogonek krewetki w palcach i pstryknął nim. Poleciał w stronę doniczki, odbił się od liścia paproci i wylądował na ziemi. – Tak właśnie robią.

– Dobrze wiedzieć.

Wstałem od stolika i poszedłem do toalety. Przy pisuarze wisiała kartka: „Przysuń się! Nie jest tak długi, jak myślisz”. Postąpiłem zgodnie z instrukcją. Gdy wyszedłem, zamówiłem jeszcze jedno piwo i poprosiłem o orzeszki z baru.

Mokry Włoch rozmawiał przez telefon.

– Wiesz, kto to dzwoni? – zapytał Sobiesika. Nie czekając na odpowiedź, przysłonił dłonią usta i coś wyszeptał.

– Niemożliwe... – wymamrotał chłopak. – On?

– Ten sam, we własnej osobie.

Pewnie rozmawiał z własną matką, a nie jakimś sławnym piłkarzem, ale chłopak kupił tę ściemę. Musiałem przyznać, że mokry Włoch ma niezłą gadkę.

Postawiłem orzeszki i piwo przed Komorowskim. Najwyraźniej krewetki nie zaspokoily jego apetytu. Gdy tylko skończył rozmowę, sięgnął do miseczki i wsypał garść orzeszków ziemnych do ust.

– Uwielbiam orzeszki – mruzczał. – Stymulują pracę mózgu.

– Chciałem panu podziękować za przestrożę. – Wskazałem na piwo. – Od razu wydawało mi się, że coś jest nie w porządku. Wszystko szło zbyt łatwo.

Nie powiedział nic, tylko wręczył mi wizytówkę.

– A wie pan – wstałem od stołu – czytałem gdzieś, że siedemdziesiąt procent Polaków po wyjściu z toalety nie myje rąk...

Patrzył na mnie zdziwiony.

– Dlatego nigdy nie warto brać orzeszków z baru.

Dłoń mokrego Włocha zawisła w powietrzu. Potrząsnął włosami i otworzył usta. Nie czekałem, co powie. Odwróciłem się na pięcie i ruszyłem do wyjścia. Usłyszałem jeszcze, jak dwaj staruszkowie

spierali się o to, ile było stopni, gdy Górnik grał mecz z Manchesterem na zaśnieżonym boisku.

Tak naprawdę nic nie szło zbyt łatwo. Czułem się jak alpinista, który odpada od ściany. Żadnych punktów zaczepienia. Inkwizytor pozostawał nieuchwytny. Samobójstwo Kosa spowijała mgła tajemnicy. To właśnie niepokoiło mnie najbardziej. Brak oczywistego motywu. Był ambitnym, twardym facetem, który przeżył niejedno. Nie załamałby się z byle powodu. Musiało zdarzyć się coś naprawdę istotnego, by targnął się na życie. A ludzie, którzy znali go najlepiej i byli najbliżej, nie wiedzą, co to było. Gdyby nie ta wątpliwość, dałbym sobie spokój i znalazł coś innego do roboty.

Pomyślałem o trzech przyjaciółach z boiska oraz o tym, co usłyszałem od mokrego Włocha. Nauczyłem się, że prawie w każdej wypowiedzi tkwi ziarno prawdy. Stamm, Kruczek i ojciec. Była piłkarska gwiazda, zdolny menedżer oraz trener juniorów. Niezłe combo. Podstarzali łowcy talentów na Czarnym Łądzie. Współcześni łowcy niewolników. Niezależnie od tego, co o nich usłyszałem, i tak nie darzyłbym ich wielką sympatią.

Co ich łączyło z Kosem? Może powinienem spojrzeć na tę sprawę zupełnie inaczej. Zmienić sposób myślenia. Owszem, wszyscy dobrze znali obrońcę, ale czy ich zachowanie nie było przesadzone? Skąd takie zainteresowanie samobójstwem? Mieli przecież na głowie wiele innych spraw. Dlaczego wszyscy trzech pojawili się w Katowicach?

Wróciłem do domu bez większych przygód. Odnalazłem w zamrażalniku ostatnie opakowanie pierogów i z trudem oderwałem je od grubej warstwy lodu. Powinienem rozmrozić

lodówkę. Popatrzyłem na mrożonkę i poczułem, że tracę apetyt. Z drugiej strony, lepsze to niż orzeszki z baru.

Wybrałem numer Josepha. Pod takim imieniem zapisałem go sobie w komórce.

– Dobrze, że dzwonisz. – Wydawał się ożywiony. – Udało mi się ustalić, do kogo Jacek chodził na terapię. Kosztowało mnie to trochę zachodu, ale udało się. Masz pod ręką coś do pisania?

Miałem. Alicja Solska. Psychoterapeutka. Pracuje w Opolu, ale w piątki bywa w Katowicach. Dobrze się składało. Przynajmniej wypełnię czymś kolejny dzień. Zanotowałem adres i godziny przyjęć.

– Co u twoich przyjaciół? – zagadnąłem.

– Mówią, że jesteś fajny gość.

– Na długo przyjechali?

– Stamm w przyszłym tygodniu jedzie do Zakopanego. Jest honorowym gościem jakiegoś turnieju. Orliki lub coś podobnego. A Kruczek wraca swoim wypielegnowanym sportowym subaru do Niemiec. Ktoś musi doglądać interesu.

– Dlaczego jego subaru jest takie wypielegnowane?

– Mógłbyś u niego jeść z podłogi. Czysto jak w szpitalu. Każdy ma jakąś słabość... Pucuje auto przy każdej okazji.

Pomyślałem o moim samochodzie, który wyglądał jak kontener ze śmieciami. Było to jednak moje własne wysypisko, na którym czułem się przytulnie.

– Jak się nazywa wasza firma? – Zmieniłem temat.

– „SKH Fussball”. – Wydawał się zaskoczony pytaniem. – Dlaczego cię to interesuje?

– Chcę was przeświecić. Po prostu.

Rozłączyłem się. SKH. Pierwsze litery nazwisk. Finezji w tym było za grosz, ale mogłem się tego spodziewać. W internecie odnalazłem firmową stronę. Fragmenty meczów z udziałem Stamma, uśmiechnięty Kruczek i Joseph wznoszący w górę jakiś puchar. Wiele nazwisk, które nic mi nie mówiły. Rekomendacje. Informacje dla potencjalnych klientów. Wszystko po niemiecku, którego nie rozumiałem ni w ząb, oraz po angielsku. Patrzyłem na zapisane drobną czcionką imię ojca. Joseph. Dziwnie to wygląda. Ktoś, nie pamiętam kto, mówił mi, że bardziej współczesną formą jest w języku niemieckim Josef. Dlaczego więc stary zdecydował się na dawniejszy, rzadko już używany zapis imienia? Chciał się w ten sposób poczuć lepszy i dowartościować w nowej ojczyźnie? Może kiedyś spytam go o to.

To, że zainteresowałem się firmą ojca, powinno dać mu do myślenia. Powinien zrozumieć, że nie mam do niego zaufania. Ciekawe, czy po naszej rozmowie zadzwonił do swoich współników. I co powiedziałyby o „SKH Fussball” z siedzibą w Hanowerze obrońca Jacek Kos? Tliła mi się w głowie pewna myśl.

Sięgnąłem po pierwszą lepszą płytę. Na szczęście trafiłem na jakiś dźwiękowy wypełniacz, który nie absorbował zbyt wiele uwagi. Miałem w domu trochę takiego chłamu. Zakurzone nietrafione prezenty z czasów, gdy jeszcze otrzymywałem upominki. Spojrzałem ponownie na ekran laptopa. Przeczytałem uważnie biogramy trzech współników. Najkrótszy dotyczył ojca. W wypadku Stamma oraz Kruczka nazwy nieznanymi miejscowości oraz egzotycznych klubów migają mi przed oczami. Najczęściej pracowali razem, choć czasem zdarzały się momenty, gdy ich ścieżki biegły równolegle.

Sprawdzałem, czy w ich życiorysach występują Afryka i Azja. Poza jedną wzmianką nie było nic na ten temat.

Zmieniłem płytę i położyłem się.

8

Patrzyliśmy sobie w oczy, a czas stanął w miejscu. Żadne z nas nie powiedziało słowa. Byłem jak rewolwerowiec gotowy zginąć w pojedynku. Dzieliło nas kilka metrów, a w pustej przestrzeni między nami strzelały elektryczne iskry. Byłem bohaterem jednej z tych magicznych, wzruszających chwil, gdy mężczyzna spotyka kobietę. Jednego z najgłębszych, lecz nieustannie powracających momentów w dziejach ludzkości. Ale zacznijmy od początku.

Zerwałem się rano ze zdwojoną dawką energii. Zupełnie jakbym przeczuwał, że zdarzy się coś niezwykłego.

Myśl, która pojawiła się poprzedniego wieczoru, nie dawała mi spokoju. Zadzwoiłem do Josepha. Najwyraźniej spał, odebrał dopiero przy mojej trzeciej próbie.

– Jak leci, detektywie? – zapytał. – Przyskrzyniłeś nas?

– Pracuję nad tym. – Nie chciałem tracić czasu. – Czy Kos miał wielu znajomych w Warszawie?

– A jak myślisz? Przecież to był znany sportowiec.

– Bo wiesz, o czym pomyślałem? – Położyłem nogi na stoliku i delectowałem się elektronicznym chesterfieldem. – Zakładaliśmy, że ktoś mógł szantażować Kosa... A gdyby było odwrotnie?

– Nie rozumiem. Uważasz, że to Jacek kogoś szantażował?

– Nie. Nie o to mi chodzi. Nagła wyprawa do Warszawy. Spieszyło mu się. Może chciał coś zostawić, coś komuś przekazać. Jakąś

wiadomość... Albo depozyt...

– Możesz mieć rację, nie pomyślałem o tym – odpowiedział po dłuższym namyśle.

Jeszcze o czymś nie pomyślałeś, powiedziałem sam do siebie, gdy rozłączyliśmy się. Jeśli było tak, jak sędzę, śmierć Kosa byłaby nie na rękę tym, którzy mieli brud za paznokciami. Jego wiedza nie trafiła do przechowalni bagażu, ale do osoby mogącej zrobić z niej użytek. A ujawnienie faktów, które zgromadził reprezentacyjny obrońca, przysporzy komuś kłopotów. Komu? Pewnej firmie z Hanoweru.

Zapewne każdy zawód odciska na człowieku jakieś piętno. Mój produkował psychotyków, którzy nigdy, nawet podczas swoich urodzin obchodzonych w gronie najbliższych osób, nie usiądą tyłem do drzwi. Wytwarzał mężczyzn i kobiety, którzy w każdym wypowiedzianym zdaniu doszukiwali się kłamstwa. Sam zapewne też należałem do tej niewesołej gromady, bo nie do końca wierzyłem w szczerłość ludzkich intencji. To, że ojciec zainteresował się samobójstwem piłkarza, nie wynikało z odruchu serca. Coś za tym zaangażowaniem musiało się kryć. Pomyślałem także o powodach, które sprawiły, że sam zainteresowałem się tą sprawą. Może chciałem po prostu pograć Josepha. Złapać go na jakichś machlojkach i potwierdzić domysły na jego temat.

Przygłodziłem zmierzwione włosy i narzuciłem marynarkę. Zapowiadał się kolejny ciepły dzień, musiałem jednak ukryć glocka przed spojrzzeniami ciekawskich oraz pytaniami dzieci. Schodziłem po schodach. Zatrzymałem się piętro niżej i zadzwoniłem do Karolaków. Nikt nie otworzył. Wyjąłem z kieszeni kartkę, którą napisałem zawczasu, i wsunąłem w drzwi. Nic szczególnego.

Poprosiłem, by wykreślono mnie z listy przyjaciół smoleńskiego krzyża.

Alicja Solska przyjmowała w centrum Katowic. W recepcji panowała uroczysta cisza. Mignąłem policyjną blachą i przyrzekłem, że zajmę pani doktor tylko pięć minut. Żaden pacjent na tym nie ucierpi.

Wszedłem do gabinetu. W pierwszej chwili chciałem się wycofać, ale niewidzialna siła przyspiliła mnie do podłogi. A zresztą, po co ściemniać. Żadna tam tajemnicza siła. Tak działały oczy koloru granatu.

– Widzę, że jednak mnie pamiętasz. – Przenikliwe spojrzenie złączyło się z dobrze znanym ciepłym głosem.

– Mam tatuaż z twoją podobizną na bicepsie. – Próbowałem nadrabiać miną, ale wcale nie było mi do śmiechu. – Gdy prężę mięśnie, zawsze myślę o tobie.

W gardle miałem wielką gulę. Jakbym zapchał się biszkoptami i zabrakło mi wody. Wpatrywałem się w nią i nie wiedziałem, co więcej powiedzieć. Są kobiety, których uroda nie podlega przedawnieniu. Alicja Guerero, pod takim nazwiskiem ją znałem, zaliczała się do tego grona bogiń żyjących poza czasem. Bawiła się długopisem i patrzyła na mnie jak na dziwny okaz w ogrodzie zoologicznym. Grzywka gęstych czarnych włosów przysłaniała brwi. Wyglądała jak mała Pocahontas. Tak zresztą nazywałem ją lata temu. Przez żaluzje przebijały się promienie słońca i nadawały blask jej hebanowej skórze. Kolor ten zawdzięczała ojcu, Kubańczykowi, który na początku lat siedemdziesiątych przyjechał do Polski w ramach wymiany studenckiej, której bynajmniej nie spędził nad książkami.

Alicja. Zupełnie jak w piosence, którą zna każdy, kto chociaż raz był na koncercie w najbardziej nawet upodlonym pubie. *Alice, Who the Fuck Is Alice?* Gdybym wiedział, że to właśnie ją spotkam, nigdy bym się tu nie zjawił.

Zakręciła długopisem i zrozumiałem, że jest to zaproszenie, abym usiadł przy biurku. Bezwolnie, jak lunatyk, uczyniłem to. Serce przestało łomotać. Wracałem do formy. Kiepskiej, ale jednak.

– Co cię sprowadza, Rudolfie? Twoje problemy czy jakieś zmagania ze światem? – Strzeliła spojrzeniem koloru granatu.

Rudolfie. Tak właśnie do mnie mówiła. Jak do krnąbrnego ucznia w szkole albo postaci z kreskówki. Dobrze wiedziała, że tego nie lubię.

– Chodzi o fale SMR oraz alfa – wyszeptałem i niewinnie spuściłem oczy. – Wciąż nie mogę osiągnąć stanu twórczego relaksu.

Poznaliśmy się wieki temu. Ściślej, przed czternastoma laty. Dla dzieci ery internetu to niewyobrażalna perspektywa. Wspólnie występowaliśmy na szkoleniu dla policjantów. Ona opowiadała o różnych psychologicznych sztuczkach przydatnych przy określaniu emocji świadków i podejrzanych. A ja? Pewnie o ojcu profilerów, Jamesie Brusselu, który opisywał Szalonego Bombiarza. Znam to na pamięć. Szukajcie dobrze zbudowanego mężczyzny w średnim wieku, katolika, cudzoziemca, mieszkającego z bratem lub siostrą, a gdy go znajdziecie, będzie miał na sobie dwurzędowy garnitur. Jedno wówczas mówiłem, co innego myślałem. Wpatrywałem się w tę dziewczynę o hebanowej skórze z mieszaniną podziwu i nadziei, z fascynacją i lękiem, niemal tak, jak tamten młody piłkarz patrzył na mokrego Włocha, menedżera, który utopi go w łyżce wody.

– Nie jest tak źle. Chyba potrafisz się jednak twórczo zrelaksować.

Gówno prawda. Nie potrafiłem. Znałem to na wylot. Podłączają cię do jakiejś aparatury, a ty falami mózgu masz przesuwac samolocik na ekranie komputera. Im wyżej samolocik wzleci, tym lepiej. Jeśli żyjesz w ciągłym napięciu i stresie, maszyna będzie poruszała się na niskiej wysokości, a czasem nawet zabłądzi we mgle. Podobno potrafiłem się koncentrować na zadaniu. Czyli z falami beta wszystko było u mnie w porządku. Ale z tymi bardziej pożądanymi, z SMR i alfa, nie było za wesoło. Dla specjalistów od neurofeedbacku, jako profiler z syndromem wypalenia, trwający heroicznie na posterunku, byłem zarówno zagadką, jak i cennym obiektem badań. Tylko patrzeć, a odkryją w mojej głowie coś, co zmieni oblicze medycyny.

– Za chwilę – spojrzała na zegarek leżący na biurku – mam następną wizytę. Gdybyś mógł się więc streszczać...

Następna wizyta. Ładnie. Żaden tam kolejny pacjent albo, co w dzisiejszych czasach modniejsze, klient. Alicja zawsze ważyła słowa i wysławiała się tak, jak należy.

– Nie chcesz chyba zaprosić mnie na tygodniowe wakacje? – Wyprowadziła kolejny sztych w moją stronę.

– Lato w tym roku ma być wyjątkowo piękne, ale i tak pewnie nie wytrzymałabyś ze mną trzech dni. Jacek Kos – powiedziałem. – On mnie do ciebie sprowadza.

Drgnęła, gdy usłyszała nazwisko. Albo tak mi się zdawało.

– Dlaczego o niego pytasz?

– Popęłił samobójstwo. Był twoim – zawahałem się – pacjentem... Jest w tej śmierci kilka niejasności...

Wstała od biurka i podeszła do okna. Podciągnęła żaluzje. Słońce na jej odkrytych przedramionach i szyi tworzyło złotą poświatę.

– Prowadzisz tę sprawę? – zapytała. – Jak wiesz, informacje o naszych pacjentach – zaakcentowała to słowo – są poufne.

Pokręciłem głową i wyjąłem elektronicznego papierosa.

– Nie prowadzę śledztwa. Chodzi o pytania poza konkursem. I poza protokołem.

Wyjaśniłem jej, co wiem. Było tego niewiele. Powiedziałem też o ojcu, który pojawił się nagle po czterdziestu latach milczenia. Słuchała cierpliwie. Do czasu.

– Józef Heinz zjawia się w twoim życiu, a ty przychodzisz do mnie! Co ty sobie myślisz – parsknęła. – Że jesteś jak Philip Marlowe? Nie nosisz prochowca, ale tupet masz ten sam! I cynizm też ci dopisuje.

Obracała w palcach długopis i milczała. Czekałem, co zrobi. Wreszcie podjęła decyzję.

– Dobra. – Westchnęła. – Co chcesz wiedzieć? Na większość pytań i tak nie będę mogła odpowiedzieć. I pamiętaj – wymownie skierowała wzrok w stronę biurka – mamy kilka minut.

– Po prostu – rozłożyłem ręce – opowiedz mi o nim. Co możesz. Nakreśliłem ci sytuację. Tak będzie najprościej.

– Cóż – zamknęła notes, który przed nią leżał, jakby chciała w ten sposób podkreślić, że jest dobrze przygotowana do wygłoszenia wykładu – musisz pamiętać, że hazard to uzależnienie jak każde inne...

Zawahała się.

Zresztą wiesz coś o tym, chciała zapewne dodać, lecz powstrzymała się.

– Zakładasz się nie po to, by osiągnąć korzyść, wygrać pieniądze, ale dlatego, że nie możesz żyć bez tej dawki adrenaliny, która jest istotą hazardu.

– To trochę tak jak z moją pracą w policji?

Uśmiechnęła się.

– Ty to powiedziałeś. Kos trafił do mnie w 2002 roku, krótko przed wyjazdem na Zachód. Znajdował się w punkcie, który nazywamy fazą desperacji. Krótko mówiąc, jest to stan bezradności, wyczerpania. Odsuwasz się od przyjaciół. Nie liczysz już na wygraną, ale zadłużasz się, by spłacić starych wierzycieli i jeszcze raz zagrać...

– Rozumiem, że ktoś go do ciebie skierował?

– To był ktoś z klubu, nie pamiętam dokładnie. Trener albo ktoś taki.

– Czy Kos opowiadał może coś o kłopotach finansowych? O ludziach, od których pożyczał pieniądze?

– Unikał tego tematu. Tylko raz, pamiętam bardzo dobrze, powiedział, że ludzie, u których się zadłużył, to nie są pluszowe misie. Miał w sobie jednak tyle siły, że wyprowadziliśmy go na prostą. Trochę to wszystko trwało, ale dał radę. Pojawiły się perspektywy wyjazdu do dobrego klubu i to też go wzmocniło.

Zadałem jeszcze kilka pytań, ale niewiele się dowiedziałem. Byłem tak samo mądry jak godzinę wcześniej.

– O ile dobrze cię zrozumiałem, z hazardem jest trochę tak, jak z kasowaniem plików. Niby nic już nie ma, jest się czystym, ale coś zalega na twardym dysku?

– Właśnie tak. Adrenalina to jedno. Ale hazardzista chce zobaczyć, czy los jest po jego stronie. Więc nieustannie zakłada się

sam ze sobą. O wszystko.

– Na przykład?

– Na przykład czy dziś pokonasz trasę z domu do pracy o pięć minut szybciej niż wczoraj. Zabawiasz się tak? – Drwina w jej głosie była aż nadto odczuwalna.

Wstałem. Nie było sensu brnąć w to dalej. Wyjąłem wizytówkę i położyłem na biurku.

– To na wypadek, gdyby coś ci się jeszcze przypomniało. Pewnie mój numer już dawno wykasowałaś. A co do mnie – podniosłem nieco głos – nie mam czego sprawdzać. Los nigdy nie był po mojej stronie.

Chciałem coś jeszcze dodać, ale rozległo się ciche pukanie i w drzwiach pojawiła się recepcjonistka.

– Następny gość przyszedł do pani.

Alicja odprawiła dziewczynę ruchem ręki.

– Los nigdy nie był po mojej stronie – powtórzyła, rozciągając słowa. – Rudolf Heinz, jego poczucie winy i notoryczne spoglądanie w przeszłość... Widzę, że przynajmniej z papierosami sobie radzisz. Chociaż ten e-papieros to jak stosunek przerywany. – Zmrużyła oczy i przeciągnęła się. Prowokowała mnie. Wyglądała jak rozdrażniona puma w klatce.

– Nigdy nie zrozumiałam – ciągnęła – dlaczego mnie nagle zostawiłeś. Co takiego się stało.

– Może dlatego, że jesteś psychologiem...

– Psycholożką! – warknęła.

Machnąłem ręką. Niech jej będzie. Psycholożką.

– Może gdybyś nie traktowała mnie tak... jakbym był jeszcze jednym przypadkiem w twojej karierze terapeutki, wszystko

potoczyłoby się inaczej.

Wstała. Zaciśnęła pięści i wsparła się na biurku.

– Chciałaś mnie naprawić i dołączyć do kolekcji cudownie uleczonych. A ja nie chcę być naprawiany. W sumie lubię swoje niedoskonałości, Pocahontas.

Ponownie rozległo się pukanie do drzwi. Tym razem bardziej natarczywe.

– Dlaczego się uśmiechasz? – zapytała cicho.

– Założyłem się ze sobą, że zanim skończymy rozmowę, twoja koleżanka zapuka jeszcze raz. Recepcjonistka zawsze puka dwa razy. Fajnie brzmi, prawda?

Odprowadzały mnie trzy pary ponurych oczu. Małej Pocahontas nie dziwiłem się specjalnie. Recepcjonistce też nie, o ile słyszała moje ostatnie słowa. Ale dlaczego wychudzony czterdziestolatek w garniturze za, tak na oko, dwie moje pensje, był równie pochmurny? Tego nie rozumiałem. Wyglądał bardziej na kokainistę niż hazardzistę, ale kto go tam wie? Może też się o coś założył z samym sobą.

Spotkanie z Pocahontas odchorowałem dwoma piwami. Wróciłem do domu i sącząc browar, odtworzyłem sobie w głowie naszą rozmowę. Pomiąłem wątki osobiste. A gdy już zapanowałem nad emocjami, zrozumiałem, że coś mnie w tej opowieści uwiera, tak jak potrafi uwierać kamień w bucie. Alicja dziwnie zareagowała, gdy wymieniałem nazwisko piłkarza. Bez zdziwienia przyjęła informację o jego samobójczej śmierci. Musiała już o tym wiedzieć. Może nic w tym dziwnego, kiedyś był jej pacjentem. No właśnie. Kiedyś. Bez zaglądania do notatek przypomniała sobie, kiedy Kos poddał się terapii. A potem zasypała mnie okrągłymi zdaniem. Żadnych

konkretów. Z jednym wyjątkiem. Jak to było? Że sponsorzy hazardowych szaleństw to nie są pluszowe misie. Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej. Czułem, że w jej wypowiedziach istniała jakaś trudno uchwytna luka. Powinienem ją o parę spraw dopytać, ale miałem tylko telefon do gabinetu. Numeru komórki nie wziąłem. Może żeby nie kusić losu. A może po prostu byłem przewrażliwiony i szukałem na siłę czegoś, co pogrzyłoby tę hebanową piękność w moich oczach.

Minęła godzina, gdy zadzwoniłem do Josepha. Opowiedziałem mu o wizycie. Niektóre fragmenty pozostawiłem dla siebie.

– Od kogo mógł pożyczać kasę? Od kolegów z drużyny?

– Nie sądzę – wysapał. – Wiedzą, jak to się kończy. To ktoś inny, ale związany z piłką – stęknął.

– Dobrze się czujesz?

– Świetnie. Trzymam słuchawkę przy uchu i robię brzuszki – jęknął. – By nie wyjść z formy.

Aha. Brzuszki. Też ćwiczę, tylko inaczej. Upiłem kolejny łyk z puszki.

– Możesz podzwonić i spróbować dowiedzieć się czegoś na ten temat? – zapytałem. – Może to jakiś kibic? Jakiś ważny w tym środowisku...

– Dobra.

– A wracając do twojego wcześniejszego pytania: tak, owszem, zajrzałem na waszą stronę.

Sapanie ucichło.

– Brakuje tam informacji o waszych interesach w Azji i Afryce. Nie chwalicie się tym zbyt głośno.

– Nie wszystko zamieszcza się na stronie – odpowiedział po chwili milczenia. Czułem, że opuścił go dobry humor. I o to chodziło.

Oddzwonił po dwóch godzinach, gdy przysypiałem kołysany bluesami Skipa Jamesa. Strzał z kibicem okazał się trafiony. Był taki facet. Szalikowiec Ruchu Chorzów. Maciej Treliński, bardziej znany jako Troll. Dziś właściciel rozlicznych biznesów. Czy słyszałem o takim? Nie, raczej bym zapamiętał, gdyby grał w mojej więziennej lidze. Obiecałem, że rozejrzę się, może nawet pogadam z tym Trollem.

– Tak się zastanawiam – usłyszałem w słuchawce – jaki to ma sens. Nawet jeśli się zadłużył, było to lata temu. Jaki może mieć to związek z jego samobójstwem?

Joseph zaczyna zadawać takie same pytania jak ja. Jeszcze chwila i odbierze mi robotę.

– Też nie wiem. Ale może wtedy wpadł w złe towarzystwo. Coś widział, może był świadkiem jakiegoś zdarzenia. A po latach przeszłość odżyła... Gdy tak chodzę wokół tej sprawy, zauważam pewną prawidłowość.

– Jaką?

– Widzę, że piłkarze mają ciekawe biografie. I że rozgrywają interesujące mecze nie tylko na boisku.

Nie odpowiedział na moją zaczepkę, ale na pewno zrozumiał aluzję. Wybąkał kilka słów i rozłączył się. Zastanawiałem się, jak długo to potrwa, zanim uzna, że ma mnie dość. Sam tego chciałeś, pomyślałem. Sięgnąłem po telefon, by odnaleźć numer komisarza Chądzyńskiego, chorzowskiego policjanta, z którym kilka razy pracowałem. Troll był postacią z jego bajki. W dodatku postacią pierwszoplanową, jak to bywa w wypadku szalikowców, którzy

przepoczwarzają się w szemranych przedsiębiorców. W ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Coś podpowiadało mi, że powinienem wybrać mniej formalną drogę.

Zadzwoiłem do kogoś, kto także miał ciekawą biografię. I podobnie jak ja nie przepadał za fanatycznymi kibicami.

– Troll? – Zdziwił się. – Nie, nie znam. Ale nie ma takiego człowieka na Śląsku, o którym nie dowiedziałbym się, czego trzeba, w ciągu godziny. Chcesz się założyć?

Przed oczami mignęła mi hebanowa skóra małej Pocahontas. Chciałem powiedzieć mojemu rozmówcy, że jest na dobrej drodze, by uzależnić się od zakładów i hazardu, ale rozłączył się.

Purple Haze Hendrixa odezwało się w moim telefonie trzy kwadransy później. Wiem, bo akurat kończyłem słuchać *Horses* Patti Smith.

– Czterdzieści pięć minut – krzyknął Kastoriadis. – Mówiłem, że nie minie godzina? Miałeś rację, ten Troll to ciekawa postać, a takich niełatwo namierzyć. Ale znalazłem ogniwo pośrednie, które nas do niego doprowadzi. Musimy tylko udać się w jedno miejsce.

– Tak? – przeciągnąłem sylabę. Nie zawsze przepadam za pomysłami Kastoriadisa. Szczerze mówiąc, rzadko kiedy je akceptuję.

– Do klubu MMA.

9

I jak ci się podoba? – zapytał Kastoriadis. – Może walki w klatce to twoje powołanie?

– Wolę otwarte przestrzenie.

– Ja chyba też – zamruczał.

Staliśmy w uchylonych drzwiach jednej z sal AWF-u w Katowicach na Mikołowskiej, a w środku kłębiło się kilkunastu osiłeków. Wszyscy łysi, w krótkich spodenkach i T-shirtach. Czterech z nich, w rękawicach bokserskich, z zapamiętaniem waliło w worki treningowe. Dwóch wykonywało jakieś wygibasy na macie w rogu sali. Kastoriadis wytłumaczył mi, że to elementy brazylijskiego jujitsu, ponoć całkiem przydatne w rozmaitych sytuacjach życiowych. Pozostali stali przy ringu, na którym odbywał się sparing. Dwóch ciężko dyszących facetów szepiło się ze sobą i przywarło do lin. Wyglądali trochę jak syjamscy bracia, trochę jak biesiadnicy w ostatnich godzinach wesela. Nagle rozdzielili się. Ten niższy błyskawicznie znalazł się za plecami przeciwnika, uniósł go do góry, rzucił na matę i zaczął dusić. Łoskot upadających ciał odbił się od ścian. Widzowie mruzczyli z uznaniem, kilku klaskało. Zwycięzca zaprosił do sparingu następnego zawodnika.

– Niezły jest. – Kastoriadis z uznaniem kiwnął głową w stronę ringu.

Rozglądałem się po sali. Dwóch bokserów przestało okładać worek. Odwrócili się do siebie i zaczęli ćwiczyć ciosy proste. Do ścian oraz do ringu przytwierdzone były banery z literami „FW” oraz rozwinięciami skrótu. *Fight Wish*. Fajna nazwa dla klubu zabijaków. Prawie jak „życzenie śmierci”.

– Wiesz, który to Krasnolud? – zapytałem.

Wzruszył ramionami.

– Ten. – Pokazał palcem najniższego z chłopaków. – Albo tamten.

– Wskazał na dryblasa, który miał dobrze ponad dwa metry wzrostu.

– Jeszcze nie wiem, który to, ale zaraz się dowiem.

Odchrząknął i niespodziewanie krzyknął. Czerwone od wysiłku twarze skierowały się w naszą stronę. Równocześnie, jakbyśmy ćwiczyli to latami, unieśliśmy dłonie w geście pozdrowienia. Dwóch komików i ich popisowa sztuczka. Dziwacznie musiało to wyglądać. Faceci w drzwiach. Jeden w płaszczu, z siwymi włosami opadającymi na ramiona, drugi, równie niechlujny, w sztruksowej marynarce.

– To ten najmniejszy – szepnął Kastoriadis. – To nasze brakujące ogniwo.

Troll i Krasnolud. Panie przedszkolanki byłyby zachwycone. Ja nie byłem. Po drodze Grek opowiedział mi co nieco o Trelińskim. Weteran i dawny wódz kibiców Ruchu. Słynął z odwagi i bezwzględności wobec szalikowców „gieksy”. Wiedziałem coś o tych bitwach nie dlatego, że byłem policjantem, ale ze względu na to, że odbywały się za moimi oknami. Dolny Tauzen był miejscem, gdzie krzyżowały się strefy wpływów obu drużyn, z Katowic i Chorzowa. Troll należał do legendarnych weteranów. Był zdeterminowany, najbardziej pojebany i ogarniał temat. Jakoś w ten

sposób ujął to informator Kastoriadisa. W szczegółach wyglądało to tak, że pod jednym z bloków znaleźli chłopaka w szaliku GKS-u pociętego maczetą. Twierdzono, że to robota Trelińskiego, ale nie postawiono mu zarzutów. Innym razem zamaskowana brygada wpadła z kijami bejsbolowymi na salę gimnastyczną wypełnioną zwolennikami „gieksy”. Za tą akcją znów miał stać Troll. Skończyło się jak poprzednio, czyli niczym. A później, bliżej naszych czasów, watażka kibiców rzeczywiście ogarnął temat. Zaczął prowadzić sklepik z klubowymi pamiątkami i kiełbaskami przy stadionie. Amatorom innych wrażeń oferował dopalacze dostępne w budkach czynnych całą dobę i obleganych przez gówniarzy w weekendy o trzeciej w nocy. A dla wybrednych i koneserów, którym nie pasowała efedryna, Troll miał coś ekstra w zanadrzu. Amfa, metamfetamina, MDMA oraz inne kombinacje literek określające podobne substancje. Jego żona była przykładną bizneswoman. Miała sieć sklepów z używaną odzieżą sprowadzaną z Anglii. Nowa dostawa raz w tygodniu. Od takich budek zaroiło się na Śląsku w ostatnich latach. Pewnie nie tylko tu. I tak interes państwa Trelińskich się kręcił. W sumie nic specjalnego, klasyczna droga od stadionowego rzezimieszka do gangstera przykrywającego swoje ciemne sprawy nowiuteńkim garniturem i plikiem banknotów w spoczonej ręce.

Trening się skończył. Wszyscy przybijali sobie piątki, a niektórzy obejmowali się, jakby mieli się spotkać dopiero w przyszłym stuleciu. Okładanie się po twarzy, duszenie i zakładanie dźwigni jednoczy ludzi.

– Krasnolud, możemy na chwilę? – Zatrzymałem chłopaka w drzwiach.

Poczekaliśmy, aż wszyscy wyjdą z sali.

– Coście za jedni? – Zmrużył oczy.

Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Krasnolud, żołnierz Trolla. Był ode mnie niższy przynajmniej o głowę. W dodatku wyglądał tak, jakby głowa wrosła mu w kark. Jakby szalony chirurg pozbawił go szyi. Całości dopełniały stylowe blizny przy łukach brwiowych.

– Przyjaciele przyjaciół. – Kastoriadis wyszczerzył zęby. – *Amigos dos amigos.*

– Nie zwracaj na niego uwagi. – Wskazałem palcem Greka. – Jak trwoga, to do Trolla. Potrzebuję się spotkać. Podobno możesz to ułatwić.

Chłopak podrapał się w głowę. Ciężko trenował. I równie ciężko myślał.

– Nie znam takiego.

Próbował nas wyminąć, ale Kastoriadis kocim ruchem zastawił mu drogę.

– Tężyzna fizyczna i odporność psychiczna – Grek cedził słowa.

Krasnolud patrzył na niego szeroko otwartymi oczami i nic nie rozumiał. Nie on jeden.

– To mięsień czworogłowy, prawda? – Mistrz karate wskazał na udo chłopaka. Nie czekał na odpowiedź. – Czy dałoby się jedną z tych głów przeszczepić tu? – Dotknął palcem swojej skroni.

– Ten facet jest pojebany! – Krasnolud spojrział na mnie. – Tak w ogóle to jestem spokojny, ale zaraz mu przypierdolę!

Nawet nie próbuj, synu. To ostatnia myśl, jaka powinna ci przejść przez głowę. Dopóki jeszcze ją masz.

– Mówiłem ci, byś nie zwracał na niego uwagi. Lepiej zadzwoń do pana Trelińskiego. Powiedz mu, że jest grubsza sprawa. A ty, jak się

dobrze spiszesz, dostaniesz nagrodę.

Na słowo „nagrada” prawie zastrzygł uszami. Prawie, gdyż zmacerowane od zapaśniczych chwytów małżowiny na to nie pozwalały.

– Powiedz mu tak – tłumaczyłem cierpliwie – jest duża sprawa na literę „A”. I nie chodzi mi o anioły ani zespół ABBA. Przekaż mu jeszcze coś. Pozdrowienia od świętej pamięci Jacka Kosa. Zapamiętasz? Jacek Kos. Wiesz, kto to był?

Ponownie zamrugał oczami.

– Mnie o to pytasz? – Uderzył się palcem wskazującym w szeroką klatę. – Mnie? Poczekajcie tu, zobaczę, co i jak.

Wrócił po pięciu minutach.

– O dziesiątej w Piekarach Śląskich. Na Manhattanie pod pubem. Spojrzałem na zegarek. Było kilka minut po siódmej.

– Dlaczego dopiero za trzy godziny? Trochę mi się spieszy.

– Wiesz, gdzie to jest? – nie odpowiedział na moje pytanie.

Wiedziałem. Manhattanem nazywano część Osiedla Powstańców. Był tam pub „U Jacka”, w którym rok temu graliśmy koncert. Z bogatego repertuaru spojrzeń Krasnolud na pożegnanie zafundował mi takie, które nazwałbym nieciekawym. Może byli tacy, którym włosy stanęłyby dęba, a kropla potu spłynęła wzdłuż kręgosłupa. Ale na mnie to nie działało. Przez wszystkie lata Kastoriadis nauczył mnie z pewnością jednego. Groźny jest nie ten pies, który głośno szczeka, lecz ten, który warczy. Grek usłyszał to lata temu od swojego senseia. A tamten od Funakoshiego, twórcy karate. Też to komuś powiem.

I tak zakończył się mój pierwszy trening MMA.

10

Na butelce wody niegazowanej matka tuliła niemowlę i uśmiechała się do mnie. Drugą buteleczkę Kastoriadis postawił przed sobą. Gdy zamówiłem kebab, z dezaprobatą pokręcił głową i wskazał na mój brzuch. Na stole leżała poplamiona tłuszczem gazeta i Grek zaczął ją kartkować.

– Widziałeś ten film? – Kastoriadis odwrócił gazetę w moją stronę.
– Niezły hard core.

Karate nie było jego jedyną pasją. W dyskusjach na temat polityki krajowej i zagranicznej nie miałem z nim szans. Staram się zresztą unikać takich tematów, bo wiem, jak to się kończy. Efekty politycznych sporów widziałem kilka razy na podłodze. Zakrwawione i pozbawione życia.

Zerknąłem na artykuły. Dotyczyły reportażu pokazanego w telewizji. Chodziło o manifestujących pod Pałacem Prezydenckim. Jeden głos zarzucał dziennikarzowi skrajną manipulację. Drugi brał reportaż w obronę. Nic nowego. Mieliśmy trochę czasu, więc przerzuciłem kolejne strony. Krótka nota dotyczyła planowanej likwidacji *Familiady*. Dowiedziałem się, że program był tylko kilka lat młodszy od mojego syna. Swoją drogą, ciekawe, czy jest w Polsce ktoś, kto obejrzał wszystkie odcinki?

Kastoriadis dwa razy wstał od stolika i wyszedł na telefoniczne pogawędki. Najwyraźniej były sprawy, w które wolał mnie nie

wtajemniczać. Zerknąłem na ostatnią stronę. Bayern Monachium wygrał z Francuzami i awansował do finału Ligi Mistrzów. Bawarczycy zacierają ręce, licząc zyski. Joseph zapewne też jest w siódmym niebie. Gdy Grek po raz trzeci podniósł się z krzesła, wiedziałem, że powinniśmy ruszać.

Zbliżaliśmy się do Piekar Śląskich. Po drodze opowiedziałem Kastoriadisowi o spotkaniu z Alicją. Potakiwał głową i milczał. Wiedział o moim życiu niemal wszystko. Czasami miałem wrażenie, że wie o mnie więcej niż ja sam. Nigdy nie komentował moich wyborów. Tylko kilka razy, podczas treningu, próbował mnie prowokować.

– Potrzebujesz kobiety, Hipis – mruczał. – Ale przede wszystkim potrzebujesz stabilnych emocji – dodawał, gdy nacierałem z furją, nadziewając się na jego uderzenia o sile ładunku atomowego.

Kastoriadis skończył kawę i bawił się kubkiem.

– Tak ci powiedziała? Że żyjesz przeszłością? To coś ci opowiem.

Była to historia o dwóch buddyjskich mnichach. Wędrowali do klasztoru, gdy zerwała się burza. Kiedy dotarli do skrzyżowania dróg, zobaczyli piękną młodą dziewczynę przy brzegu rwącego strumienia. Jeden z mnichów zaproponował pomoc i przeniósł ją na drugi brzeg. Potem ruszyli w dalszą drogę. Szli w milczeniu. Nagle ten drugi wybuchnął: „Jak mogłeś! Przecież wiesz, że nie wolno nam dotykać kobiet!”. Na to usłyszał odpowiedź: „Ja zostawiłem dziewczynę przy strumieniu, a ty ciągle ją niesiesz”.

– Co chcesz mi przez to powiedzieć?

– Żebyś przestał żyć tym, co usłyszałeś dziś od Pocahontas.

Dotarliśmy na miejsce. Zaparkowałem samochód kilkaset metrów przed pubem.

– Jak sądzisz, dlaczego spotykamy się o dziesiątej?

– Bo jest ciemno.

– I?

– Bo Troll chciał przygotować się do spotkania. Ja też jestem przygotowany. – Dotknąłem wypukłości pod lewą pachą.

– To idź na miejsce, a ja popatrzę, jak sobie radzisz.

Stałem pod pubem i spojrzałem na zegarek. Pięć po. Nie spieszy mu się. Żadnemu dilerowi nigdy się nie spieszy. W ten sposób okazują swoją władzę i przewagę. Usłyszałem klakson samochodu. Ktoś w eleganckim czarnym audi mrugnął do mnie światłami, a ja zamrugałem oczami.

– Ty chciałeś się ze mną spotkać? – Padło pytanie zza uchylonej szyby.

Uniosłem rękę do góry i podszedłem do samochodu.

– Wsiadaj. – Usłyszałem. – Staniemy w uliczce obok. Mniejszy ruch.

Zlustrowałem wewnątrz auta. Oprócz kierowcy nie było nikogo. Usiadłem obok Trolla.

Treliński nie przypominał wyglądem pospolitego zakapiora. Jeśli ktoś spodziewałby się grubego karku, wylewającego się brzucha i złotego łańcucha na szyi, byłby zawiedziony. Połączone oprawki okularów sprawiały, że wyglądał jak informatyk, który właśnie przyleciał z Doliny Krzemowej. Ubranie z pewnością nie było second handem z Anglii. A dzieci posłał do prywatnych szkół. Prawie mógłbym uwierzyć, że w samochodowym schowku trzyma *Fenomenologię ducha* Hegla albo innego klasyka filozofii. Tylko kwadratowy obrys szczęki świadczył o nadmiarze testosteronu. Dla

równowagi sygnety z wygrawerowaną literą „T” był zapewne w jego mniemaniu świadectwem dobrych manier.

Skreśliśmy w boczną uliczkę. Światła samochodu omiotły napisy na narożnej kamienicy. „Niebieska dzielnica”. „Śmierć konfidentom i społecznikom”. Nie ma co, przytulnie tu. Troll dotrzymał słowa i zatrzymaliśmy się. Wysiadł i oparł się o samochód. Ja także wysiadłem i podszedłem do niego.

– To o co chodzi z tym Kosem? – zapytał gardłowo. Coś takiego słyszę czasami na starych, zdartych winylach.

– Sam chciałbym wiedzieć. – Wzruszyłem ramionami.

– Zacznijmy, kurwa, od tego – Troll sapnął – że wyjaśnimy sobie parę rzeczy. Na początek, skąd ty się wzięłeś, ryju?

Wsunął rękę do samochodu i nacisnął klakson. Z jednej z bram wychynęły dwie postaci, które od biedy można by zaliczyć do człekokształtnych. O ich związku z ludzkością najlepiej świadczył strój sportowy. Jeden, ten większy, trzymał kij bejsbolowy. Rzut oka za siebie wystarczył, by zorientować się, że ta droga ucieczki została odcięta. W moim kierunku zbliżał się Krasnolud. Drapał się po głowie, jakby zastanawiał się, co ze mną zrobić. Połknąć i popić czy załatwić to bez popity. Robiło się nieciekawie. Ja też myślałem, czy to właśnie ten moment, bym sięgnął po glocka. Ale wtedy z jednej z bram wyszedł ktoś jeszcze. Troglodyci otoczyli mnie, a Kastoriadis w rozpiętym płaszczu, cicho pogwizdując, zbliżał się do naszej wesołej gromadki.

– To pies, czuję, że to pies. – Krasnolud wskazał mnie palcem i zwrócił się do Trolla: – A ten łążęga – kiwnął w stronę Greka – był w klubie razem z nim.

– Co tu jest grane? – Troll spoglądał to na mnie, to na Kastoriadisa.

Mistrz przestał gwizdać. Nie wpatrywał się już w swoje buty. Popatrzył na Krasnoluda.

– Zaboląły mnie twoje słowa – wymamrotał. – Może nie wywołuję euforii przy pierwszym spotkaniu, ale nadrabiam przy drugim.

Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Dłonie Kastoriadisa wystrzeliły z kieszeni i oba palce wskazujące trafiły Krasnoluda w oczy. Stara zasada głosi, by zaczynać od tego, który wydaje się najbardziej niebezpieczny. Chłopak krzyknął, złapał się za twarz i osunął na chodnik. *Todome*. Cios kończący. Tak to właśnie wygląda. Krótki ruch wystarczył, by wytrącić kij z ręki drugiego troglodyty. Grek zacisnął palce na jego kroczu. Chodzenie w dresie ma swoje zalety, ale posiada także wady. Oto jedna z nich. Osilek zawył, a po chwili zaczął charczeć, gdy żelazne palce lewej ręki Kastoriadisa chwyciły go za gardło. Wszystko rozgrywało się w ułamkach sekund. Sto kilo żywej wagi uniosło się jak piórko w powietrze, po czym Grek cisnął cielskiem o jezdnię. Chrupnięcie, które usłyszałem, nie wróżyło chłopakowi niczego dobrego. Będzie mógł przynajmniej zapisywać złote myśli na gipsie. Ten trzeci miał najwyraźniej najwięcej oleju w głowie. Nie czekał na egzekucję, tylko rzucił się do ucieczki. Krzyknął przeciągle „kurwa”, jakby wznosił okrzyk bojowy, i tyle go widzieliśmy.

Troll także nie czekał na rozwój wydarzeń. Otworzył drzwiczki i sięgnął w stronę schowka.

Nadszedł wreszcie ten moment. Wyszarpnąłem glocka z kabury i przystawiłem mu do głowy.

– Czujesz, kurwa, ten chłód na swoim popieprzonym łbie? – warknąłem. – To nowa broń, jeszcze jej nie używałem. Chcesz, aby w taki sposób straciła dziewictwo?

Nie chciał. Uniósł ręce. Wykonałem krótki ruch i uderzyłem go kolbą. Troll stracił przytomność.

Gdy się ocknął i gdy Kastoriadis zdjął mu opaskę z oczu, znajdował się w innym wymiarze.

Ciekawe, jakie to uczucie? Opada kurtyna, zapada ciemność. Facet budzi się i spostrzega, że już nie jest we wnętrzu ekskluzywnego audi z wygodnymi fotelami obitymi jasną skórą. Zapachy smaru, wilgoci i gumy mieszają się ze sobą. A gdy jego oczy przywykną do mroku, może wychwycić kontury urządzeń mechanicznych. Rozgląda się po pomieszczeniu. Ale więcej zrobić nie jest w stanie, bo ręce i nogi ma przytwierdzone łańcuchem do wielkiej opony od traktora.

– Załatwimy to po mojemu – oświadczył Kastoriadis, gdy zapakował związanego Trolla do bagażnika i złożył dwóm osiłkom propozycję nie do odrzucenia: by zapomnieli o spotkaniu. A potem nakazał mi jechać na przedmieścia Katowic. Nie protestowałem, nie miało to sensu.

– Skąd wiedziałeś, gdzie będą czekać? – zapytałem.

– Zobaczyłem tego osiłka od MMA i jego dwóch kolegów. Poszedłem za nimi. Proste.

– Ten płaszcz – spojrzałem na Kastoriadisa – nie krępuje ci ruchów?

– Można się przyzwyczaić. Ważniejsze jest to, że traktują cię jak śmiecia. A właściwa ocena sytuacji jest podstawą zwycięstwa. Oni mnie zlekceważyli, ja ich nie.

Fakt. Gdyby Grek chodził w obcisłym T-shircie, wyglądałby jak maszyna do zabijania.

– Dokąd jedziemy?

– Do Papniaka.

Aha. Do Papniaka. Wszystko jasne.

– Fajny człowiek. Chwytał się w życiu różnych zajęć. Zupełnie jak ja. Dlatego go lubię.

Powinien dodać, że Papniak, jak niemal wszyscy mieszkańcy Śląska, miał wobec greckiego mistrza karate dług wdzięczności. Właśnie przyszedł moment, by te zobowiązania spłacić. Od opowieści Kastoriadisa rozboleła mnie głowa. Właściciel zakładu, do którego zmierzaliśmy z Trollem w bagażniku, postanowił w starych czasach handlować wódką. Kupił cztery butelki i czekał. Nikt nie przychodził, więc otworzył jedną. Pomyślał, że na trzech, które zostały, i tak zarobi. A że nikt nie zapukał, po dwóch godzinach napoczął następną. Potem kolejną. I tak minął jeden z pracowitych dni w jego życiu.

– Co z tego wynika? – zapytałem.

Kastoriadis popatrzył na mnie zdziwiony.

– Jak to co? Trzeba cieszyć się chwilą.

Przed zakładem stały dwa potężne podświetlane maszty. Na jednym biało-czerwona flaga z doczepionym na znak żałoby czarnym szalikiem. Na drugim flaga z potężną oponą oraz napisem: „Wulkanizacja – Papniak”. Twórcy haseł reklamowych znaleźliby tu nieocenione źródło inspiracji.

Troll nie potrafił cieszyć się chwilą. Na przemian potrząsał głową, jakby dopadał go jakiś tik, albo nieruchomiał i wpatrywał się w nas z wściekłością.

– Pożałujecie tego, kurwa. Zwłaszcza ty. – Spojrzał na Kastoriadisa.

– Potniesz mnie maczetą? Jak tamtego chłopaka pod blokiem? – Grek zmrużył oczy. – A może wyciąć ci na czole trzy magiczne literki? GKS. Jak ty się wtedy, biedaku, pokażesz na stadionie?

– To wydziaram sobie pod spodem „chujem jest” – Troll rzucił hardo. Tyle dumy nie miał nawet Mel Gibson, gdy grał w *Braveheart*. – A ty już nie żyjesz!

Kastoriadis roześmiał się i bezradnie rozłożył ręce.

– Chyba nie mam wyjścia, jak myślisz? – Spojrzał na mnie.

– Posłuchaj, Trollu – mówiłem powoli, aby zrozumiał każde słowo. – Chcę tylko dowiedzieć się, co łączyło cię z Jackiem Kosem. To, że pożyczałeś mu kasę, już wiem. – Blefowałem. – Co w zamian? Przekręcał mecze, a ty wygrywałeś zakłady bukmacherskie? Jak to było?

– Nigdy nie kablowałem i nie zakabluję!

– Jednak nie mamy wyjścia – wtrącił Kastoriadis. Nacisnął przycisk i kompresor zaczął wtłaczać powietrze w ogromną oponę.

– Ty! – Troll szarpnął łańcuchami. – Co on, kurwa, robi?

Kastoriadis wyłączył kompresor.

– Słyszałeś o tych nieszczęśnikach, którzy pompowali opony i wylecieli w powietrze? Podobno to strasznie nieprzyjemny widok. – Skrzywił się. – Urywa człowiekowi to i owo, a ten jeszcze żyje, dopóki się nie wykrwawi. To chyba – puknął w gumę – stara opona. Nie wiesz – spojrzał na mnie – ile taka od traktora potrzebuje atmosfer?

Znów uruchomił kompresor. Troll wił się i krzyczał, jakby chciał zagłuszyć syk powietrza. Guma naprężyła się. Rozległ się trzask, coś

w oponie zaczynało pękać.

– To jakiś pojeb! – wrzasnął Troll.

Już ktoś tak powiedział o moim przyjacielu.

– Przestań! – Treliński darł się wniebogłosy. – Pogadajmy!

Czerwoną twarz pokrywały kropelki potu.

– To jest rozmowa między nami. – Sięgnąłem po stołek i usiadłem naprzeciwko niego. – Powiesz mi, co się stało, i zapomnimy o naszym spotkaniu. Nigdy się nie widzieliśmy, okej? Nie interesują mnie twoje lewe interesy, dopalacze ani amfa. Przynajmniej nie teraz. Więc jak to było z Kosem?

Troll ciężko dyszał. Patrzył to na mnie, to na Kastoriadisa. Wreszcie zaczął mówić.

– Znałem dobrze chłopaków, Kosa też. Kręciłem się przy klubie. A on grał jak nakręcony. Przegrał furę pieniędzy. Poprosił, bym mu trochę pożyczył. To pożyczyłem. Dajcie mi coś do picia.

Podsunałem mu do ust plastikowy kubek z wodą. Pił łapczywie, aż się zakrztusił.

– Spokojnie, bo mi tu umrzesz. Kiedy to było?

– Jakiś 2001. Już zaczęły interesować się nim zachodnie kluby, ale nie miał jeszcze żadnych konkretnych propozycji. A on nie mógł mi oddać tej kasy. Więc zaproponowałem mu inne rozwiązanie.

– Wywiózł coś dla ciebie?

Wybałuszył oczy.

– Skąd wiesz? No dobra. Spalił mi się kontakt w Niemczech, a Kos jechał tam na testy medyczne. Dałem mu coś na drogę. To regulowało nasze sprawy.

– Co to było? Amfa?

Nie odpowiedział.

– Troll, nie zaczynamy zabawy od początku. – Wymownie spojrzałem na kompresor. – Więc?

– Amfa – wystękał. – Jedna akcja, nic więcej. Od tamtego czasu nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, przysięgam! Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Grał przecież w naszym klubie, więc mam szacun dla chłopaka.

Otworzył usta, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć.

– Chcesz coś jeszcze powiedzieć? Śmiało.

– Powiedz mi coś. Dlaczego wszyscy nagle interesują się tym Kosem? Przecież chłopak rzucił się pod pociąg.

Znieruchomiałem.

– Jacy wszyscy? O kim mówisz?

– Kiedy to było? – Próbował sobie coś przypomnieć. – Chyba początek marca. Wyhaczył mnie w jakiejś knajpie Grubas i dopytywał się o Kosa.

– Kto to jest Grubas?

– Jak to kto? Grubas to Grubas, nie pamiętam nazwiska. Wszyscy tak na niego mówią. Dziennikarz. Facet, który wie o wszystkim, co się dzieje w piłce. Zna tych wszystkich trenerów i zawodników na wylot. Zaczął pytać o Kosa, ale go pogoniłem. Chwalił się, że ma w rękach prawdziwą bombę i ją zdetonuje. Jakoś tak mówił. Ale po kielichu Grubas zawsze się przechwalał.

Kos i Grubas. Pewne zdarzenia zaczęły układać się w całość.

– Ten dziennikarz jest z Warszawy?

– Pewnie, że nie stąd! – Troll szarpnął łańcuchami. – Czy możecie zdjąć ze mnie to pieprzone gówno?

Kastoriadis uwolnił Trolla, a potem także jemu złożył propozycję nie do odrzucenia. Nie będziemy się bawić w *Ktokolwiek widział*,

ktokolwiek wie. Nic nie widziałeś i nic nie słyszałeś. My tak samo. Rozstaliśmy się prawie jak dobrzy przyjaciele. Brakowało tylko, byśmy wspólnie wybrali się na pizzę. Z tym od MMA też.

Był środek nocy, gdy wróciłem do domu. Nie mogłem zasnąć. Włączyłem Davisa z akustycznym składem z połowy lat sześćdziesiątych. Od tamtego czasu nic lepszego nie wymyślono. Postęp dokonał się za to w moim prywatnym śledztwie. Wiele wskazywało na to, że Kos przyjechał do Warszawy, by spotkać się z dziennikarzem. Jak o tym mówił? Że to sprawa życia i śmierci. Kilka tygodni przed samobójstwem obrońca zaczął zachowywać się inaczej niż zwykle. Tak twierdził ojciec. Na początku marca Grubas wypytywał o niego. Musi być związek między tymi faktami. Ale jaki? Co to mogło znaczyć, że dziennikarz miał prawdziwą bombę? Czy to tylko pijackie napinanie się? Kos nie był niewiniątkiem, ale czułem, że w tej sprawie nie chodziło o szantaż. A przynajmniej nie o taki pospolity. Zdecydowałem, że rano zadzwonię do Josepha. Niech uruchomi swoje kanały. Czułem, że czeka mnie podróż do Warszawy. Może to i dobrze. Zwłaszcza że tym razem nie miał to być pobyt służbowy. Przypomniałem sobie Karloffa i Maciejewskiego, policjantów, z którymi pracowałem przy dwóch sprawach. A także policjantkę chorą na raka.

Prywatne śledztwo Rudolfa Heinza. Kto by pomyślał. Philip Marlowe poklepałby mnie po ramieniu. Też należał do ery analogowej. A ja byłem niedobitkiem po tamtych czasach.

Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się czwarta. Nie mogłem wiedzieć, że osiem godzin później będę przyglądał się zmasakrowanemu ciału mężczyzny, a świat, nie wiadomo który już raz w moim życiu, wywróci się i stanie na głowie.

11

Siedziałem z ojcem w hotelowej restauracji i piłem kawę. Poprosiłem o americanę w jakimś naczyniu o rozsądnej objętości. Nigdy nie rozumiałem, jak można posługiwać się filiżankami i tygielkami mikroskopijnych rozmiarów. Równie dobrze można by posługiwać się kieliszkami do wódki.

Joseph nadgryzł croissanta i przyglądał mi się uważnie. Pewnie dostrzegł to, co sam zobaczyłem rano w lustrze. Sine smugi pod oczami pogłębiły się, a linie zmarszczek stały się czytelniejsze. Udręczenie wypisane na twarzy było nieodłącznym symbolem mojego życia. Pasowało do mnie tak, jak magnum 44 do Brudnego Harry'ego. Jednak nie ma co się nad sobą uzalać. Ostatecznie nie startuję w konkursach piękności.

– Grubas? – Joseph skrzywił się, gdy zapytałem o dziennikarza. – Jest taki. Skąd go wytrzasnąłeś?

Opowiedziałem o spotkaniu z Trollem. O drastycznych okolicznościach, w jakich odbyła się pogawędka, wolałem milczeć. To są powiastki dla ludzi o mocnych nerwach. Nie pominąłem natomiast historyjki o Jacku Kosie i przemyśle amfetaminy. Joseph słuchał jak skamieniały. Okruchy rogalika osiadły mu na brodzie. Nie miałem wątpliwości, że nigdy wcześniej o tej sprawie nie słyszał. Patrzyłem na niego, byłem świadkiem jego klęski, ale nie sprawiło mi to wielkiej satysfakcji. Wspomniałem o dziennikarzu.

I o tym, że jestem prawie pewien, jaki był cel wizyty Kosa w Warszawie.

Joseph chwycił za telefon. Sam o Grubasie wiedział niewiele. Tak, owszem, poznali się. Było to ze dwa lata temu. Grubas naprawdę nazywał się Sławomir Rejtan. Przyjechał do Hanoweru, by napisać artykuł o dawnych gwiazdach futbolu. O tym, jak im się teraz żyje. Stamma i Kruczka odwiedził jeszcze kilka razy. Ich trzeba by zapytać.

– Przyjechał do Kruczka? – Zdziwiłem się. – On chyba nie był żadną gwiazdą piłkarską.

Ojciec machnął ręką.

– On nie był w ogóle żadnym piłkarzem. Był młodym chłopakiem, gdy kontuzja zakończyła jego karierę. Ale on i Stamm są prawie jak papużki nierozłączki. – Uśmiechnął się.

– Chcesz powiedzieć, że oni...

– Nawet tak nie myśl. – Joseph energicznie potrząsnął głową, a drobiny croissanta wylądowały na czarnej koszuli. Wyglądał na oburzonego moją sugestią. – Stamm dwa razy był żonaty, wokół Kruczka zawsze kręciły się jakieś dziewczyny. Co to ma zresztą wspólnego z Grubasem?

– Próbuje rozeznaczyć się w sytuacji. – Wzruszyłem ramionami. – Dowiedz się czegoś więcej o tym dziennikarzu. Gdzie mieszka, co to za typ. Najpewniej będziemy musieli do niego pojechać.

– My? – Zdziwił się. – Razem?

Zapomnij o tym. Ostatnią rzeczą, o jakiej marzyłem, był ojciec jako towarzysz podróży.

– Umówimy się w Warszawie. Mam tu jeszcze trochę spraw do ogarnięcia. – Kłamstwo w takich sytuacjach przychodziło mi bez

trudu. – Chyba chcesz dowiedzieć się, dlaczego Kos strzelił samobójca? I nie zamierzasz siedzieć wiecznie w hotelu w Katowicach? To pewnie sporo kosztuje.

– Stać mnie – warknął. – Wpisuję to w koszty firmy.

Ciekawe, co na to powiedzą twoi wspólnicy. Oni raczej nie mieli tak sentymentalnego stosunku do reprezentacyjnego obrońcy. Fazę ocieplania naszych stosunków przy porannej kawie mieliśmy za sobą. Znowu zaczynała się zimna wojna. Nie zamierzałem się tym przejmować.

Usłyszałem sygnał komórki. Spojrzałem na numer. Dzwonił Kulesza. Ułamek sekundy wystarczył, bym zrozumiał, że stało się coś ważnego. Mieliśmy sobotnie przedpołudnie, a ja nie byłem niebieską linią ani żadnym innym telefonem zaufania. Zanim usłyszałem głos, poczułem, jak tężeją mi mięśnie.

– Przyjeżdżaj do Sosnowca na Głogowską. – Podał mi numer kamienicy. – Natychmiast!

Głogowska. Niedawno tam byłem. Wygłosiłem nawet pouczenie. Ale najwyraźniej to nie wystarczyło. Albo szalony chemik zabarykadował się i znowu chciał wysadzić kamienicę w powietrze.

– Coś z bin Ladenem? – zapytałem.

– Jakim bin Ladenem?

Rozłączył się.

Poderwałem się od stołu. Pewnie ojciec uznał, że zawsze tak się zachowuję. Rzuciłem mu: „Cześć!”, zostawiłem na stole dziesięć złotych i wybiegłem do samochodu. Nie, tu nie chodzi o bin Ladena. Kulesza nie angażowałby się w tę sprawę.

Minęło południe, gdy dojechałem na miejsce. Policyjne samochody na światłach stały w poprzek ulicy. Ich liczba świadczyła

o powadze sytuacji. Podwórko oddzielono taśmą, na którą napierał tłum ciekawskich. Wyglądało to tak, jakby za chwilę na dachu budynku miał się rozpocząć rockowy koncert. Zawsze jest tak samo. Jazgot kilku podekscytowanych kobiet, a na miejscach dla VIP-ów paru miejscowych meneli. Mignąłem blachą i przedostałem się do środka. Na schodach minąłem trzech policjantów w mundurach.

Drzwi do mieszkania bin Ladena były zamknięte. Zauważyłem, że od mojej ostatniej wizyty przybyło na nich kilka krótkich słów. Natomiast drzwi naprzeciwko otwarto na oścież. Ubrany w kombinezon technik zabezpieczał ślady. Wszedłem do środka i natknąłem się na Kuleszę. Bez słowa chwycił mnie za ramię i poprowadził do pokoju.

Widok był nieciekawym. Mężczyzna, który groził sąsiadowi śmiercią, wspierał się na kolanach. Jego głowa za pomocą skórzanego paska była przytwierdzona do klamki. Rzemień głęboko wżynał się w szyję. Obrzmiała twarz, klatkę piersiową i ramiona pokrywała zakrzepła krew. Czerwone plamy znajdowały się także na podłodze.

– Został powieszony na psiej smyczy – powiedział Kulesza.

– Dlatego mnie wezwałeś?

Kulesza spojrzał na mnie zdziwiony.

– Znalazła go żona. Pojechała na noc do chorej matki, a gdy wróciła, zastała taki widok. Jest w szoku. Odwieźliśmy ją do szpitala. Facet nazywa się... nazywał się Andrzej Kuśmierz. Miał mieć dzisiaj dyżur, ale zamienił się z kolegą. Był pielęgniarzem w szpitalu psychiatrycznym... – Popatrzył mi w oczy. – Już wiesz, czemu tu jesteś?

Przytaknąłem. Wiedziałem już, dlaczego twarz mężczyzny podczas wcześniejszego spotkania na klatce wydawała mi się znajoma. Był świadkiem mojej rozmowy z Inkwizytorem, gdy pojechałem do psychiatryka, by zrobić sobie rendez-vous z mordercą.

– Kiedy to się stało?

– Ustalamy to. Przejmujemy sprawę. Ktoś rozsądny w Sosnowcu skojarzył fakty i zadzwonił do nas. Kilku ludzi obserwuje też, co się dzieje na zewnątrz.

A więc ten cały cyrk na dole był zainscenizowany. Na wszelki wypadek, gdyby morderca chciał przyjrzeć się efektom swojej pracy. Wbrew pozorom takie powroty zdarzają się nie tylko w książkach i filmach. Zabójcy często czują nieodpartą pokusę, by przeżyć wszystko jeszcze raz, jak na telewizyjnej powtórce.

Rozejrzałem się po pokoju. Wszystkie meble całe, poustawiane jak należy. Inna sprawa, że nie było ich zbyt dużo. Przestrzeń zdominowana była przez małżeńskie łóżko oraz plazmę z rozstawionymi po bokach głośnikami. Nie zauważyłem śladów walki. Morderca musiał zaskoczyć swoją ofiarę. Byłem pewien, że rozpytywanie po sąsiadach nic nie da. Każdy pilnuje swoich spraw.

– Skoro go powiesił, dlaczego tu w koło jest tyle krwi?

Kulesza przełknął ślinę.

– On... wyrwał mu język.

Przymknąłem oczy. Zaczęło się. Jeśli to Inkwizytor, zmienił metody działania. Tym razem nie posłużył się ogniem ani prądem.

– Jesteś pewien, że to Urbaniak?

Nie odpowiedział, tylko poprowadził mnie do stołu. Na blacie leżało coś, co wyglądało jak mały kotlet, a może jakieś zwierzę.

Zakrwawiony język przytwierdzony był nożem.

– Jak myślisz, dlaczego język?

Wzruszyłem ramionami. Może dlatego, że kocha Rolling Stonesów. Nie powiedziałem jednak tego głośno.

– Skąd wiesz, że to on?

Kulesza podał mi foliową koszulkę. W środku znajdowała się kartka. Smuga krwi nie przesłaniała napisu wykonanego czarnym cienkopisem. „Z pozdrowieniami dla RH minus”. Kulturalny człowiek z tego Urbaniaka. I jaki dowcipny. Rudolf Heinz minus. Ujemny Heinz? Zredukowany Heinz? Martwy. Równie dobrze mogło być RH plus. Heinz z krzyżykiem na drogę. Tak czy inaczej wszystko wskazywało na to, że byłem następną niewiadomą w tym równaniu, które powstało w głowie obłąkanego mordercy.

– Ta karteczka też leżała na stole.

Usiadłem na krześle. Żałośnie skrzypnęło pod moim ciężarem. Powróciły wspomnienia sprzed dziewięciu lat. Siedziałem przywiązany do podobnego krzesła, a Inkwizytor układał stos. A teraz znowu był na wolności. Na liście najbardziej poszukiwanych przestępców Urbaniak będzie piął się do góry. I wysokość nagrody za informacje o nim na pewno także wzrośnie.

Z korytarza dobiegł krzyk i odgłosy szamotania.

– To zrobił ten wariat z brodą – wrzeszczała kobieta. – Jak mogliście go wypuścić na wolność? – Wtórował jej męski głos. Jeden z policjantów próbował uspokoić rozhisteryzowaną parkę.

– O trzeciej – Kulesza spojrzał na zegarek – mamy być u szefa.

– Co z psem? – zapytałem.

– Pies? Zdechł dwa miesiące temu. Tylko ta smycz po nim została. Podążyłem za jego spojrzeniem.

12

Atmosfera w gabinecie naczelnika wydziału kryminalnego gęstniała z każdą minutą. Milczałem, popijałem lure, która od lat uchodziła tu za kawę, i dyskretnie przyglądałem się mojemu sąsiadowi. Komisarz Józef Grzywa był dla mnie człowiekiem zagadką. Spędził lata w szkole policyjnej w Szczytnie i tam go poznałem przy okazji wykładów, na które byłem zapraszany. Wystające przednie zęby Grzywa próbował maskować rudymi wąsami i brodą. Bez większego sukcesu. Po latach spędzonych na Mazurach powrócił w tym roku na Śląsk. Nigdy nie pracowaliśmy razem, niewiele o nim wiedziałem. Podobno był przyjacielem Gawlika. Może obaj należeli do jakiegoś tajnego związku pracoholików. Obok komisarza siedział Kulesza. Może coś bym do niego powiedział, ale był zajęty wklepywaniem najdłuższego esemesa w historii, jakby świat wokół niego nie istniał.

Starałem się nie myśleć o pielęgniarzu z wyrwanym językiem ani o kartce pozostawionej przez Inkwizytora. Podobno są okoliczności, w których tylko głupiec się nie boi. Ale ja nie odczuwałem strachu. Może to zabrzmie dziwnie, lecz czułem coś w rodzaju ulgi. Najgorszy jest stan hibernacji, bezruchu, czekania na akcję zaczepną ze strony przeciwnika. Ten etap się skończył. Dotychczas Urbaniak działał precyzyjnie, ale teraz wreszcie pojawiła się szansa, że popełni błąd.

Wyszedł z ukrycia. A skoro zrobił to i zabił, zapewne zdecyduje się na kolejny krok. I może będzie wtedy mniej ostrożny.

Do pokoju wszedł naczelnik i zamknął drzwi. Usłyszałem w głowie jakiś dzwonek ostrzegawczy. Zwykle w takich sytuacjach sprasza się więcej ludzi. Albo wręcz stawia wszystkich na nogi. A tu spotkanie w kameralnym gronie. Zupełnie tak, jakby któryś miał wyjąć talię kart i zaproponować partyjkę brydża.

– Przyznaję, mogliśmy to rozegrać lepiej. – Gawlik nie bawił się w zawiłe wstępy. – Zlekceważyliśmy go. Czekaliśmy, aż sam wpadnie nam w ręce. Byliśmy bierni. Ale – spojrzał na mnie – to się zmieni. Kulesza, zreferuj, co wiemy.

Aspirant opowiedział o tym, co zastaliśmy w Sosnowcu. Grzywa wpisywał najważniejsze informacje do laptopa z szybkością, jakiej nie powstydziliby się zawodowy informatyk programista. Sygnały ostrzegawcze w mojej głowie nasiliły się. Po diabła mu te notatki?

– Dlaczego wybrał właśnie pielęgniarza? – Naczelnik znów spojrzał na mnie.

– Syndrom siostry Ratched – odpowiedziałem.

Trzy pary oczu spojrzały na mnie ze zdziwieniem. Najwyraźniej żaden nie pamiętał Wielkiej Oddziałowej.

– Ten cały Kuśmierz był pielęgniarzem. Raczej, tak sędzę po naskórkowym kontakcie, jaki z nim miałem, nie był zbyt wyrafinowanym facetem. W przeciwieństwie do Urbaniaka. Raczej nie pałali do siebie miłością. Pielęgniarz załazł Inkwizytorowi za skórę. Musimy znaleźć innych, którzy znajdują się na czarnej liście.

Znowu spojrzeli na mnie. Nic nie powiedzieli.

– To tłumaczy, dlaczego urwał mu język – wtrącił Grzywa. – Pielęgniarz go wyzywał, poniżał... No to dostał za swoje.

Wspominałeś – obrzucił mnie spojrzeniem – o czarnej liście. Masz jakieś typy?

Nie wyczułem w tym pytaniu drwiny. Mało kto żartuje z gróźb psychopaty. Ale wreszcie stało się dla mnie jasne, dlaczego spotkaliśmy się w tak wąskim gronie. To nie było zebranie zespołu prowadzącego sprawę. Chodziło im o to, by wykluczyć mnie z gry. By pokazać mi czerwoną kartkę.

– Rozumiem – cedziłem przez zęby – że obstawiacie moją skromną osobę. Bukmacherzy przyjmują już zakłady. – Spojrzałem na Gawlika z wściekłością.

– Posłuchaj. – Naczelnik splótł palce. – Ten skurwysyn zostawił czytelną informację. Ostrzeżenie nie dotyczy mnie. Ani komisarza. Ani Kuleszy. Jest skierowane do ciebie.

– Tym bardziej dajcie mi szansę, bym rozwiązał sprawę! – Nie zapanowałem nad sobą.

– To nie jest Dziki Zachód. – Naczelnik pokręcił głową. – A ty nie jesteś samotnym szeryfem. Jesteś za bardzo zaangażowany, a wiesz, czym to grozi? A może – zawiesił głos – sprowokowałeś go, by uciekł i znów zaczął zabijać?

Nie wierzyłem własnym uszom.

To był brutalny faul.

– Po co wtedy pojechałeś do niego do szpitala? – Gawlik zniżył głos. – Rzuciłeś się na niego. To były prywatne porachunki? Może on postanowił je teraz wyrównać?

– To działo się dawno temu – broniłem się – i nie ma żadnego związku z jego ucieczką. Trzeba pogadać z jego starymi znajomymi, z tym grabarzem, który widział go na cmentarzu, przycisnąć siostrę. – Grzywa cały czas głośno uderzał w klawiaturę. – Trzeba nastroić

dziennikarzy i odpowiednio przedstawić zabójstwo w Sosnowcu. Urbaniak jest narcyzem. Na pewno będzie śledził informacje o dochodzeniu. Skąd on wie, co się dzieje? – Prawie dostałem zadyszki. – Należy sprawdzić kafejki internetowe...

– I przepytaj wszystkich kioskarzy. – Grzywa wyeksponował przednie zęby. – Nie martw się, zrobimy to. Panujemy nad tym.

– Może ty, kurwa, coś wreszcie powiesz? – Spojrzałem na Kuleszę wściekłym wzrokiem.

Aspirant bezradnie rozłożył ręce. Być może dostało mu się za to, że sprowadził mnie do Sosnowca. A teraz wołał nie pogarszać swojej sytuacji.

– Powiem krótko, Hipis. – Naczelnik dosunął krzesło do stołu. – Trzymasz się z daleka od tej sprawy. Jeśli trafisz na jakiś ślad, informuj nas o tym. Grzywa przejmuje dochodzenie, a Kulesza będzie mu pomagał. Aha, i jeszcze jedno. Będziesz miał Anioła Stróża. Na pewno nie dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale jednak. Więc się nie zdziw.

– Jadę do Warszawy, mam tam coś do załatwienia. I co? Anioł Stróż dostanie na benzynę? I dietę też?

Kulesza westchnął. Zdawało mi się, że odetchnął z ulgą. Zniknę z pola widzenia zarówno Gawlika, jak i Inkwizytora.

– Wytupujcie alternatywną ofiarę. – Nie kryłem szyderstwa w głosie. – Nie sądzę, by Urbaniak ścigał mnie w Warszawie.

– O każdym miejscu pobytu masz nas informować – naczelnik nie dawał za wygraną. – Kulesza, dopilnuj tego. I nie podtop się w stolicy.

Fala powodziowa zbliżała się do Warszawy. Ale ja nie zamierzałem stać na wałach z worków piasku. Liczyłem na krótki

wypad, spotkanie z dziennikarzem i rozmowę, która może rozjaśni sprawę samobójczej śmierci Kosa. Nie podtopię się. Ani nad Wisłą, ani w żadnej knajpie, uzalając się nad własnym losem. Przez twarz Grzywy przebiegł nikły uśmiech, który był oznaką satysfakcji. Kulesza siedział jak skamieniały. Naczelnik ziewnął, zamykając w ten sposób spotkanie.

Moja rola w teatryku dobiegła końca. Chciałem na odchodnym popisać się jakąś ripostą, wymierzyć rozstrzygający cios, ale nic nie przyszło mi do głowy. Kompletna pustka. Czułem się tak, jakby wydrążono mnie w środku. Bezradny walnąłem pięścią w stół. Kubki po kawie podskoczyły, ale żaden się nie przewrócił.

– Ćwiczy karate, a głupiego stołu rozwalić nie umie. – Usłyszałem głos szefa, gdy zamykałem drzwi. – Myślałem, że drzazgi chociaż polecą, a tu nic.

13

Zadzwoiłem do ojca. Potrzebowałem informacji o Grubasie. Dowiedziałem się, że uruchomił już łańcuszek informatorów. Stamm, ten drugi współnik, ktoś tam jeszcze po drodze. Nalegał, abyśmy pojechali do Warszawy razem, ale ponownie zdecydowanie odmówiłem. Chciałem mieć spokój, aby zebrać myśli. Wysłuchiwanie sentymentalnych wspomnień, a może, co gorsza, piłkarskich opowieści, doprowadziłoby mnie do furii. Z kim grał i przeciwko komu. W jakich nieprawdopodobnych okolicznościach strzelił bramkę. I że stało się to w ostatniej minucie meczu. Pewnie musiałbym wyrzucić Josepha z pędzącego samochodu.

Niedziela minęła bez większych wrażeń. W ogóle majowe weekendy nie dostarczały mi nadmiaru emocji. Mieszkańcy Katowic wyjeżdżali nad morze lub w jego okolice. Na przykład do Bornego Sulinowa, najmłodszego miasta w Polsce i dawnej jednostki wojsk radzieckich. W majowy weekend Katowice robiły się przejezdne i przewiewne. Pasowało mi to. Gdy wcześniej czekałem w komendzie na raporty, które nie chciały spływać, przeglądałem wiadomości w internecie. Na lokalnym katowickim portalu zachęcano do zapalania zniczy na cmentarzu żołnierzy radzieckich w parku Kościuszki. Niewiele obchodził mnie ten nagły przypływ uczuć do Armii Czerwonej. Miałem swój własnoręcznie zбитy krzyż przy drodze i tam stawiałem znicze. Czy człowiek pełniący

obowiązki głowy państwa powinien jechać na defiladę do Rosji? Chce, niech jedzie.

Po południu znowu rozmawiałem z ojcem. Grubas został namierzony. Mieszkał na Powiślu. Zapisałem numer jego komórki, ale na razie nie zamierzałem dzwonić. Zła wiadomość była taka, że dziennikarz wziął kilka dni urlopu. W redakcji powiedział, że ma coś ważnego do dokończenia. Mógł wyjechać, ale skoro miał robotę, istniała szansa, że nie pocałuję klamki.

– Skąd ty to wszystko wiesz? – zapytałem Josepha. – Szybko działał.

Szybciej niż śląscy policjanci w sprawie Inkwizytora, pomyślałem z goryczą.

Roześmiał się.

– Zawsze byłem szybki. Zostało mi z boiska.

Tylko nie to. Zaraz znowu się zaczniesz. Może wyczuł, jakie myśli krążą mi po głowie, bo tym razem jednak się pohamował.

– Magia mojego nazwiska wciąż działa w pewnych kręgach. – Ojciec był w podejrzenie dobrym nastroju.

– Raczej wąskich kręgach – powiedziałem rozdrażniony.

Wymieniliśmy jeszcze kilka zdań, które obowiązkowo powinny znaleźć się w każdym podręczniku prowadzenia konwersacji oraz dobrych manier. Każda rozmowa z ojcem kończyła się moim rozdrażnieniem. Widocznie tak miało być. Nie potrafiłem zapanować nad sobą. Wiedziałem, że jego powrót po tylu latach musi na mnie wpłynąć. Ale ja nic nie chciałem zmieniać. Przynajmniej nie za bardzo. Przez lata czułem do niego skamieniały żal i nienawiść, a teraz zaczęły pojawiać się inne emocje. Musiałem

przyznać, że działał cholernie skutecznie. I konsekwentnie drażył sprawę Kosa.

Następnego dnia czekała mnie podróż. Wyjąłem ze sportowej torby kimono i wrzuciłem kilka ubrań na wypadek, gdybym w Warszawie musiał zatrzymać się na noc. Nie planowałem tego, ale nigdy nic nie wiadomo. O piątej po południu pojechałem do Sosnowca. W lewej ręce trzymałem pokrowiec z gitarą. Prawą wolałem mieć wolną, gdybym z jakiegoś powodu musiał sięgnąć po glocka. Czułem się jak Antonio Banderas. Śląski Desperado.

Na próbie trzech facetów w średnim wieku z zachwytem oglądało pistolet. Ostatni raz równie podekscytowani byli pewnie w piaskownicy. Zupełnie jakbym przywłókł ze sobą jakiś bajeczny efekt do gitary lub wzmacniacz. Lub gatunek piwa produkowany w krótkiej serii. Śmiechu było co niemiara. To co gramy? *Machine Gun*? A może *Guns of Brixton* Clashów? Bawili się świetnie. Ja gorzej. Tego wieczoru chciałem wcześniej położyć się spać. Ale wyszło jak zwykle.

W poniedziałek o siódmej rano niewyspany wyruszyłem w drogę. Około dziesiątej, gdy wlokłem się za kolumną tirów rozkopaną gierkówką, zadzwonił Kulesza. Tak jak oczekiwałem, szef wszystkich szefów dołożył kolejne dziesięć tysięcy za informację o Inkwizytorze. Śledztwo ruszyło pełną parą. Wiadomość o zabójstwie w Sosnowcu trafiła do prasy. Drastyczne szczegóły udało się utrzymać w tajemnicy. Zobaczymy, na jak długo. Przesłuchano mieszkańców kamienicy i sąsiedniego blokowiska. Na razie bez efektów. Wyprzedziłem kolejną ciężarówkę i słuchałem.

– Dwie informacje powinny cię jednak zainteresować – powiedział Kulesza. – Przesłuchaliśmy jeszcze raz tego grabarza. Trochę to

trwało, bo był mocno przedwczorajszy. Zaklinał się, że Urbaniak pojawił się po raz drugi.

Zacisnąłem zęby. Wiedziałem, że tak będzie. Życie nauczyło mnie, by nie lekceważyć takich sygnałów. Po raz kolejny pokpiono sprawę.

– On trzeci raz się tam nie pojawi. Nie liczcie na to. Trzeba było obserwować teren wcześniej. Mówiłem to od początku.

– Na razie przesłuchujemy wszystkich, którzy go pamiętają. Nie ma ich zresztą zbyt wielu. Tych z cmentarza zabrała błękitna kostucha.

– Kto?

– Denaturat. Król i ojciec wszystkich żuli. Wracamy do czasów, gdy był jeszcze księdzem, ale nikt z czarnych nie chce z nami rozmawiać. Jakby się zmówili. Sprawdziliśmy też szpital. Wszystko wskazuje na to, że Urbaniak działał sam. Bałagan mieli tam niezły, już jakieś głowy poleciały, a to, zdaje się, dopiero początek.

No tak. Spis zaniedbań mógłby pewnie konkurować z listą Macierewicza. Nie miało to większego znaczenia. Inkwizytor znalazł przytulniejszy kąt i nie w głowie był mu powrót do wariatkowa.

– Przy okazji jednak czegoś się dowiedzieliśmy. Ten zamordowany pielęgniarz złożył wymówienie. Miał pracować jeszcze tylko dwa tygodnie. A potem...

– A potem miał wyjechać. Na przykład do brata siedzącego w Anglii. – Przerwałem mu.

– Skąd wiesz? – Zdziwił się. – Prawie trafiłeś. Miał tam jechać. Tylko z bratem się pomyliłeś.

Okoliczności zmusiły mordercę do działania. Obawiał się, że ofiara wymknie mu się z rąk. Być może wyszedł z ukrycia wcześniej,

niż planował.

– Skąd o tym wiedział? – Kulesza głośno myślał.

Wyprzedzałem na trzeciego i nie zamierzałem ułatwiać mu zadania. Kierowca jadący przeciwległym pasem mrugnął ostrzegawczo światłami.

– Nie doceniacie go – mruknąłem. – Nie doceniacie. Powtórz to temu mędrcomu Grzywie.

Pod Warszawą tradycyjnie utknąłem w korku. Poniedziałkowy wjazd do stolicy jest rozrywką dla ludzi o stalowych nerwach. Miałem mnóstwo czasu, by znów napatrzeć się na pseudopałacyki z kolumnami i restauracje stylizowane na chłopskie chałupy, rozłożyste niczym rozjechana ropucha. Oraz sześcienne pudełka w kolorze seledynu i brudu. Więcej finezji mają w sobie klocki w tetrisie. Ciekawe, ilu kierowców zostało doprowadzonych przez styl raszyński na skraj depresji? Ilu miewało myśli samobójcze w okolicach Janek?

Tych negatywnych emocji nie podzielał z pewnością Joseph. Zadzwonił, gdy wreszcie udało mi się rozpędzić do czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Gdzie jesteś? Czekam na ciebie na Powiślu.

A więc Joseph nie odpuścił. Pewnie wybrał pociąg, i dobrze zrobił. Westchnąłem ciężko. Wiedziałem zresztą, że nie odpuści. Może jego obecność się jeszcze przyda. Rozmawiał już z Grubasem. Zna człowieka. No i ma nazwisko, biografię i urok osobisty, które wciąż działają jak magiczne zaklęcie.

– O której będziesz? – Niecierpliwił się. – Zanim pójdziemy do Grubasa, spotkamy się z kimś jeszcze. Umówiłem się w kawiarni na Oboźnej. To taka uliczka koło uniwersytetu. Trafisz?

Trafię.

Wielokrotnie w czasach studiów schodziłem tamtędy i parkiem u stóp uniwersytetu na Powiśle. Jakiś automatyczny pilot kierował mnie w stronę nadwiślańskich budek z piwem, w których zatrzymał się czas. Nie zliczylbym, ile godzin przesiedziałem w „Rybitwie”.

Zostawiłem samochód przy Browarnej i wspiąłem się kilkadziesiąt metrów w kierunku Krakowskiego Przedmieścia. W oddali usłyszałem znajomą melodyjkę wygrywaną przez zegar na budynku starej biblioteki uniwersyteckiej. Cztery dźwięki, pauza i znów cztery dźwięki. Joseph siedział przy stoliku w rogu kafejki. Na krześle obok tkwił trzydziestolatek w koszulce polo i jasnej marynarce. Przed nimi stały dwie latte, a pośrodku leżał dyktafon. Rozejrzałem się po wnętrzu. W menu kawa w pięciuset smakach, ciasteczka owsiane i inne podobne podniety dla podniebienia. Ekologia i wyrafinowanie. Regały zastawione książkami, a na ścianach wyszukane fotografie. Kultura pełną gębą. Prawie nie było wolnych stolików, a liczba laptopów przypadająca na metr kwadratowy była doprawdy imponująca. Zupełnie jakby bywalcy umówili się, że pobiją w ten sposób rekord Guinnessa.

Kupiłem americanę. Manewrując między stolikami, połowę rozlałem na spodek.

– Pana ojciec – mężczyzna rozpiął marynarkę – jest niezwykłym rozmówcą. Wspominaliśmy stare czasy. – Wskazał ręką dyktafon.

Joseph. Niezwykły rozmówca. Jeszcze trochę i okaże się, że jest też niesamowitym ojcem.

– Opowiedz mu co nieco o Grubasie – zachęcił ojciec. – Był taki moment, że pracowali razem – wyjaśnił. – Próbowałem do niego dzwonić, ale ma wyłączony telefon.

– Pewnie nachlał się, chrapie, że aż szyby drżą i nie wie, jak się nazywa. – Nasz rozmówca wzruszył ramionami. – Grubas to dusza towarzystwa. Tu się zakręci, tam wpadnie na bankiecik, poklepie prezesa związku po plecach, opowie anegdotę, wysłucha plotek. Sporo takich mętów kręci się wokół piłki. A teraz, gdy mamy organizować Euro – machnął ręką – szkoda gadać. Namnożyło się gnid.

Przyjrzałem mu się uważnie. Dziennikarz nie krył frustracji. Na policzkach pozbawionych zarostu ukazały się czerwone plamki. Nie wiedziałem, kim jest ten facet. Ostatnim sprawiedliwym czy jednym z tych, którzy mimo usilnych starań nie załapali się do vipowskiej łoży.

– Ten cały Grubas rozповідаł, że szykuje prawdziwą bombę – powiedziałem. – Co mógł mieć na myśli?

Chłopak roześmiał się.

– Z takich mitomanów jak on można by stworzyć kilka drużyn. Każdy z nich ma jakąś bombę w zanadrzu. Szykuje wielki artykuł, który rozsadzi kosmos lub przynajmniej zmieni świat. Chociaż w wypadku Grubasa...

Zamyślił się, a ja nie chciałem go poganiać.

– Jedno mnie zawsze zastanawiało... – Patrzył to na mnie, to na Josepha. – To był taki dość przeciętny facet, nie przemęczał się, a ostatnio nagle mu się poprawiło...

– Chce pan powiedzieć, że niespodziewanie stał się bogaty? – zapytałem.

– Zaczął prowadzić dość wystawne życie. Tak mówiono. Zdaje się, że kupił jakiś dom... Chodziły słuchy, że sporo wie o szemranych interesach robionych wokół sportu...

– Czyli umiał się zakręcić, a potem spieniężał zdobytą wiedzę – powiedziałem bardziej do samego siebie. – Wiadomo, kogo mógł szantażować? Może była jakaś giełda?

– Tego nie wiem. – Chłopak schował dyktafon do marynarki. – Nie wiem, czy był szantażystą. Mówię wam raczej to, co inni opowiadali o Grubasie. To zawistne środowisko. A ile w tym prawdy? Chociaż z drugiej strony, na czymś musiał się dorobić.

Spojrzał na zegarek i wstał.

– W każdym razie jeśli się z nim zobaczycie, nie pozdrawiajcie go ode mnie.

Uniosłem głowę.

– Widzę, że nie należy pan do jego fan klubu.

Uśmiechnął się.

– Gdy go poznałem, byłem dziennikarskim szczawiem. A u dziennikarzy sportowych jest podobnie jak w klubie. Młody skoczy po piwo, będzie nosił torby za starszyzną, rozumie pan?

– Wszędzie jest tak samo. Życie polega na wyzbywaniu się złudzeń – przemówiłem głosem mędrca.

– No to Grubas mnie ich pozbawił. Podkradł mi kilka fajnych tematów. A potem zresztą je po swojemu w mistrzowski sposób spartaczył. Szkoda gadać.

Pewnie tak.

– Przyjemniaczek z tego Grubasa, nie ma co – powiedziałem, gdy zostaliśmy we dwóch. – Masz jego adres?

Joseph wyjął z kieszeni karteczkę. Sięgnął po telefon. Dziennikarz znowu nie odebrał. Zrobimy mu pobudkę. Wyleczymy z kaca. Albo przeszkodzimy w konstruowaniu bomby.

Ruszyliśmy w dół. Minęliśmy ulicę Leszczyńską. Popatrzyłem na potężną dziurę wykopaną w ziemi. Krater w środku miasta zupełnie jak w Katowicach. Za kilka miesięcy postawią tu pewnie kolejny budynek z apartamentami w kosmicznej cenie za metr. Może z okien będzie nawet widać Stadion Narodowy na drugim brzegu Wisły. Sto lat temu gdzieś tu znajdowały się zakłady przemysłu wódczanego. Ktoś, nawet nie wiem kto i w jakich okolicznościach, mi to opowiedział. Pewnie w jednym z nadwiślańskich barów. W każdym razie Grubas ze swoimi upodobaniami do mocnych trunków wiedział, gdzie osiąść. Duch miejsca to ważna rzecz. Minęliśmy zamknięte osiedle. Dzieci bawiły się na patio. Z balkonów rozanieleni rodzice przyglądali się pociechom. Jeden z ojców trzymał w dłoni miskę z zupą, a może z chińszczyzną. Idealny świat odgradzony od problemów.

Pomyślałem nagle o MMA i walce w klatkach. Sam nie wiem dlaczego. Byłem w swoim świecie, a ojciec orbitował zupełnie gdzie indziej. Rozmawiał przez telefon. Poruszaliśmy się jak dwie monady po równoległych torach.

– Mówiłeś coś? – Wyrwał mnie z zamyślenia.

– To tu. – Wskazał budynek. – Nie ma co, rozmowny jesteś. Dobrze, że Stamm zadzwonił i opowiedział o nocy zarwanej przy pokerze.

– Nie mam tak emocjonujących przeżyć jak twój przyjaciel. Rozumiem, że wygrał?

– On prawie zawsze wygrywa.

Zatrzymaliśmy się przed kamienicą. Drzwi oklejone były kartkami. Zakaz karmienia gołębi pod karą administracyjną. Zakaz dokarmiania bezpańskich psów i kotów. Przyjemnie tu. Powinni

jeszcze napisać, że wstęp wzbroniony obcym, akwizytorom i roznosicielom ulotek, ale takiej informacji akurat nie dostrzegłem. Wyrwany domofon wisiał smętnie na dwóch cienkich kablach. To była pewnie zemsta gołębi, psów oraz kotów. Weszliśmy do środka. Grubas mieszkał na drugim piętrze. Zadzwoiłem do drzwi. Dźwięk był taki, że obudziłby zmarłego. W mieszkaniu naprzeciwko zaczął ujadać pies. Ojciec kolejny raz sięgnął po komórkę. Dziennikarz nie otworzył. Telefon milczał.

Usłyszeliśmy jakiś szmer na klatce, następnie szcęk zamka i drzwi naprzeciwko uchyliły się. Starsza kobieta, siwiuteńka, mrużyła oczy i przyglądała nam się ciekawie. Chude palce położyła na łańcuchu blokującym dostęp do mieszkania, jakby bała się, że za chwilę sięgniemy po cęgi i sforsujemy tę zaporę.

– Panowie w sprawie domofonu? – zapytała drżącym głosem, który nikał wśród skowytów psa. – Fred! Zamknij się! – Bezskutecznie próbowała uciszyć zwierzę.

Bez zastanowienia wyjąłem służbową legitymację. Ten gest daje wiele możliwości. Zwłaszcza w kontaktach z takimi staruszkami jak ta. Nieważne, że dokumenty wskazywały na mój katowicki przydział. Policjant to policjant, na ogół ludziom wszystko jedno, skąd jest. Na szczegóły takie jak ten mało kto zwracał uwagę.

– Nie przyszliśmy w sprawie domofonu. Jestem z policji.

Zamrugła oczami.

– Przecież widzę. Ale ja nikogo nie wzywałam. Odkąd wyprowadzili się ci nade mną, w kamienicy jest spokój. A wręcz – uśmiechnęła się – jest za spokojnie. Mało rozrywek nawet dla kogoś w takim wieku jak ja. Fred! – Znowu skarciła psa.

– Próbuję skontaktować się z panem Rejtanem. To chyba zresztą dosyć rozrywkowy człowiek.

Łańcuch zazgrzytał, staruszka wyszła na korytarz i zamknęła za sobą drzwi. Była jeszcze drobniejsza, niż się zdawało.

– Nie wpuszczę panów do środka ze względu na psa. To zresztą jego pies. – Wskazała drzwi naprzeciwko. Zawsze zostawia mi go, gdy wyjeżdża. Mówi pan, że Grubas to rozrywkowy człowiek? – Roześmiała się. Grubas. Widocznie wszyscy tak nazywali dziennikarza. – Kiedyś to i był zabawowy, ale teraz? Na przykład była taka sytuacja...

– Chce pani powiedzieć, że Rejtan gdzieś pojechał? – przerwał jej ojciec.

– A pan kim jest? – Spojrzała na Josepha.

– To piłkarz – wyjaśniłem. – Znajomy Grubasa.

– Trochę stary jak na piłkarza. – Przyglądała nam się nieufnie. – No, wyjechał – nagle zmieniła temat. – Przedwczoraj. Jak zwykle zostawił mi Freda i klucze do mieszkania. Raz, gdy go nie było, pękła u niego rura i zalało sąsiadów z dołu. Kłopotów było co niemiara.

Pies zapewne usłyszał swoje imię i zaczął drapać w drzwi.

– Pan na pewno jest z policji? – staruszka zwróciła się do mnie. – Pytam, bo ten jego wyjazd był trochę dziwny. Zdarzało się, że wyjeżdżał niespodziewanie. Ale tym razem był jakiś podenerwowany. Może to ze względu na tę straszną powódź...

– Powódź?

– Grubas ma dom w Sandomierzu, a akurat szła tam fala. Tak w telewizji mówili. Chciał mnie tam nawet kiedyś zabrać. Trochę się o niego martwię, wiedzą panowie, co się tam dzieje.

Wiedziałem. Sandomierz tonął. Mieszkańcy bronili swoich domów oraz huty szkła. Informacje przypominały doniesienia z pola bitwy. Czasem na wałach pojawiał się znany polityk, rosła wtedy liczba kamer telewizyjnych.

– Jest pani pewna, że tam pojechał?

– Tak mówił. Ale był jakiś zmartwiony... Sama nie wiem... Zupełnie jakby nie chodziło o ten dom. Poza tym, gdy wyjeżdża, dzwoni do mnie. Zawsze pyta o Freda. Ma obsesję na punkcie tego psa.

Dobiegł kolejny skowyt. Pies mógłby konkurować z najlepszymi wokalistami heavy metalu.

– A tym razem nie zadzwonił? – Popatrzyłem na Josepha.

– Nie. Sama też próbowałam dzwonić, bo ciekawa jestem, co się dzieje w Sandomierzu, ale nie odbiera.

Zapisałem numer telefonu staruszki i zostawiłem swój. Gdyby Grubas się pojawił, proszę dać znać. Sandomierskiego adresu sąsiadka nie знаła. Ale podobno jest tam popularny, wystarczy zapytać, ludzie wskażą, gdzie mieszka. Czy coś złego się stało? Nie, na pewno nie, proszę pani. Proszę się nie przejmować. Zawsze tak mówiłem w podobnych okolicznościach.

– Przejmuję się tym, co to będzie, gdy nas zaleje – powiedziała. – Idę tam zaraz – kiwnęła głową w kierunku rzeki – popatrzę sobie.

W mojej głowie także odezwał się sygnał alarmowy. Coś w tej sprawie z Grubasem jest nie w porządku. Facet wyjeżdża nagle, zaniepokojony. A może to nie był niepokój, tylko strach? Może chciał przed kimś uciec? Czego mógł się bać? I kogo? Może raz udało mu się zebrać naprawdę interesujący materiał i nie były to czcze przechwałki. I naprawdę przygotowywał dzieło życia. A potem

znika. Nie odbiera telefonu. Nie dzwoni, nie pisze. Czy to wszystko ma jakiś związek ze śmiercią piłkarza? Coś drapało mnie pod skórą i podpowiadało mi, że te sprawy się ze sobą łączą.

W drodze do samochodu próbowałem zniechęcić ojca do wspólnego wyjazdu. Bez większego skutku. Dobra, niech jedzie. W końcu zna Grubasa. Ale jeśli uważa, że ta podróż zbliży nas do siebie, to jest w błędzie.

Jechaliśmy w milczeniu. Uznałem, że dobrą alternatywą dla pomruków silnika będzie składanka Black Sabbath. O dziwo, Joseph dzielnie zniósł starcie z głosem Ozzy'ego, czasami przepełnionym bólem, niekiedy pełnym furii. Ciężkie dźwięki gitary nie przeszkodziły mu w przeprowadzeniu godzinnej rozmowy w języku niemieckim. Zrozumiałem jedynie pojedyncze słowa, najpewniej rozmawiał z kimś z klubu. Poza piłką chyba żaden inny temat w jego życiu nie istniał. W pewnym momencie wyciągnął się na fotelu i wydawało mi się, że przysnął. Ściszyłem muzykę.

– Dlaczego nie przyjechałeś na pogrzeb matki? – zapytałem cicho. Liczyłem na to, że nie usłyszy pytania.

A jednak nie spał. Otworzył oczy, odwrócił głowę w stronę bocznej szyby i przypatrywał się mijanym drzewom.

– Za późno się dowiedziałem. Trzy tygodnie po jej śmierci. – Wyglądał, jakby mówił do samego siebie. – Żałuję, że wtedy nie przyjechałem. Może inaczej by się między nami ułożyło, chociaż i tak domyślam się, że nie przywitałbyś mnie z otwartymi ramionami. Może bylibyśmy w innym miejscu. Dobrze, że przynajmniej ostatnią drogę twoja matka miała spokojną.

Zamknął oczy. Najwyraźniej nie chciał o tym mówić. Spojrzałem na jego poszarzałą ze zmęczenia twarz i siwy zarost. Byliśmy

w połowie trasy, gdy odezwał się jeszcze raz.

– Opowiedz mi coś o swojej żonie. Nic o niej nie wiem.

Zacisnąłem mocniej ręce na kierownicy. Nie byłem przygotowany na to pytanie. Zresztą nawet gdybym był, niewiele by to zmieniło. Pewne sprawy muszą wybrzmieć w ciszy. Chciałem pozostawić je tylko dla siebie.

Od lat z nikim o niej nie rozmawiałem. Nie trzymam pieczołowicie odkurzanych zdjęć w ramkach. Wolę wspomnienia. Gdy była zniecierpliwiona lub nie zgadzała się z czymś, dmuchnięciem odgarniała kosmyk włosów na bok. Pamiętam, jak się uśmiechała. Jej gesty i mimika trwają gdzieś we mnie. Odległe echa słów i dotyku. Kiedyś one znikną, wyblakną, tak jak bledną fotografie w rodzinnych albumach. I wtedy ona odejdzie na zawsze. Nie potrzebuję filmów ze wspólnych wakacji, nie oglądałbym ich wieczorami, zanurzony w fotelu z kieliszkiem wina w ręce. Kilka pamiątkowych zdjęć zostawiłem młodemu. Nigdy mi o tym nie mówił, ale chyba ma żal, że tak niewiele po matce zostało. Zresztą miał do mnie żal o wszystko. Nawet nie wiem, gdzie te fotografie przechowuje. Mnie wystarcza siła pamięci, prywatny rytuał, gdy piętnastego każdego miesiąca jeżdżę złożyć kwiaty na miejscu wypadku, oraz pewna piosenka Led Zeppelin, przy której się poznaliśmy.

– Nie polubiłaby cię – odpowiedziałem w końcu.

– Nie wątpię w to. Domyślam się też, jak musiałeś przeżyć jej śmierć.

Tylko się nie wczuwaj. Nie włącz w moją skórę i nie wskakuj w moje buty. Zachciało mu się Zaduszek. Chociaż w sumie to ja zacząłem te wspominki.

– Miałem czas w szpitalu, by się z tym oswoić. Przebiegu wypadku nie pamiętam. Gdy się ocknąłem, było po wszystkim. Jej... już nie było.

Być może powiedziałbym coś jeszcze, gdyby nie dźwięk komórki. Joseph odebrał i znów zaczął rozmowę po niemiecku. Gdy skończył, wskazał palcem na telefon.

– Słyszałeś to?

– Gratuluje, masz nienaganny akcent. Jak rodowity Niemiec. To bawarski akcent? Cieszysz się, że Bayern awansował do finału Ligi Mistrzów?

– Nie o tym mówię. – Zignorował pytanie i nie skomentował mojego opisu erudycji. – Pytam, czy słyszałeś sygnał?

Zacząło się. Melodyjka była kibicowską piosenką. *You'll Never Walk Alone*. Hymn fanów The Reds, ale także Borussia Dortmund. Nawet ktoś, kto nie interesuje się piłką, powinien o tym wiedzieć. Patrzył na mnie zdumiony, jakby rozmawiał z największym ignorantem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Pomyślałem, że tytuł nie bardzo odnosi się do mojego życia. Kroczyłem przez nie samotnie. Trochę z przypadku. Trochę z wyboru.

Zbliżaliśmy się do Sandomierza. Powoli docierało do mnie, jak wielkie były spustoszenia spowodowane przez powódź. Połacie ziemi przemieniły się w wielkie bajory. Gdzieś tam mieszkańcy poukładali worki z piaskiem. Przede wszystkim jednak rzucała się w oczy pustka, jakby w jednej chwili wypłukano stąd wszelkie ślady życia. Kluczyliśmy objazdami. Dwa razy próbowały zawrócić nas policyjne samochody. Magia mojej legitymacji jednak zadziałała. Okazała się niezawodna także wtedy, gdy wjechaliśmy do miasta. Jeden ze strażaków wyjaśnił nam, jak dostać się do siedziby sztabu

antykryzysowego. Uznałem, że tam najszybciej zdobędę informacje, jak dotrzeć do Grubasa.

Sztab antykryzysowy ma tę przewagę nad innymi instytucjami, że pracuje na okrągło. Nie ma godzin otwarcia ani przerwy technicznej jak na stacjach benzynowych albo dworcach.

Zbliżał się wieczór, gdy dotarliśmy na miejsce.

Grubas? Jaki Grubas? – Postawny mężczyzna patrzył na mnie bez cienia sympatii. – Co mi pan, panie komisarzu – raz jeszcze omiół spojrzeniem moją legitymację – dupę zawraca?

Przypatrywał się nam przekrwionymi oczami. Na szyi miał zawieszony identyfikator. Był jakimś specjalistą z sanepidu wydelegowanym na powodziową linię frontu.

– Jest tu komendant policji? Albo jego zastępca?

Szukałem kolegi po fachu. Z takim łatwiej nawiązać nić porozumienia. W sztabie antykryzysowym służby mundurowe są zawsze dobrze reprezentowane. Czasem nawet aż za dobrze. Ambicja i testosteron górują wtedy nad zdrowym rozsądkiem. Przypomniałem sobie, że mieszkał tu prokurator, z którym kiedyś zetknąłem się przy okazji pewnego zabójstwa. Nazywał się Szacki. Ale szukanie jednego człowieka w takich okolicznościach zupełnie mi wystarczało, łańcuch pośredników tylko wydłużyłby sprawę.

– W tej chwili – mężczyzna z identyfikatorem obejrzał się – nie ma tu żadnego z nich. Są na wałach. Rozkładają czerwony dywan przed kolejną szychą z rządu, kolejnym zbawcą narodu, który chce nas pocieszyć. A skoro ten Grubas jest dziennikarzem, to na pewno jego też pan tam znajdzie.

Z każdym kolejnym zdaniem gniew zatykał go coraz bardziej. Czułem, że zaraz odwróci się i splunie na podłogę. Być może wtedy

by mu ulżyło.

Rozejrzałem się w koło. Przy komputerze siedziała młoda dziewczyna i wpatrywała się w wykresy na ekranie. Dwóch mężczyzn rozmawiało przez krótkofalówki, spośród szumów i trzasków łowiąc słowa zrozumiałe chyba tylko dla nich.

Ten starszy, z kozią bródką i w gumiakach na nogach, skończył rozmowę i podszedł do nas.

– Dobrze słyszałem, że szukacie Grubasa? Tego dziennikarza sportowego? Dwa podbródki, trzy podgardla, cztery żołądki i sumiasty wąs solidniejszy od mojego?

– Sam bym go lepiej nie opisał. – Ojciec zatarł ręce.

– Grubas jest sąsiadem mojego znajomego, mieszka po tamtej stronie miasta. – Domyśliłem się, że wskazuje w kierunku zalanej części Sandomierza. – Po tym, co tu się stało, nie wiem, czy będę miał jakichś sąsiadów i znajomych. Kto tu zostanie... – Drgnął mu policzek. – Grubas ma dom niedaleko ulicy Flisaków, nazwa w sam raz pasuje do okoliczności, prawda?

– Jak się tam dostaniemy?

– Dajcie mi pół godziny. – Znów chwycił krótkofalówkę. – Załatwię kilka spraw i popłyniemy tam.

– Popłyniemy? – Joseph zdziwił się.

– Pontonem – odparł tak, jakby mówił o najbardziej pospolitym środku komunikacji.

Joseph kręcił się niepewnie po pomieszczeniu, jakby nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. Wreszcie usiadł na krześle i z daleka zaczął wpatrywać się w monitor komputera. Ja także pokręciłem się trochę, a w końcu wyszedłem na zewnątrz. Spojrzałem w niebo i wyjąłem papierosa. Poczułem wzbierającą falę wspomnień. Nie

wiedziałem już, czy to powódź, czy rozmowa z ojcem tak mnie nastroiła. Przypomniałem sobie małą Pocahontas i wielką wodę w 1997 roku. A także to, jak wszystko między nami się zaczęło.

Poszliśmy na kawę. To znaczy ona piła kawę, a ja piwo. Dowiedziałem się, że niedawno jej chłopak zmarł na białaczkę. Opowiedziałem o żonie, która zginęła w wypadku pięć lat wcześniej. Cierpienie i tragedia zbliżają ludzi. Nawet gdy jedno mieszka w Opolu, a drugie w Katowicach. Jeździłem do niej, gdy tylko mogłem, ona przyjeżdżała rzadziej. Trwało to rok. Do wielkiej powodzi, która zalała Dolny Śląsk. W takich sytuacjach, gdy w jednej chwili traci się wszystko, ludzie zachowują się nieobliczalnie i zabierają ze sobą najdziwniejsze przedmioty, zupełnie jakby wybierali się w podróż na bezludną wyspę. Ona nie ratowała kota, rodzinnych albumów, telewizora ani srebrnej zastawy. Płakała i podawała mi dziesiątki książek, a ja odpływałem z nimi w bezpieczne miejsce. Takie doświadczenia mogą łączyć. Nas rozdzieliły. Dwa miesiące później było po wszystkim. Zupełnie jakby ktoś odciął nam tlen. Jakby woda ugasiła w nas cały żar. W Opolu, mieście, w którym w wielką piłkę grał Joseph, pamiętają o powodzi. Niektórzy na budynkach zaznaczyli poziom, do którego podeszła woda. Ku pamięci i przestrodze. Ale mnie w świecie tych wspomnień nie było. Nawarstwiły się zupełnie inne. Takie na przykład, by zatrzymywać się na stacji „Lotos”, gdy z Opoła skręca się na Rybnik, bo tam jest najlepsza na Śląsku rolada. Pokonywałem tę trasę kilkakrotnie, zmierzając do granicy z Czechami, gdy pomagałem wyjaśnić sprawę pewnego zabójstwa. Ofiarą był Wietnamczyk, członek watahy skośnookich handlarzy alkoholem bez akcyzy w przygranicznych sklepach. Zabił go Polak. Takie

miałem wspomnienia. Przez te wszystkie lata Alicja osunęła się w głębsze pokłady pamięci. A może w krąg zapomnienia. By teraz niespodziewanie powrócić.

Podniesione głosy rozgoniły wspomnienia, tak jak wiatr rozgania mgłę. Kilka kobiet otoczyło człowieka w czarnej kurtce. Ton głosów nie wskazywał, by była to sąsiadka pogawędka. Sprzeczkę rejestrowała kamera telewizyjna.

– Nic nie mogę w tej sprawie obiecać ani zrobić – zarzekął się mężczyzna.

– To niech pan powie, kiedy te skurwysyny z rządu ogłoszą stan klęski żywiołowej – krzyczała jedna z kobiet. – No kiedy?

Towarzyszająca jej gromadka potakiwała głowami. Nagle, jakby się umówiły, wszystkie zaczęły się przekrzykiwać.

– W ten sposób – facet spojrzał nerwowo na kamerę – nie będziemy rozmawiać. Może zaczęlibyście z nami współpracować? Dlaczego nie opuścicie domów, mimo że apelujemy o to?

Zakrzyczały go. Kamerzysta krążył wewnątrz grupki. Wiedziałem, o co chodzi. To samo słyszałem podczas powodzi przed kilkunastu laty. Wprowadzenie stanu klęski żywiołowej spowodowałoby, że państwo musiałoby w pełni pokryć kosztą usuwania szkód. Żadnej władzy się do tego nie pali. A poszkodowani woleli tkwić w zalanych domach i pilnować tego, co im jeszcze pozostało. Koczowali na wyższych kondygnacjach razem z uratowanym inwentarzem. Jak w arce Noego. Nikt nikomu nie ufał. Może w sytuacjach nadzwyczajnych jest to całkiem normalne.

Udaliśmy się za naszym przewodnikiem. Wcześniej poprosiłem go, by pożyczył nam latarkę. Po drodze minęliśmy potężną reklamę wycieczki objazdowej po Włoszech z udziałem w beatyfikacji

księdza Popiełuszki. Ksiądz Jerzy Tour. Tak to brzmiało. Fantazja ludzka nie zna granic. Dotarliśmy do miejsca, gdzie stał ponton przytwierdzony do brzegu łańcuchem.

– Ma pan kapok? – zapytał ojciec.

Niemiecka szkoła. Porządek musi być. Mężczyzna spojrział na niego tak, jakby zobaczył kosmitę z amerykańskiego filmu z lat pięćdziesiątych.

Kozia bródka nazywał się Jerzy Kmita. Od niepamiętnych czasów, to znaczy od dwudziestu lat, był radnym. W sztabie anty kryzysowym był kimś w rodzaju negocjatora. Namawiał ludzi, by przenieśli się do sąsiadów, sal szkolnych albo w inne bezpieczniejsze miejsce. Wczoraj wyprowadził małżeństwo osiemdziesięciolatków. Dziś kolejną osobę. Komuś innemu dowiózł pożywienie.

Otaczała nas brudna, spieniona woda. Uderzył mnie odór fekaliiów pomieszany ze smrodem rozkładającego się mięsa. Zamknąłem oczy i poczułem wzbierające mdłości. Ojciec był zapewne w nie lepszej formie. Poza tym panowała dojmująca martwa cisza. Poświeciłem latarką. Na połamanych konarach drzew powiewały płaty folii pozrywanej z inspektów w ogródkach warzywnych.

Kmita odtrącił coś wiosłem i splunął do wody.

– Martwy pies – mruknął. – Już drugi dzisiaj. Ludzie tego nie wytrzymują. Tej głupoty. Mojemu sąsiadowi padł koń. Wiecie, co mu poradzili? By zapakował padlinę do worka. Konia do worka! Rozumiecie?

Kmita wziął latarkę i mrugnął światłem dwa razy. W oddali pojawiły się trzy błysnięcia, po chwili kolejne dwa.

– A gdy już się dziś obrobie – uprzedził moje pytanie – czeka mnie spławik z przyjaciółmi.

– Spławik? – Joseph ożywił się.

– Powodziowa imprezka.

Imprezka. Słowo, które pasowało do tych okoliczności jak teledyski Madonny do spotkania kółka różańcowego.

– Nie macie co się dziwić. W sztabie antykryzysowym też chleją. By rozładować stres. Przez chwilę zapomnieć o tym syfie, który nas otacza. I zasnąć chociaż na kilka godzin. Te dwa sygnały ode mnie oznaczały dwie półlitrowki. – Roześmiał się.

Teraz rozumiałem go doskonale. Aż za dobrze. „Chcesz o tym porozmawiać?”, mógłby zapytać mnie pierwszy lepszy psycholog, a ja, podobnie jak Jerzy Kmita, miałbym o czym mówić.

Przy jednym z mijanych domów stał ponton. Podpłynęliśmy w tamtym kierunku.

– Tu nikt nie mieszka. Dom jest prawie skończony, gotowy do zamieszkania, ale nie ma jeszcze nadanego numeru. Dlatego facet nie dostanie teraz żadnego odszkodowania. – Westchnął. – Będzie musiał zaczynać wszystko od nowa.

Przesiedliśmy się do pustego pontonu. Kmita pokazał nam, gdzie mamy płynąć. Jeszcze dwieście pięćdziesiąt metrów prosto i po lewej stronie będzie stał dom Grubasa. Znajdziemy go bez trudu. Na ganku gości wita sporych rozmiarów figurka piłkarza. Jakiegoś znanego zawodnika, ale on się na tym nie zna. Widać ją z ulicy. Woda nie powinna jej przykrywać. Cóż, jedni trzymają krasnale w ogrodzie, inni stawiają lwy w bramach, a dziennikarz dał upust swojej futbolowej obsesji. Gdy będzie po wszystkim, ponton mamy zostawić na brzegu. Albo zadzwonić do Kmity. Dał nam swój numer

telefonu. Może będzie w stanie odebrać. A jeśli powodziowa imprezka rozkręci się na dobre i spławik zatonie, podeśle kogoś do nas. Poczułem do tego gościa sympatię. Ma u mnie kratę dobrego piwa. W lepszych czasach i bardziej sprzyjających okolicznościach.

Gdy dotarliśmy na miejsce, było już ciemno. Omiotłem latarką posesję. Woda podeszła do okien, figurka piłkarza zanurzyła się w brunatnym szlamie po ramiona. Nic nie wskazywało na to, aby ktoś był w domu. Zastanawiałem się, jak najłatwiej dostać się do środka. Raz jeszcze poświeciłem w szyby. Tak. Tak będzie najprościej. Podpłynęliśmy do ściany. Pchnąłem dłońmi zmurszałe okiennice. Drewno trzasnęło, rozległ się huk i posypało się szkło.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co się stało. Silny snop światła skierował się w naszą stronę. Zmrużyłem oczy i przesłoniłem dłońią. Rozległ się jeszcze jeden huk, który niósł się echem.

– Nie ruszajcie się! – Usłyszałem zachrypnięty głos. Zrozumiałem, że ktoś do nas strzelał.

W naszym kierunku podpłynęły dwie łodzie. Czterech mężczyzn przyglądało nam się uważnie. Jeden trzymał strzelbę myśliwską, inny widły, a trzeci dzierżył oburącz siekierę wzniesioną do góry. Dubeltówka i narzędzia ogrodowe. Byli uzbrojeni zupełnie jak pospolite ruszenie. Nie było na co czekać.

– Policja! Komisarz Rudolf Heinz! – ryknąłem. Wiedziałem, że muszę przejąć inicjatywę, bo inaczej będzie gorąco. – Ma pan pozwolenie na broń? – zawołałem w kierunku mężczyzny, który jak mi się wydawało, dowodził gromadką. Nie czekając na odpowiedź, powoli odchyliłem poły marynarki i sięgnąłem po legitymację. – Nie zamoczcie mi tego! – krzyknąłem i rzuciłem ją w kierunku bliższej łódki.

Mężczyźni nieufnie oglądali dokument. Przypatrywali się nam tak, jak tubylcy w puszczy amazońskiej patrzyli przed wiekami na białych podróżników. W tej egzotyce nie było jednak nic pociągającego. Doskonale wiedziałem, za kogo nas uważają. I rozumiałem też, że jeśli szybko nie wyjaśnimy sytuacji, znajdziemy się w naprawdę kiepskim położeniu. Lincz w dzisiejszych czasach to nie przeżytek, o którym czyta się tylko w książkach. Policjant? Z Katowic? Czego tu szukacie? Kilka moich odpowiedzi i następne pytania. Wreszcie oddali mi legitymację. Atmosfera rozluźniła się. Jednak będziemy żyli.

– Grubas? Na pewno go tu nie było! – powiedział mężczyzna ze strzelbą, a pozostali potaknęli. – Woda podeszła tu przedwczoraj wieczorem. Od tego czasu nikt by tu nie dotarł.

Dziennikarz właśnie przedwczoraj wyjechał z Warszawy. Albo został do tego zmuszony. Ma wyłączony telefon. Mógł tutaj dotrzeć.

I coś mogło się wtedy stać.

– Muszę się dostać do środka – powiedziałem stanowczo. Teraz to ja rozdawałem karty. – Wiele domów już obrobiono? – Zmieniłem temat.

To też była lekcja z przeszłości. Szabrownicy grabili opuszczone podczas powodzi posesje. Bywało, że mieli łodzie motorowe. Zdarzało się, że byli uzbrojeni. Wśród hien trafiali się najbliżsi sąsiedzi oraz ludzie, którym powszechnie ufano. Nauczyciel. Strażak. Żywiół w każdym potrafi wyzwolić demony. Wszystko zależy od okoliczności. Prawie wszystko.

– Przedwczoraj w sąsiedztwie – mężczyzna wskazał kierunek dubeltówką – podpłynęło takich dwóch skurwysynów. Zobaczyliśmy was i myśleliśmy, że pojawiły się kolejne ścierwojady.

– I co z nimi zrobiliście?

Odchrząknął zaniepokojony. Jeden z jego towarzyszy zaśmiał się nerwowo.

– A co? Prowadzi pan śledztwo w tej sprawie?

Zaprzeczyłem.

– No to pytania nie było. A jeśli chodzi o pozwolenie na tę fuzję, to mam.

Odplynęli, a ja zauważyłem, że ojciec się trzęsie. Z nerwów albo z zimna. Lub z obu powodów naraz. Podałem mu marynarke.

Spojrzał na mnie zaskoczony, chociaż we mnie wcale nie obudziły się synowskie uczucia.

– Pilnuj moich rzeczy – powiedziałem. – Wejdę do środka i się rozejrzę. Nie ma sensu, byśmy wchodzili tam obaj.

Nie protestował. Widziałem, że ma dość naszej wyprawy. Sam chciał. Zdjąłem spodnie i ześlizgnąłem się po parapecie do środka. Woda sięgała mi do pasa. Odór zgnilizny zaatakował kolejny raz. Ciekawe, czy tę kąpiel w szlamie przypłace chorobą skóry i wizytą u dermatologa? Trzymałem latarkę wysoko w górze i oświetlałem pokój. Jedna ze ścian była pomalowana w czerwone, białe i ciemne pasy. Pewnie były to barwy jakiegoś klubu piłkarskiego. Joseph by wiedział. Przy krótszej ścianie stał regał. Półki były puste. Brodziłem po pokoju i rozglądałem się uważnie. Nie zauważyłem śladów, które świadczyłyby o tym, że był tu niedawno gospodarz. Poczuję, że depczę po jakichś przedmiotach. Schyliłem się. Pod wodą zalegały książki i kasety wideo. Zastanowiło mnie, skąd się tam wzięły. Dłonią natrafiłem na skryty pod wodą stół. W rogu dostrzegłem masywny fotel, który wyglądał jak zatopiony pancernik oraz coś, co kiedyś było telewizorem. Dotarłem do łazienki. Krem do golenia na

pólecze i szampon przeciwlupieżowy należały zapewne dowłasciciela. Na umywalce leżał ręcznik. Wziąłem go i przewiesiłem sobie przez ramię. Udałem się do kuchni. Najwyższe szuflady, wystające ponad poziom wody, były wysunięte, a szafki pootwierane.

Dreszcz przebiegł mi po plecach. Wszystko wskazywało na to, że coś wydarzyło się w tym domu. Wspiąłem się po schodach prowadzących na piętro. Wytarłem ręcznikiem uda. Drzwi do pierwszego pokoju były uchylone. W przejściu leżała pusta butelka po wódce, a na podłodze walał się stos gazet sportowych. Na stoliku stała kolejna pusta butelka. W rogu pod niewielkim oknem było łóżko. Leżał na nim potężny mężczyzna.

Podszedłem bliżej i skierowałem snop światła na jego twarz. Grubas nie zmrużył oczu. Nie mógł tego zrobić. Umarli tak nie potrafią. Zdawało się, że twarz dziennikarza wykrzywiła się w upiornym uśmiechu. Nie był to jednak przedśmiertny grymas. Jedno oko opuściło oczodół, spłynęło po policzku i znalazło się niewiele ponad linią wąsów. Dziennikarz spoczywał w kałuży krwi. Co mówił Kmita? Jak to było? Dwa podbródki, trzy podgardla. Jeden z tych podbródków był przecięty na pół. Czerwona smuga ciągnęła się przez szerokość całej szczęki. Mięiste wargi dziennikarza były rozchylone. Pochyliłem się nad twarzą zmarłego. Język zniknął gdzieś w czeluściach ust. Dłonie mężczyzny były zaciśnięte. Nie próbowałem rozprostować palców, przyjrzałem się natomiast nadgarstkom. Przeszukałem kieszenie spodni. Nie znalazłem w nich nic oprócz chusteczki higienicznej, zmiętej pustej paczki papierosów oraz starego biletu kolejowego.

Powoli wycofałem się z pokoju i zszedłem na dół. Zrozumiałem, dlaczego książki nie stały na regale. I dlaczego szafki w kuchni były otwarte, a szuflady wysunięte. Jeszcze raz rozejrzałem się po pokoju. Nie odkryłem nic nowego, co zwróciłoby moją uwagę. Poświeciłem w okno i ujrzałem głowę ojca. W świetle latarki wyglądał jak zjawa. Joseph syknął przestraszony i zasłonił dłonią oczy.

Milczałem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Wytarłem się ręcznikiem, który należał do dziennikarza, i ubrałem się. Podjąłem decyzję, co zrobię w ciągu najbliższych godzin. Napięcie nie zniknęło z twarzy ojca. Czuł, że coś się stało.

– On nie żyje – powiedziałem.

– Utonął? – Palce Josepha zacisnęły się na moim ramieniu. Zachwiał się. Podtrzymałem go, by nie wpadł do spienionego ścieku.

– Jest gorzej. Ktoś pomógł mu się przedostać na tamten świat. Leży na piętze z poderżniętym gardłem. Ktoś chyba chciał mu założyć kolumbijski krawat, ale to już szczegół.

Nie wiem, czy rozumiał, co mówię. Przez chwilę wpatrywał się we mnie bez słowa, a następnie wychylił się z pontonu i wymiotował.

Kilka godzin później zapaliłem e-papierosa. Zbliżałem się do Warszawy. Nad ranem przynajmniej nie ma korków. Na stacji benzynowej przebrałem się w czyste ubranie, które miałem w bagażniku, i kupiłem kawę. Kilka minut po piątej sięgnąłem po telefon i zadzwoniłem do staruszki mieszkającej na Powiślu.

CZEŚĆ DRUGA

15

Liczyłem na to, że sąsiadka Grubasa, jak wielu ludzi w jej wieku, wstaje bladym świtem. Nie pomyliłem się. Gdy zadzwoniłem, była już na nogach. Odebrała po drugim sygnale. Przypomniałem się jej, a ona skojarzyła mnie od razu.

– Niestety mam złe wiadomości. Pan Rejtan nie żyje.

Milczała. Wyjaśniłem jej, co się stało. Powiedziałem, że na pewno zjawi się u niej policja. A na razie przyjadę sam. I poproszę o klucze do mieszkania dziennikarza. Nie zadawała pytań, nie protestowała.

Ojciec początkowo też nie protestował. Przed wyjazdem z Sandomierza wyjaśniłem mu, jak się powinien zachować. Miał zadzwonić do Kmity i opowiedzieć o zwłokach Grubasa. O tym, że został zamordowany. Gdy pojawią się policjanci, miał przekazać im mój numer telefonu i powiedzieć, że czekam na kontakt. Bo to ja widziałem ciało. Może opowiedzieć też o samobójstwie piłkarza i o tym, dlaczego znaleźliśmy się u Rejtana.

Mówiłem to wszystko, a Joseph mechanicznie kiwał głową. Nie miałem pewności, ile z tego wszystkiego do niego docierało.

– Rozumiesz wszystko?

Spojrzał na mnie. Kąciki ust mu drżały.

– Kurwa! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Co? – Po raz pierwszy usłyszałem z jego ust przekleństwo.

– Polska. Cała Polska. – Pokręcił głową. – Jak nie katastrofa smoleńska, to powódź i beatyfikacja księdza. Jak nie powódź, to morderstwo, w które będę zamieszany. Kraj, kurwa, sportów ekstremalnych!

Bałem się, że Joseph, człowiek, który jak się zdawało, panuje nad sobą w każdej sytuacji, straci jednak kontrolę. Atak hysterii zbliżał się wielkimi krokami.

– Daj spokój, ojciec. – Próbowałem go uspokoić.

Pierwszy raz tak do niego powiedziałem. Być może ostatni. Zareagował na to słowo tak, jak pies reaguje na znajomą komendę.

– Dobra – wyszeptał. – Zrobię, jak powiedziałaś.

Kraj sportów ekstremalnych. Dziki kraj. Co miałem mu odpowiedzieć. Że w Niemczech jest takie powiedzenie, że trening czyni mistrza? No to jesteśmy wytrenowani i rozmaite stany wyjątkowe są tutaj normą.

Sam też byłem wyćwiczony. Nie jestem medykiem sądowym, ale rzut oka wystarczył mi, by stwierdzić, że Grubas leżał tak od kilkudziesięciu godzin. Biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, został zamordowany w sobotę. Jednak godzina śmierci nie była dla mnie najważniejsza. Zaniepokoiło mnie coś innego. Ktoś bezwzględnie rozprawił się z dziennikarzem. Obtarcia na nadgarstkach wskazywały, że Rejtan został związany przed śmiercią. Jeśli chce się kogoś po prostu zabić, nie trzeba go do tego krępować. Bezbolesna śmierć stanowiłaby dla Grubasa wybawienie. Jego przypadek był jednak inny. Miałem do czynienia ze zbrodnią rozłożoną w czasie. Morderca unieruchomił ofiarę, bo chciał ją przesłuchać. I nie przebierał przy tym w środkach. Oko spływające po policzku było dostatecznym dowodem. A na koniec coś

w rodzaju kolumbijskiego krawata. Człowiekowi podrzyna się gardło w taki sposób, by wyciągnąć język przez zrobiony w ten sposób otwór. Podobno Kolumbijczycy przećwiczyli tę metodę podczas wojny domowej w połowie XX wieku, a potem podobnie zabawiali się rozmaici mafiosi. Pojawiło się kolejne pytanie. Czy zabójstwo Grubasa należy potraktować jako ostrzeżenie skierowane do wszystkich, którzy wtykają nos w nie swoje sprawy?

Co zabójca chciał uzyskać od Rejtana? Przeszukał dom. I uciął sobie pogawędkę z Grubasem. W domu w Sandomierzu nie znalazłem laptopa. Morderca musiał zabrać też telefon komórkowy. Być może znalazł coś jeszcze. Zabrał również klucze do warszawskiego mieszkania. Właśnie dlatego byłem w drodze na Powiśle.

Piłem drugą kawę, gdy zadzwonił telefon. Facet nazywał się Bąk, Strąk albo jakoś podobnie i był komendantem policji w Sandomierzu.

– Czy może mi pan powiedzieć, co się właściwie stało?

Opowiadałem, popijając kawę. Na stacji benzynowej cicho pobrzmiwała muzyka, oprócz mnie i jednej zakochanej pary spiżającej sobie słowa i red bulla z dzióbków nie było nikogo. Wspomniałem o tym, że dom Grubasa został przeszukany.

– Nie sądzę, by była to robota jakiegoś szabrownika.

– Aha.

Rozmowny koleś. Ale pewnie mu ulży, jeśli śledztwo przejmie Warszawa. Na miejscu i bez tego zabójstwa mieli ręce pełne roboty i błotnisty szlam po pachy.

– Dlaczego pan tak nagle wyjechał? Jest pan pierwszym znanym mi policjantem, który odjeżdża z miejsca zdarzenia.

To mało widziałeś, pomyślałem.

– Byłem tam prywatnie. Nie prowadzę żadnej sprawy związanej z ofiarą. Ten starszy mężczyzna, który was o wszystkim powiadomił, to mój ojciec. Poprosił mnie, bym mu pomógł rozwikłać pewną historię. W ten sposób trafiliśmy do Grubasa.

– Aha.

– Morderca przeszukał dom. Pomyślałem, że to samo zechce zrobić w Warszawie, gdzie Rejtan miał jeszcze mieszkanie.

– I ten trop postanowił pan sprawdzić na własną rękę?

– Tak. Jak samotny szeryf. Bezimienny mściciel. Rozumie pan?

– Aha.

Nie wiem, co pomyślał sobie mistrz elokwencji. Zachowywałem się jak bohater czarnego kryminału. A Grubas był jak kapitan Nemo w „Nautilusie”.

Pogadaliśmy z komendantem jeszcze chwilę. Ja coś do niego, a on: „Aha”. Był w latach osiemdziesiątych taki norweski zespół. Na koniec Bąk-Strąk powiedział, że pewnie czeka nas kolejna rozmowa. Ucieszyłem się jak diabli. Chyba że, westchnął, centrala przejmie dochodzenie. W jego głosie dawało się wyczuć zmęczenie i rezygnację. Tej drugiej zresztą znacznie więcej.

Byłem na parterze kamienicy przy Dobrej, gdy usłyszałem szczekanie psa. Zanim wspiąłem się na drugie piętro, sąsiadka Grubasa wyszła na korytarz. W jej dłoni dzwoniły klucze do mieszkania dziennikarza. Wziąłem je bez słowa i otworzyłem zamki. Poprosiłem kobietę, by weszła ze mną do środka. Nie odzywała się. Nie zadawała pytań. Posłusznie poszła za mną.

Większy z dwóch pokoiów wypełniony był sportowymi pamiątkami. Centralne miejsce na ścianie zajmował plakat

w antyramie. Stał na nim mężczyzna w wieku Josepha, z czerwonymi plamami na twarzy i w okularach w cienkich oprawkach. Przez środek biegł zamaszty autograf zrobiony grubym flamastrem: „For Grubas – Alex”. Plakat był obwieszony mniejszymi fotografiami. Na najstarszej do obiektywu uśmiechał się brodaty młodzieniec, a pod fotografią znajdowało się zdanie: „Wydałem dużo pieniędzy na wódę, babki i szybkie samochody. Resztę po prostu roztrwonilem”. Piękny przepis na nieśmiertelność. Coraz więcej wskazywało na to, że Grubas chciał ten aforyzm wcielić w życie po swojemu i że to właśnie go zgubiło.

– To George Best – odezwała się za moimi plecami staruszka. – W tym samym roku, w którym debiutował w Manchesterze, wychodziłam za mąż. Ładniutki był. Nie to, co mój. Nazywali go piątym Bitelsem.

Piąty Bitels. Jeśli tak, to pełen szacunek. Na fotografii obok widniał kolejny brodac z oczach szaleńca.

– A ten to Eric Cantona. Francuz. Nie dość, że piłkarz, to jeszcze poeta. Ale to już inna epoka.

Odwróciłem się.

– Pani zna to wszystko? – Zatoczyłem ręką koło.

Złożyła dłonie jak do modlitwy. Zaciśnięte palce w jednej chwili posiniały.

– Tyle się o tym nasłuchiłam! Grubas był fanatycznym kibicem Manchesteru United. W Sandomierzu kazał zrobić posąg piłkarza i chciał, by wyglądał jak Wayne Rooney, wie pan, który to? A tu – wskazała miejsce nad telewizorem – jest replika tablicy z nazwiskami piłkarzy, którzy zginęli w katastrofie lotniczej

w Monachium w 1958 roku. On tak ładnie o nich mówił. A teraz sam...

Staruszka mogłaby zostać przewodniczką po tym osobliwym muzeum. Sam nie gromadzę takich przedmiotów, gdyż kojarzą mi się z krainą wiecznych łowów wypełnioną martwymi myśliwymi.

– Proszę pani – zmieniłem temat – proszę rozejrzeć się uważnie. Czy wszystko jest na swoim miejscu? Gdyby coś było nie tak, proszę powiedzieć.

Chodziła powoli jak saper po polu minowym. Rozglądałem się za laptopem, ale w pokoju go nie było. Sprawdziłem zawartość szuflad. Nic szczególnego. Trochę rachunków, jakieś ponaglenie do zapłaty. Przekartkowałem kilka książek.

Niczego poza zakładką z herbem Manchesteru United nie znalazłem.

– To zdjęcie – staruszka zmarszczyła brwi i wskazała fotografię na półce z książkami – zawsze stało tam, przy telewizorze.

Spojrzałem uważnie na fotografię. Grubas, młodszy o dobre dziesięć lat i odchudzony o kilkadziesiąt kilogramów, obejmował kilkunastoletniego chłopca. Blondynek nie patrzył w obiektyw, jego głowa była skrzyżowana pod kątem i opuszczona w dół.

– To Jacuś – wyjaśniła. – Nigdy inaczej o nim nie mówił. Syn Grubasa. Niepełnosprawny umysłowo. Załatwił mu elegancki ośrodek niedaleko Sandomierza. Cisza, spokój, czyste powietrze, pielęgniarzy. A ta jego żona, była żona, podobno wciąż mu zarzucała, że za mało się nim opiekuje. Ludzie to mają tupet!

– To stare zdjęcie?

– Pewnie tak. Zawsze stało tam. – Wskazała palcem. – On o Jacusiu zawsze tak czule mówił... I co ten biedny chłopak teraz

zrobi?

Kilka spraw rozjaśniło mi się. Zajrzałem do drugiego pokoju, który był sypialnią. W szufladzie znalazłem opakowanie viagry, a na półce kolekcję filmów porno. Grubas nie był piątym Bitelsem, ale szedł przez życie pełną parą. Każdy orze, jak może. Staruszka także spojrzała na okładki, westchnęła i wstydliwie odwróciła wzrok. Zlustrowałem łazienkę i kuchnię. Przejrzałem zawartość lodówki. Zapas jak na oblężenie Stalingradu. Miał tego tyle, że starczyłoby mi na miesiąc. Gorzały też było pod dostatkiem. Butelki smirnoffa oraz finlandii pokryte były zachęcającym szronem.

Szukałem jednak czegoś innego. Laptopa, a także śladów cudzej obecności w tym mieszkaniu. Tutaj nikt nie narobił bałaganu jak w Sandomierzu. Zrezygnowany pokręciłem głową. Wiedziałem, że czegoś szukam, lecz nie wiedziałem, co to może być. Coś ważnego dla dziennikarza i dla kogoś jeszcze, kto nie zawahał się zabić Rejtana. Błądziłem we mgle. Gdyby Grubas miał coś wartościowego, jakieś notatki albo dokumenty, na których mu zależało, nie przechowywałby ich w komputerze ani w telefonie komórkowym. Może miał jakąś skrytkę w redakcji? Nie, to zbyt duże ryzyko. Cenne rzeczy trzyma się pod ręką. Pod pełną kontrolą.

– Kiedy popsuł się domofon? – zapytałem.

– W sobotę. Do dziś nikt nie przyszedł go naprawić, wyobraża pan sobie?

W sobotę. Wtedy Grubas zdecydował się wyjechać. Jedna sprawa mi umknęła. Przy zwłokach nie znalazłem kluczy, nie było przy nich także kluczyków do samochodu. Co się stało z wozem? Będę musiał to sprawdzić. Może właśnie tam coś przechowywał?

– A w niedzielę? Wychodziła pani z domu?

– Cały dzień byłam w mieszkaniu. Wychodziłam tylko z psem. O, musi nas słyszeć, bo drapie w drzwi.

Rzeczywiście, po piętrze niósł się dźwięk pazurów drapiących drewno. Raz jeszcze wróciłem do pokoju. Spojrzenie ostatniej szansy. Czasem w takiej chwili w mgnieniu oka łapie się coś, co wcześniej umknęło. Tak jakby zadziałał dodatkowo wmontowany skaner. Tym razem było inaczej. Skaner nie zadziałał. Zrezygnowany cofnąłem się. Spojrzałem na zamki w drzwiach. Przyjrzałem im się dokładnie. Dwa z nich wyglądały na stare. Odłaziła z nich farba i poczerniały po latach używania. Ale trzeci Grubas musiał założyć niedawno.

– Wie pani, kiedy to zamontowano? – Wskazałem na lśniący nowością zamek Gerda.

– A wiem. Bo to było w moje imieniny 21 lutego. Bo Eleonora mam na pierwsze. Nawet pytałam, czy coś się stało i dlaczego ten zamek montuje.

– I co powiedział?

– Że lichy nie śpi. Że tak na wszelki wypadek. A poza tym, żebym się nie martwiła.

Wziąłem do ręki klucze i zamknąłem drzwi. Pies zaszczekał. Swoją drogą, ciekawe, co się z nim stanie? Podrzuciłem w rękę metal i oddałem klucze staruszce. Chowwała je do kieszeni, gdy chwyciłem ją za nadgarstek. Najwyraźniej przestraszyła się i otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć.

– Pani Eleonoro, bardzo przepraszam. Proszę mi je jeszcze raz pokazać. – Wskazałem na kieszeń.

Dwa klucze były stare, dwa nowe. W mieszkaniu były trzy zamki. Nie kojarzę faktów. Przegrywam ze zmęczeniem. Nie widzę tego, co

oczywiste.

– Ten czwarty klucz jest od piwnicy?

– A od czego ma być? – burknęła.

Zbiegłem na dół i przekręciłem włącznik. W piwnicy panowała wilgoć i unosił się zapach zbutwiałych szmat. Przed oczami mignął mi Grubas z okiem spływającym po policzku. Ile razy ten obraz jeszcze do mnie powróci? Otworzyłem mosiężną kłódkę i obejrzałem ją uważnie. Także wyglądała na kupioną niedawno. Nikt nie próbował jej przeciąć. Zresztą w wypadku kabłąka wykonanego z utwardzanej stali nie jest to proste zadanie. Uchyliłem drzwi. Obok piwnicy znajdowało się okno i poranne światło w zupełności mi wystarczało. Pomieszczenie było niewielkie. Zobaczyłem kilka paczek gazet przewiązanych sznurkiem oraz sztuczną choinkę. Przejrzałem pudełko z zakurzonymi bombkami, zapewne nieużywanymi od wielu lat. Ze zdumieniem spostrzegłem niewielkie drewniane sanki. Nie wiem, czy dzisiaj jeszcze takie produkują. Nagle pomyślałem o młodym. O moim synu, który nie chciał nim być. Nie, nie myślałem o tych czasach, kiedy był dzieckiem, ale o życiu, które go jeszcze czeka. A w nim jakieś sanki najnowszej generacji, z tworzyw sztucznych i włókien węglowych, pewnie się pojawiają. Ja zaś będę dryfował na peryferiach tego świata. Pod moim butem chrupnął kawałek szkła. Dziennikarz nie byłby sobą, gdyby nie trzymał tu kilku butelek po wódce. Jedna z nich musiała się rozbić. Odgłos ten podziałał tak, jakby ktoś wymierzył mi siarczysty policzek albo mnie uszczypnął. Robię się nieznośnie sentymentalny. Najwyraźniej Grubasowi takie emocje także nie były obce. Ale chrzęst szkła sprawił, że powróciłem do rzeczywistości.

Miałem zabrać się za przeglądanie gazet, gdy moją uwagę przyciągnęła wnęka w murze. Jedna z cegieł w lewym rogu w głębi piwnicy była usunięta. Pochyliłem się i wsunąłem tam palce. Wzięłem głęboki wdech. Wydawało mi się, że usłyszałem czyjeś kroki. Odruchowo sprawdziłem, czy glock jest na swoim miejscu. Czekałem bez ruchu. To jednak musiało być złudzenie. Albo niósł się dźwięk dobiegający z parteru.

Po chwili powoli wysunąłem z wnęki małą drewnianą skrzynkę, jakiej używa się do przechowywania rozmaitych dupereli. Otworzyłem ją. Wyjąłem kawałek złożonego materiału i ostrożnie go rozwinąłem. W środku znalazłem kartkę wyrwaną z kołnotatnika. Uniosłem ją i obejrzałem pod światło. Kilka cyfr. Jedno nazwisko i skrót imienia. Nazwy dwóch miejscowości. To wszystko. Miałem to, czego szukałem. To, co Grubas z jakichś powodów ukrywał przed światem.

Złożyłem kartkę na pół i schowałem do skrzynki. Materiał, w który była zawinięta, także uniosłem do światła. Wpatrywałem się w brązowy kwadrat pokryty poczerniałymi plamami. Nie, o pomyłce nie mogło być mowy. Kiedyś już coś podobnego widziałem. To nie była szmatka do ścierania kurzu ani ściereczka z mikrofibry do czyszczenia okularów. Nie był to też papirus ani fragment ubrania.

W dłoni trzymałem kawałek ludzkiej skóry.

16

Może masz płytę z tymi wrzaskami, których słuchaliśmy rano? Ten kawałek o Auschwitz i doktorze Mengele?

Mój rozmówca roześmiał się.

– Przyniosę ci jeszcze jedną kawę, żebyś tu nie zasnął.

Zbliżało się południe. Napięcie, które towarzyszyło mi od wielu godzin, odpłynęło. Poczułem natomiast nadciągającą falę zmęczenia. Siedziałem w ciasnym pokoiku w budynku komendy stołecznej w Warszawie. Aspirant Maciejewski przesunął stertę teczek z jednego rogu biurka w inne, jakby ta czynność miała nam ułatwić rozmowę. Poznaliśmy się półtora roku temu, gdy szukaliśmy zabójcy warszawskich kloszardów. Maciejewski znał się na swojej robocie. Miałem nadzieję, że sprawa Grubasa trafi właśnie w jego ręce.

Rano, gdy podszedłem do samochodu i raz jeszcze przyjrzałem się piwnicznemu znalezisku, wybrałem numer innego policjanta. Karloff nie odebrał. Gdyby w mojej robocie przyznawano nagrody za urodę albo zrobiono casting na nowego Jamesa Bonda, komisarz o twarzy Frankensteina, z blizną ciągnącą się przez pół policzka, nie miałby najmniejszych szans. Może ta skaza sprawiała, że Karloff był zwolennikiem wolnej amerykanki i uważał, że wszystkie środki są dozwolone, o ile prowadzą do celu. I trzeba przyznać, że był mistrzem w tej dyscyplinie. Odrażający, brudny i zły. Tak. Coś w tym stylu. Kusiło mnie, by zadzwonić do inspektora Krygiera.

Znaliśmy się od lat. Był moim szefem w Katowicach. Najlepszym szefem. A teraz pracował w centrali, w komendzie głównej w Warszawie. Powstrzymałem się jednak. Nawet makabryczne znalezisko nie usprawiedliwiałoby takiego ruchu. Krygier to był zupełnie inny kaliber. A jeszcze ci z komendy stołecznej pomyśleliby, że szukam dojsć, by przejąć sprawę. I trudno byłoby nie przyznać im racji. Znałem tę złożoną pajęczą sieć służbowych zależności i powiązań, wielokrotnie ją też zrywałem. Tym razem jednak nie było powodu. Moje prywatne śledztwo nie dobiegło końca, ale przestało być jedynie moją sprawą.

Maciejewski przyjechał po czterdziestu minutach od mojego telefonu. Towarzyszył mu policjant o nazwisku Wąsik. Aspirant przesiadł się do mojego samochodu, ten drugi ruszył przed nami, jakby konwojował ważną przesyłkę. Coś w tym zresztą było. Nie codziennie wozi się fragment ludzkiej skóry znalezionej w piwnicy.

– Jesteś pewien, że to jest właśnie to? – zapytał, gdy ruszyliśmy. Włączył radio i szukał jakiejś stacji. Denerwował mnie tym. Nie lubię, gdy ktoś ingeruje w moją muzykę. Ale zignorowałem to.

– To jest stara skóra, ale jestem prawie pewien. Kiedyś widziałem coś podobnego.

To prawda. Przesłuchiwałem mężczyznę, który zdjął skórę ze swojej matki. Potem zakładał to wdzianko na siebie i tak ubrany paradował po mieszkaniu. Hitchcock by się nie powstydział. A Lady Gaga spłonęłaby z zazdrości.

Z radia dobiegł wrzask. Maciejewski zaczął rytmicznie machać głową.

– Ale jaja! – powiedział. – Taka muzyka z rana! Byłem trzy razy na ich koncercie. Wiesz, o czym śpiewają? O doktorze Mengele!

Swoją drogą, pamiętasz, tak właśnie nazwaliśmy naszego mordercę.

Spojrzałem na Maciejewskiego. Nie znałem go od tej strony. Nigdy nie spodziewałbym się, że słucha muzyki. A już z pewnością nie takiej.

– *Angel of death! Monarch to the kingdom of the dead!* – policjant wtórował wokaliście. – Lubisz to? Ech, to były czasy!

Wyłączyłem radio. Jak dla mnie trochę za szybkie. Chociaż na gitarach młócili jak należy.

– Skończysz jak Karloff – sapnąłem.

Kilka minut wcześniej dowiedziałem się, że komisarz o twarzy potwora siedzi w szpitalu psychiatrycznym. Zaczęło się od tego, że polubił grać w kręgle. Zupełnie jak ten hipis z filmu. Mówił, że kręgle go uspokajają. A potem opowiadał, że ten stukot go niepokoi. Że zaczął słyszeć głosy. Uśmiechnąłem się. Nieźle to sobie wykombinował. To był już jego trzeci pobyt w psychiatryku. W końcu komisja orzeknie ciągłość i przewlekłość stresu lub czegoś tam jeszcze i Karloff dostanie bonus. Piętnaście procent dodatku do emerytury. Tak to działa.

– Karloff wymienił się z Inkwizytorem – odpowiedział Maciejewski. – Ważne, że liczba pacjentów się zgadza.

A więc wiedział. Zresztą trudno, by było inaczej, skoro Urbaniak trafił na listę najniebezpieczniejszych przestępców w kraju.

– Dziwię się, że nie ma cię przy tej sprawie – dodał.

– Sam się dziwię.

Zmieniliśmy temat. Opowiedziałem mu o poszukiwaniu Grubasa i zabójstwie w Sandomierzu. Dojechaliśmy do komendy. Na korytarzu mignęło mi kilka twarzy, które przewinęły się podczas wspólnie prowadzonych spraw. Raz jeszcze obejrzeliliśmy moją

zdobycz, a następnie Wąsik zapakował wszystkie elementy w osobne torebki foliowe. Warszawa przejmowała śledztwo, jeden z policjantów pojechał już do Sandomierza.

Przepisałem treść notatki znalezionej w piwnicy i wpatrywałem się w kartkę.

08.06.1991 – ? Kr

16.05.1993 – Zygm. Olczyk Warszawa

Bądź tu mądry. Poprosiłem Maciejewskiego, by sprawdził, czy nazwisko Olczyka figuruje w papierach. Popatrzył na mnie dziwnie. Wyglądało to tak, jakbym wsadzał nos w nie swoje sprawy. Ale zadzwonił, gdzie trzeba, i poprosił o informacje. Jeśli osoba była notowana, a na dodatek w Warszawie, nie powinno być większych problemów z odszukaniem danych. Chociaż różnie to bywa. Zwłaszcza gdy chodzi o czasy, gdy komputery były egzotycznymi okazami.

Siedziałem przy kolejnej kawie. Wypuściłem z ust dym z mojego chesterfielda i popatrzyłem na aspiranta.

– Moim zdaniem sekwencja zdarzeń była taka. – Wziąłem czystą kartkę oraz leżący obok długopis i zacząłem rysować koła. – Grubas zdobywa jakieś informacje. Jakie, nie wiem. Krąży wokół sportowców, klubów i prezesów, a tam w grę wchodzi duże pieniądze. Rejtanowi się poprawia. Może nie jest królem życia jak ten... George Best...

– Kto?

– Nieważne – ciągnąłem – może nie jest królem, ale czuje, że trafił na żyłę złota. Że ustawi się do końca życia. Aż nadepnął komuś na odcisk.

– A dalej Grubas zdobywa coś naprawdę cennego – wtrącił aspirant.

– I sprawy nabierają przyspieszenia. Pojawia się u niego reprezentacyjny obrońca Jacek Kos. Chłopak wychodzi ze spotkania zdruzgotany i zrozpaczony. Nie umiem sobie jego stanu inaczej wyobrazić. Coś w nim pęka. Rzuca się pod pociąg. Śmierć Kosa najwyraźniej jest dla kogoś ostrzeżeniem. Los Grubasa jest przesądzony. W sobotę zostaje wywabiony z Warszawy...

– Co mówiła w tej sprawie jego sąsiadka?

– Że dziennikarz był podenerwowany, niespokojny... Zastanawiałem się, co mogło go doprowadzić do takiego stanu. I chyba wiem. Pani Eleonora...

– Najpierw George Best, teraz Eleonora. Fajnych masz znajomych.

– Maciejewski roześmiał się. – Wrzuć ich sobie na Facebooka.

– Opowiedziała mi – kontynuowałem – że Grubas miał niepełnosprawnego umysłowo syna w ośrodku pod Sandomierzem. Może ktoś zadzwonił, że z chłopakiem coś się dzieje? Albo groził mu. Sprawdź to.

Maciejewski szybko zapisał coś na kartce.

– Grubas jedzie i wpada w pułapkę. Jest torturowany. Zabójca pozostawia ostrzeżenie. Za dużo widziałeś, tracisz oko. Jest jeszcze ten nieudolny kolumbijski krawat. W każdym razie zabójca ma zimną krew. To wszystko musiało się dziać w sobotę, zanim zalało miasto. Przy okazji dom w Sandomierzu zostaje przeszukany i giną laptop i komórka Grubasa.

– Skoro Rejtan jechał do syna, po co zabierał ze sobą laptopa? Chciał mu pokazać film na DVD? I jeszcze jedno. Dlaczego zabójca od razu nie pojechał do Warszawy?

Dopiłem kawę. Była o niebo lepsza od naszej w Katowicach. Albo tylko tak mi się wydawało.

– Dobrze pytania. Sam się nad tym zastanawiałem. Nie wiem, jak było z laptopem. Może chciał popracować. Podobno miał coś pilnego. A jeśli chodzi o przeszukanie mieszkania, zabójca czekał na dogodny moment. Był weekend. Ludzie w domach. Nie sądził, że ktoś tak szybko zacznie szukać Grubasa.

Maciejewski milczał. Znów przełożył akta. Zachowywał się jak człowiek, którego uwiera niewygodne ubranie. Potarł palcami czoło, jakby w ten sposób chciał pobudzić do pracy szare komórki.

– Sądzisz, że to, co znalazłeś, przyczyniło się do jego śmierci?

Ludzie zabijają z najgłupszych powodów. Posprzeczają się o flaszkę. O kilogram bananów. Padnie o jedno słowo za dużo. Tym razem przyczyna nie wydawała mi się błaha.

– W grę wchodzi nie tylko ta kartka, lecz także ludzka skóra. Założę się, że jest znacznie ważniejsza od tych kilku cyfr i literek. Chociaż ta kartka i skóra na pewno są ze sobą powiązane. A swoją drogą – narysowałem kolejne kręgi na kartce – dlaczego tak długo trwa sprawdzanie tego nazwiska?

Maciejewski nie odpowiedział. Wstał, zabrał moją filiżankę i wyszedł z pokoju. Gdy wrócił po półgodzinie, był innym człowiekiem. W dłoni trzymał teczkę. Towarzyszył mu siwiejący mężczyzna, którego nie znałem. Z trudem mieściliśmy się w tej klitce we dwóch, więc nie wyobrażałem sobie, że moglibyśmy się tam upchnąć we trzech. Obaj stanęli w drzwiach.

– Miałem nadzieję, że się znudzisz i sobie pójdziesz – powiedział Maciejewski.

– Coś się stało? – Podniosłem się z krzesła.

- Zygmunt Olczyk – wymienił nazwisko, które widniało na kartce.
- Wydaje mi się, Hipis, że poruszyłeś lawinę.
Senność opuściła mnie w jednej chwili.

17

Usiedliśmy w policyjnej stołówce. Znaleźliśmy wolny stolik za filarem. Nieznajomy zamówił kawę. Wsypał trzy łyżeczki cukru i powoli zamieszał, a my wpatrywaliśmy się w niego z napięciem, jakby wykonywał najbardziej niezwykłą czynność w dziejach ludzkości. Odłożył łyżeczkę i pochylił się do przodu, a my postąpiliśmy tak samo. Musieliśmy wyglądać jak spiskowcy, którzy zamierzają wysadzić w powietrze rządowy budynek.

Maciejewski przedstawił nas sobie. Mężczyzna nazywał się Florian Konieczny i pracował w wydziale technicznym.

– Do nich wchodzi się od drugiej strony, a nie głównym wejściem – wyjaśnił aspirant. – Trochę to trwało, zanim go odnalazłem.

Wydział techniczny zajmował się kontrolą rozmaitych procedur. Pracujących tam powszechnie uważano za służbistów i nudziarzy, którzy są w stanie przyczepić się do wszystkiego. Trafiało się wśród nich wielu cywilów, co utrudniało porozumienie i ograniczało pole negocjacji. Tym bardziej nie rozumiałem, dlaczego Maciejewski sprowadził takiego człowieka.

– Poznaliśmy się przy okazji jakiegoś nalotu kontrolerów – powiedział aspirant. – Okazało się, że moja lampka stoi nie po tej stronie biurka, po której powinna. – Uśmiechnął się.

– A spinacze leżą za blisko krawędzi – wtrącił Konieczny.

Oho, zaczyna się. Przypomniał mi się Joseph i jego kumple od piłkarskich interesów. Tym razem zaistniało niebezpieczeństwo, że wkroczymy w świat procedur, paragrafów i przepisów BHP.

– Florian wiele lat pracował w wydziale zabójstw. – Maciejewski nagle spowaźniał. – Był tu już w czasach, gdy mnie nie było na świecie.

Pokiwałem głową. Wszystko stało się jasne. Przyjrzałem się policjantowi. Był z dziesięć lat ode mnie starszy. Głębokie bruzdy przecinały jego twarz, a szyję pokrywało kilka ciemnych plamek. Gdy uznał, że ma dość oglądania okaleczonych zwłok i przesłuchiwania podejrzanych, nie odszedł na wcześniejszą emeryturę, tylko zmienił pracę na spokojniejszą. Ciekawe, czy mnie czeka to samo.

– Jak sam wiesz, czasami wracamy do spraw z przeszłości – kontynuował aspirant. – Nie tylko nasze archiwum X się tym zajmuje. Florian pomógł mi kilka razy. Więc i teraz, gdy tylko dostałem tę teczkę – stuknął palcem w akta – i zobaczyłem, co jest w środku, postanowiłem się do niego zwrócić. I dobrze zrobiłem.

– A co jest w środku?

Objętość skoroszytu nie była zachęcająca. Najwyżej kilka kartek. Nie byłem zachwycony takim obrotem spraw. Maciejewski otworzył wychudzoną teczkę.

– Zygmunt Olczyk został znaleziony 16 maja 1993 roku w Lasku Bielańskim – odczytał informację z pierwszej strony. – Sekcja zwłok wykazała, że chłopca uduszono.

– Chłopca?

– Miał dwanaście lat. – Aspirant podniósł wzrok.

Poruszyłem lawinę. Zabójstwo dziecka. Takie sprawy nigdy się nie starzeją. Dotyczy to zwłaszcza tych przypadków, w których nie złapano mordercy. Wiedziałem, że wkraczam w świat jednej z tych historii. Myśli się o nich latami, jeszcze długo po tym, gdy akta trafią do archiwum z adnotacją, że sprawcy nie wykryto.

– Pan brał udział w tym śledztwie? – Popatrzyłem na Koniecznego.

– Pracowałem przy tym z doskoku. Ale pamiętam, co się wtedy zdarzyło. Chłopca uprowadzono z placu zabaw tydzień wcześniej. Początkowo myśleliśmy, że jest to zwykłe porwanie. Ale nikt nie odezwał się do rodziny w sprawie okupu. Jak to zwykle bywa, pojawiło się kilka hipotez. – Upił łyk kawy i skrzywił się.

Znałem to dobrze. Porywacz się nie zgłasza, więc trzeba kombinować. Opcja pierwsza – chłopiec stał się dawcą organów. Lata temu, gdy Polska stała się przytułkiem dla Rumunów, uczestniczyłem w makabrycznym śledztwie. Ciała zaginionych rumuńskich dzieci odnajdowano okaleczone i pozbawione narządów. Sprawców wtedy także nie ustalono. Opcja druga – historyjka zaaranżowana przez rodzinę i sfingowane porwanie. Opcja trzecia – zemsta. Opcja czwarta – nieszczęśliwy wypadek. W grę wchodziło jeszcze kilka innych możliwości.

– Najgorsze zaczęło się wtedy – Konieczny przekartkował akta, jakby chciał się w ten sposób upewnić, że wszystko dobrze pamięta – gdy znaleźliśmy już ciało...

– Motyw seksualny?

Pokręcił przecząco głową. Skrzyżował ręce przed sobą w okolicy mostka, jakby chciał się w ten sposób obronić przed wspomnieniami.

– Chłopiec został uduszony. Ale sekcja zwłok wykazała coś jeszcze. Przez tydzień, gdy był przetrzymywany, nie dostawał nic do jedzenia. Rozumie pan? Był głodzony...

Tydzień bez posiłków. W takich wypadkach obowiązuje reguła trzech trójek. Możesz wytrzymać trzy minuty bez powietrza, trzy dni bez płynów, trzydzieści dni bez pożywienia. Teraz stało się jasne, dlaczego policjant tak dobrze pamiętał tę sprawę. Siedemnaście lat temu policjanci nie mieli do czynienia z przeciętnym mordercą. Trafił im się sadysta. Przypomniałem sobie skrawek znalezionej ludzkiej skóry. Porozrzucane elementy zaczynały się ze sobą łączyć.

– Czy ten chłopiec... – Nie wiedziałem, jak zadać to pytanie. – Czy on był cały? Miał skórę?

– Wiem, do czego pan zmierza. – Konieczny popatrzył na Maciejewskiego. A zatem aspirant opowiedział mu o moim znalezisku. – Chłopiec był cały. To nie jego skórę znalazł pan na Powiślu.

Coś mi się jednak nie zgadzało. Stuknąłem dłonią w akta.

– Dlaczego tateczka jest taka cienka? Przecież musieliście prowadzić szeroko zakrojone śledztwo. Poza tym istnieje duże prawdopodobieństwo, że zabójca miał na rozkładzie także inne ofiary...

– Też się dziwię, że tego jest tak mało – odparł Konieczny. – Ale w papierach sprzed lat często panuje bałagan. Nikt do nich pewnie od dawna nie zaglądał. Wędrują z półki na półkę. Czasem ktoś je nieumyślnie przestawi. Gdzieś muszą być.

– Ta druga data... – Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem kartkę – 8 czerwca 1991. Zapewne jest jakiś związek między nią i zabójstwem

tego chłopca. Litery „Kr” pewnie oznaczają Kraków. Albo czyjeś inicjały...

Konieczny dopił kawę. Odstawił filiżankę z wyraźną ulgą. Nie wiem, czy chodziło o jakość napoju, czy też wspomnienia, z których mógł się otrząsnąć.

– Tak jak mówiłem, pracowałem przy tym śledztwie wahadłowo. Ale jest ktoś, kto powie panu o tym o wiele więcej. Tylko że nie mogę go złapać. – Wskazał na telefon. – On już nie pracuje w firmie. Będzie pan w Warszawie?

Maciejewski poruszył się niespokojnie na krześle. Nie chciałem, by wyszło na to, że zajmuję się jego sprawą i chcę przejąć dochodzenie.

– Mam tu jeszcze dziś coś do załatwienia – skłamałem. – Zatrzymam się w policyjnym hotelu. Jeśli nie będziesz miał nic przeciwko – spojrzałem w kierunku aspiranta – a pański znajomy zechce się spotkać...

Aspirant mruknął coś pod nosem. Uznałem to za z trudem wyrażone przyzwolenie.

– Może być pan pewien, że Marian Chyży będzie chciał się spotkać, gdy tylko dowie się, o co chodzi.

Wymieniliśmy się telefonami. Pożegnałem się z nimi i wyszedłem na parking. Zza chmur wyszło słońce. Zmrużyłem oczy i trwałem tak dobrą chwilę, jakbym chciał w ten sposób oddalić od siebie wspomnienia z Sandomierza, smród stęchlizny i wilgoć z piwnicy Grubasa. Nie ma co, trafiłem w sam środek makabrycznej historii sprzed lat. Pojechałem na Pragę do naszego branżowego hotelu. Zapłaciłem za jedną dobę. Dostałem inny pokój niż ten, który trafiał mi się ostatnio, gdy uczestniczyłem w śledztwach w Warszawie.

Wtedy, jeśli zapowiadał się dłuższy wyjazd, zabierałem ze sobą laptopa i sporo muzyki na bezsenne noce. Tym razem byłem zdany na nocny szmer ulicy. Dobrze, że miałem przynajmniej ubranie na zmianę. Położyłem się na łóżku i zasnąłem.

Znów byłem małym chłopcem. Długo machałem do kogoś ręką na pożegnanie. A potem kąpałem się w stawie niedaleko naszego domu. Tak naprawdę nie był to żaden staw, tylko zwykła żabianka, w której stała woda. Ale rozgrywaliśmy tam z kolegami prawdziwe bitwy morskie. Najbardziej nieustraszeni z nas zanurzali głowę. Była to próba charakteru, bo nikt nie wiedział, co się kryje w odmętach. Oczywiście należałem do grupy śmiałków. Powiedziałem coś do kolegów, roześmiałem się i znikłem pod wodą. Gdy zaczęło mi brakować powietrza, chciałem się wynurzyć. Ale jakaś tajemnicza siła mi na to nie pozwalała. Czułem, że czyjaś ręka naciska na moją głowę i przytrzymuje mnie pod wodą. Szarpnąłem się, uniosłem twarz i zacisnąłem zęby na dłoni. Woda wdarła się do moich ust i zachłysnąłem się. W ostatniej chwili wydostałem się na powierzchnię. Krztusząc się, chciwie chwytałem powietrze i patrzyłem na zaniepokojone twarze towarzyszy. Zbierało mi się na wymioty.

– Co mi się stało? – zapytałem wreszcie.

– Był tu twój ojciec – odpowiedział jeden z nich. – Szukał cię. Był na ciebie zły.

Poderwałem się gwałtownie, zaskrzypiały sprężyny łóżka. Rozejrzałem się po pokoju i uświadomiłem sobie, gdzie jestem. Bolała mnie głowa i czułem ucisk w mostku. Prawdziwy z ciebie psychol, Heinz. Przydałaby ci się terapia. Może nawet u samej Alicji Solskiej. Kto wie, czy wtedy, przed laty, gdy odrzuciłeś jej uczucia,

podjąłeś dobrą decyzję. Jeśli w ogóle chodziło o uczucia. Myśli krążyły bezładnie i odbijały się od ścian jak oszalała mucha, gdy wpadnie do pokoju.

Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się piąta po południu. Poczułem, że nic nie jadłem. Zamordowany chłopiec nie jadł znacznie dłużej. Spojrzałem na komórkę. Nikt przez ten czas, gdy spałem, nie zechciał mi pomóc, zadzwonić do mnie i przerwać tego koszmarne snu. Cholerny Joseph. Znowu musiał powrócić.

Wiedziałem, że muszę się ruszyć na miasto. Inaczej zwariuję. Przydałoby się piwo w jakimś towarzystwie. A wcześniej chińszczyzna albo kebab. Krótka lista warszawskich znajomych skróciła się jeszcze bardziej, gdy Karloff trafił do wariatkowa. Już miałem zdecydować się na samotną wyprawę, gdy przysłała mi na myśl pewna osoba. Wahałem się przez chwilę. W końcu podjąłem decyzję.

Odebrała niemal natychmiast. Tak jakby od dawna czekała na mój telefon.

– Proszę, proszę... – Przeciągała wyrazy, jakby należała do szkolnego kółka recytatorskiego. – Rudolf Heinz. Kto by się spodziewał...

– To jak? – zapytałem. – Zrobimy kufelek?

– A jak myślisz? Nie leżę jeszcze sześć stóp pod ziemią – warknęła do telefonu.

Umówiliśmy się w pubie na rogu Świętokrzyskiej i Marszałkowskiej. Wcześniej zjadłem kebab i falafel w barze tureckim. Sąsiadujące z nim kino „Bajka” pamiętałem z dawnych czasów. Wciśnięty obok sex shop należał do późniejszej epoki. Falafel był zdecydowanie lepszy. Przełknąłem ostatni kęs i od razu poczułem się lepiej. Poprawiło mi się. Jak świętej pamięci Grubasowi w ostatnim okresie jego życia. Nie musiałem długo czekać, by przekonać się po raz kolejny, że dobre samopoczucie to niezwykle chwiejna sprawa.

– Rany, jak ty wyglądasz? – powiedziała gotycka Jolka.

To taki sposób okazywania troski i zarazem formuła przywitania. Spojrzałem na siebie. Wygnieciona marynarka i wymięta koszula, która nigdy nie miała styczności z żelazkiem. Resztki sosu ułożyły się na niej w fantazyjny kształt.

– Wyglądasz jak popowodziowe dziecko...

Prawie zgadłaś. Znalazłem w kieszeni zużytą chusteczkę i spróbowałem doprowadzić się do porządku.

– Albo – ciągnęła – Kevin Costner w *Wodnym świecie*, w tych, wiesz, postrzępionych ciuchach. Tylko że uroda u ciebie nie ta. Dobrze, że umówiliśmy się tutaj, a nie na Nowym Świecie. Nie wpuściliby nas – znów obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem – nawet do „Piotrusia” ani do „Amatorskiej”. O „Nowym Wspaniałym

Świecie” nie wspominając. Jeśli chcesz, pójdę do empiku i kupię ci jakieś pismo dla eleganckich mężczyzn.

Z uśmiechem wysłuchałem, jak wyrzuca z siebie kolejne zdania. Przyjąłem te złośliwości z prawdziwą ulgą. Nie miałem przecież żadnej pewności, kogo przywitam w pubie. Wiele wskazywało na to, że będzie to kobieta wyniszczona chorobą. Tymczasem gotycka Jolka była w bardzo dobrej formie. Na głowie postrzępione włosy, każdy sterzcący w inną stronę, czarny T-shirt, dzinsy w tym samym kolorze, skórzana kurtka z przypinką Sonic Youth. Te znaczki mają swoją nazwę, ale nigdy nie mogę jej zapamiętać. Basista z mojej kapeli ma całą kolekcję własnoręcznie zrobionych. Przypomniałem sobie, że gdy byłem u niej w mieszkaniu wiele miesięcy temu, słuchaliśmy Spear of Destiny. Paznokcie pomalowane na fioletowo i mocny makijaż. Powiedziałem jej, że świetnie wygląda, ale zbyła komplement milczeniem. Był to dla mnie wystarczający sygnał, by nie brnąć dalej, nie pytać o zdrowie i o to wszystko, co porusza się na takich spotkaniach.

– No dobra – uniosła szklankę z tyskim i stuknęła w moją – wysłów się.

Opowiedziałem. Najpierw o Inkwizytorze i jego ucieczce. O zabójstwie pielęgniarza i odciętym języku. O wiadomości, którą pozostawił dla mnie morderca.

Słuchała uważnie. Czuję, że brakuje jej takich historii. Choroba odcięła ją od policyjnej codzienności. Wiedziałem, że w mojej opowieści nie szuka ekscytacji, tylko kontaktu z dawnymi, lepszymi czasami. Pracowałem z nią dwa lata temu. Drugi raz pomogła mi przypadkiem i by tak rzec, już po godzinach. Gotycka Jolka była

kimś w rodzaju lustra, w którym odbijały się moje hipotezy i wątpliwości. Tym razem było podobnie.

– To się nie trzyma kupy, Hipis – powiedziała wreszcie. – Facet się ukrywa, a jednocześnie dwa razy jest widziany koło cmentarza. Obok miejsca swojej ostatniej pracy. Wyjaśnij mi to.

Nie potrafiłem.

– Poza tym – zajęła się oglądaniem lakieru na paznokciach – jeśli chciał cię zabić, zrobiłby to od razu, nawet gdyby musiał przez to odpuścić sobie tego cholernego pielęgniarza. Z pewnością jesteś dla niego ważniejszy. A tymczasem Urbaniak wysłał ci ostrzeżenie. Tak może być w filmie o psychopatach, ale nie w rzeczywistości.

Z tym bywa różnie. Tak czy inaczej były w tej sprawie niejasności.

– Może nie chodzi mu o zwyczajną zemstę po latach. – Wypuściłem obłok z elektronicznego papierosa.

– Być może – przytaknęła. – Powinniście wziąć w obroty siostrę Urbaniaka. To znaczy twoi błyskotliwi koledzy powinni to zrobić.

– Podobno tańczą z nią. Ale niewiele z tego wynika.

Piliśmy piwo w niewielkim ogródku, a obok nas siedziała zmęczona życiem parka. W pewnej chwili mężczyzna wstał i podniósł dłoń. Piwo zachybotowało się na stoliku.

– Panie Andrzeju, niech pan się nie boi – ryknął i zamachał ręką. – Dwie trzecie Sejmu za panem stoi.

Mężczyzna stojący na przystanku autobusowym po drugiej stronie ulicy odkrzyknął coś niezrozumiałego, rozejrzał się, wykorzystał kilka chwil, gdy Świętokrzyską akurat nic nie przejeżdżało, i przebiegł przez jezdnię.

– Zaresztuj go, złamał przepisy – teatralnym szeptem powiedziała Jolka. – Co sprowadziło cię do Warszawy? Chyba nie

ucieczka przed Inkwizytorem.

Powiedziałem o ojcu i cudownym powrocie po czterdziestu latach. Gwizdnęła przeciągle i powiedziała, że ostatni raz spotkała się z czymś takim w latynoskiej telenoweli. Opowiedziałem o samobójstwie piłkarza. O wyjeździe do Sandomierza i zwłokach Grubasa. A także o drewnianym pudełeczku, makabrycznej zawartości i rozmowie w komendzie stołecznej. Słuchała spokojnie, a mnie zaschło w gardle, więc je przepłukałem. Prychnęła dopiero, gdy wymieniłem nazwisko Mariana Chyżego.

– Maciejewski jest w porządku, Konieczny był okej, pamiętam go. Ale na Chyżego uważaj. To niezłej klasy skurwysyn.

Jolka opowiedziała mi o Chyżym. Pracował w wydziale zabójstw, by po latach przenieść się do Biura Spraw Wewnętrznych. Tym razem to ja zareagowałem gwałtownie. Policja w policji jest ciałem, od którego trzeba trzymać się jak najdalej. Każdego traktują jak potencjalnego przestępcę. Więc co z Chyżym? Pewnego pięknego dnia, takiego jak ten, wkroczył na stare śmieci, by porozmawiać z pewnym komisarzem. Podobno był ucholem mafii. Wspólna wódka, wspólne dziwki, kasa do podziału. Klasyka. Chłopaka zawieszono, później postawiono w stan oskarżenia. Sprawa ciągnęła się pięć lat. To także klasyka. Rodzina policjanta rozpadła się, życie zawodowe legło w gruzach. Zakończyło się uniewinnieniem. Człowiek trafił do szpitala psychiatrycznego, a Chyży przy kolejnym spotkaniu zbył wszystko wzruszeniem ramion, bo po prostu taką ma pracę.

– Gdy już go spotkasz – powiedziała Jolka – przekaz mu ode mnie znak pokoju. Powiedz, że jego matka... – Nachyliła się ku mnie i szepnęła coś do ucha. Minęła chwila, zanim zrozumiałem.

Z uznaniem kiwnąłem głową. Muszę powiedzieć to Gawlikowi. Z pewnością dorzuci do swojego arsenału przekleństw.

Przy stoliku obok zrobiło się głośniejsze.

– Pytasz mnie o Albinosa? – Facet nazwany Andrzejem podniósł głos. – Znaczący pytasz, gdzie on, Albinos, teraz mieszka? Człowieku, ja nie wiem, gdzie sam mieszkam, a mam wiedzieć, gdzie ktoś mieszka?

Gotycka Jolka znalazła godnego rywala. Sami oratorzy przesiadują w tym pubie.

– Nie znam sprawy tego chłopca – powiedziała Jolka. – Ale to działo się prawie dwadzieścia lat temu. Też uważam, że druga data łączy się z tym zabójstwem. Nie rozumiem tylko, co ma z tym wspólnego dziennikarz. Skąd ludzka skóra? I dlaczego to wszystko powraca po tylu latach?

Lubiłem jej słuchać. Zawsze uważałem, że dobrze postawione pytania są ważniejsze od udzielanych odpowiedzi. Jolka umiejętnie mnożyła wątpliwości, a ja wiedziałem, że nie powinienem ich zlekceważyć.

Dopijaliśmy trzecie piwo. Mężczyzna zwany Andrzejem gdzieś poszedł. Może szukać swojego domu. Parka dopiła to, co miała w szklankach, i też się ulotniła. Gotycka Jolka spojrzała na zegarek.

Klepnęła się po udzie.

– Więc chcesz wiedzieć, jak się czuję?

Wolałem nie odpowiadać. A może wolałem tego nie wysłuchiwać.

– Teraz czuję się znośnie. Ale nie mam wątpliwości, jak to się skończy. Dostałam bilet w jedną stronę. I nie będę zgrywała celebrytki, która napisze książkę o tym, jak pokonała raka, bo liczą

się nastawienie oraz wola życia. Głodne kawałki do telewizji śniadaniowej. Wiesz, co te skurwysyny mi zrobiły? – Podniosła głos.

– Kto?

– Moi szefowie. Czuję się lepiej, chciałam wrócić do firmy, ale oni nie chcą. – Po raz pierwszy widziałem łzy w jej oczach. – Zupełnie jakbym miała ich tym rakiem zarazić. Tłumaczą, że nie powinnam się przemęczać, radzą zapomnieć o stresie i opowiadają mi takie duperszmity. Wytoczę im sprawę. Ale na razie – sięgnęła po sportową torbę – mam to.

Odsunęła zamek i wyjęła aparat fotograficzny z potężnym teleobiektywem.

– Bawisz się w prywatnego detektywa? Fotografujesz niewiernych mężów i żony?

– Rogacizną się nie zajmuję. – Roześmiała się. – To są obiekty moich łowów.

Wyjęła kilka odbitek i wręczyła mi je. Znajdowały się na nich samoloty. Pas ziemi widoczny u dołu każdej fotografii świadczył o tym, że zdjęcia robiono w chwili startu lub przy podejściu do lądowania.

– To jest *power!* – Pokazała na zdjęcia i zacisnęła pięść. – Za chwilę mam podwózkę. Jedziemy na Okęcie. Na pas 33. Od strony pól, tam od ulicy Karnawał – mówiła szybko, jakby bała się, że jej przeszkodzi.

I tak nie wiem, gdzie to jest, i zapewne nigdy się nie dowiem. Nie jestem airspotterem. Samoloty to nie moja działka. Latam, jeśli muszę, a gdy tylko mam wybór, wolę czuć grunt pod stopami.

– Służba Ochrony Lotniska daje mi spokój, gdy pokazuję blachę, nawet właściciele tych pól się wtedy nie wpięprzają. A dziś ląduje

boeing 737. Z Norwegii. Już go kiedyś złowiłam, ale zdjęcie wyszło niewyraźne.

– Długo się tym zajmujesz?

– Pasjonowało mnie lotnictwo, gdy byłam w liceum, a potem na studiach. Chciałam nawet zrobić kurs pilotażu...

Był taki jeden, co też chciał, przypomniałem sobie Jacka Kosa. Ale nie zdążył. Odpędziłem od siebie nieprzyjemne myśli.

– Może chcesz jechać z nami?

Odmówiłem. Wolałem inne atrakcje. Na przykład skrzypiące łóżko w policyjnym hotelu. Cmoknęła mnie w policzek i wstała.

– Daj znać, gdy coś będzie się działo. Jestem ciekawa, jak to się skończy.

Ruszyła w stronę ronda ONZ. Odwróciła się i pomachała mi. Uniosłem rękę. Tę, którą miałem wolną. W drugiej trzymałem piwo.

W hotelowej knajpie dobiłem się jeszcze jednym. Gdy je kończyłem, odezwał się Hendrix w telefonie. Dzwonił Konieczny.

– Złapałem go wreszcie. Widzimy się jutro o dziesiątej. Na Myśliwieckiej w „Returnie”.

Zapytałem, gdzie to jest. Koło radiowej „Trójki” i stadionu Legii. Trochę kultury, trochę sportu. I trochę zabójstw. Policyjna lista przebojów.

– Maciejewski będzie? – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

– Zadzwoń do niego. – Konieczny zakończył rozmowę.

Wróciłem do pokoju i nastawiłem budzik w telefonie. W torbie znalazłem ostatni czysty T-shirt. Położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy. Od spotkania z ojcem na cmentarzu minęły dwa tygodnie. Sporo się przez ten czas wydarzyło. Dwunastoletni chłopiec. Sadysta. Grubas. Głodzenie i ludzka skóra. Lasek Bielański

i piwnica na Powiślu. Sadysta. Grubas i Jacek Kos. Tortury. Poderżnięte gardło i samobójcza śmierć. Data, której nie potrafiłem rozszyfrować.

Skojarzenia przeskakiwały w mojej głowie jak piłeczki podczas losowania lotto. Nie wiedziałem, jak je poukładać. Tym razem nie trafiłem szóstki. Nie złowię nic, w przeciwieństwie do gotyckiej Jolki. Zdecydowanie to nie był mój dzień.

19

Kilka minut po dziesiątej wkroczyłem do pubowego ogródka i skierowałem się do stolika zajętego przez czterech mężczyzn. Maciejewski w okularach przeciwsłonecznych siedział rozparty z rękami założonymi za głowę. Żuł gumę i wyglądał jak śmiertelnie znudzony wczasowicz na wieczorku z muzyką etniczną i regionalną kuchnią. Konieczny siedział pochylony nad rozłożonymi na stoliku gazetami, a dwóch nieznanych mi facetów rozprawiało w najlepsze. Ten rudy, żylasty, ubrany był w krótkie spodenki i koszulkę polo. Wydawało się, że za moment pożegna wszystkich, chwyci rakietę tenisową i uda się na kort. Jego kumpel z puciołowatą twarzą i sińcami pod oczami wyglądał niewinnie jak niedźwiadek panda. Obaj byli starsi ode mnie.

– O, to pewnie komisarz Heinz. – Żylasty podniósł się z wiklinowego fotela i podał mi rękę. – A ja jestem Chyży.

– Chyży-ryży – dopowiedział puciołowaty i wybąkał jakieś nazwisko.

Chyży-ryży. Sam bym się domyślił.

– Bo my tu – Chyży omiótł dłonią stół – rozmawiamy na ważne tematy. A pan jak sobie radzi z trupami?

– Słucham?

– Bo wie pan, my należymy do weteranów. Pamiętamy stare czasy. Nie wierzę, że istnieją gliniarze odporni na odór

rozkładającego się ciała. I wie pan, ja miałem taki patent, że nosiłem ze sobą paczkę papierosów, chociaż nie palę. Najczęściej carmeny. I gdy wkraczaliśmy do środka, odrywałem filtry i wkładałem je sobie do nosa.

– Ja miałem inny sposób – wtrącił pucołowaty.

Poczułem się jak na konwencie policjantów. Wspomnień czar.

– Przykładałem sobie do twarzy gazetę, która najbardziej śmierdziała farbą drukarską. Za moich czasów najlepszy był „Przekrój”. No, można było jeszcze zrobić sobie gaziki z octu. Prawie w każdym domu mieli butelkę. Nawet jak się nie znalazło u denata, to jego sąsiedzi użyczali.

Nie miałem ochoty na takie inspirujące poranne rozmowy. Nie miałem własnych patentów, więc odpowiedziałem cokolwiek, by się odczepili, i poszedłem po kawę. Opowieści retro w pubie retro. Wnętrze „Returnu” ozdobione było zdjęciami gwiazd tenisa z przeszłości. Na jednym Jimmy Connors z nienaturalnym grymasem na twarzy. Obok Björn Borg z opaską na czole szykujący się do forhendu. I jeszcze jakaś zawodniczka, której nie rozpoznałem, w stroju z zamierzchłej epoki. Przypomniałem sobie niedawne spotkanie w Zabrze, mokrego Włocha i postaci, które przyglądały się nam z fotografii. Kto tam był? Ernest Pohl, a ten drugi? Chyba „Epi” Kowal. Pierwszy raz wtedy o nim słyszałem. Ciekawe, przemknęło mi przez głowę, co się dzieje z ojcem? Jego milczenie wydało mi się nienaturalne, a sam także nie znalazłem czasu, by do niego zadzwonić. Może pochłonęła go wielka woda w Sandomierzu?

Wróciłem do stolika. Szczęśliwie Chyży i panda zmienili temat. Być może uznali, że nie mają publiczności, przed którą mogliby się popisywać. We trzech, wraz z Koniecznym, przeglądali gazety

i komentowali artykuły. Tytuły od lewa do prawa. Wachlarz poglądów na każdy temat. Prasówka emerytów przy porannej kawie. Jedynie Maciejewski siedział zblazowany, wsunął do ust kolejną gumę i zachowywał dystans wobec pozostałych. Zrozumiałem, że podobnie jak gotycka Jolka, także nie przepadał za Chyżym. I dawał mu to odczuć.

– Co to się dzieje – mruknął puciołowaty i zaszeleścił gazetą. – Przedwczoraj pod pałacem złapali jakiegoś faceta z granatem. Podobno miał dosyć demonstracji.

– A tu piszą – Konieczny wskazał palcem obszerny artykuł – że dla odmiany wczoraj ktoś chciał się tam ukrzyżować, ale tłum go powstrzymał. Chciał to zrobić na znak – czytał – odwiecznej męki polskiego narodu i w imię prawdy o katastrofie.

– Ale jaja – puciołowaty nie dawał za wygraną. – Szkoda, że ten z granatem nie rozpierzył wszystkiego w cholere. Ale mam coś lepszego.

Wyglądał jak pokerzysta, który próbuje przebić rywali i zgarnąć całą pulę.

– W hipermarketach zaszywają pracownikom kieszenie. Żeby nic nie ukradli. I jest jeszcze o rybaku z Darłowa, który wypił spirytus z kompasu.

Jednym zaszywają kieszenie, innym wszywają esperal, a jeszcze innym zaszywają mózgi. Przedemną siedział najwyraźniej ten ostatni przypadek. Spojrzałem na wyświetlacz telefonu. Nie spieszyłem się nigdzie, ale towarzystwo przy stoliku zaczęło mnie męczyć.

– Mamy coś nowego? – zwróciłem się do Maciejewskiego.

– Odnaleźli podtopiony samochód Grubasa w Sandomierzu. W środku nic ciekawego. Oczywiście można zapomnieć o wszelkich śladach. Sprawdzamy, co robił w ostatnich tygodniach, z kim się spotykał, dokąd jeździł. Znaleźli przy nim bilet kolejowy, ale nie pamiętam teraz z jakiej trasy. My przeczesałiśmy dokładnie mieszkanie na Powiślu i piwnicę. Nic nowego nie znaleźliśmy. Wciąż nie wiemy, dlaczego pojechał do Sandomierza. Sprawdziliśmy ten ośrodek, w którym przebywa jego syn. Stamtąd nikt nie dzwonił. Słowem niewiele.

Pokiwałem głową. Niewiele to w tym wypadku i tak za dużo powiedziane. Ale mechanizm śledztwa został wprawiony w ruch.

– Nie chcę przerywać panu prasówki – popatrzyłem na Chyżego – ale przyszedłem tu, żeby porozmawiać o tym zamordowanym chłopcu. Rozumiem, że wie pan o wszystkim, co się ostatnio zdarzyło.

Zapadło milczenie. Tak jakby wszyscy czekali na tę chwilę. Pomyślałem o aktorach, którzy wygłupiają się za kurtyną, zanim rozpocznie się premierowe przedstawienie. Z pobliskiego kanału niósł się krzyk kaczek, a zza przepierzenia oddzielającego pub od kortów dobiegały odgłosy uderzanych piłek.

– Prowadziłem tę sprawę. – Twarz Chyżego przypominała maskę. – To było sadystyczne zabójstwo. Może nie sama śmierć, ale to, co dzieciaka spotkało przez ten tydzień. Wypróbowałem wszystkie sposoby, by znaleźć skurwiela, który to zrobił. Sprawdzalem każdą pogłoskę, każdy sygnał...

Mówił tak, jakby przeniósł się w czasie. Znów był policjantem prowadzącym śledztwo. Zrezygnowanym gliną świadomym porażki.

Czekałem na ciąg dalszy opowieści. Tymczasem Chyży zadał pytanie.

– Jesteś profilerem, dobrze słyszałem? Specjalistą od tych rozmaitych seryjnych czubów?

Zaczął mi mówić na ty, jakby w ten sposób chciał wykorzystać zawodową solidarność i sprawić, że będę go lepiej rozumiał.

– Dobrze słyszałeś.

– Więc powiem ci, że nie wierzę w takie sztuczki. Dla mnie liczy się to. – Dotknął czubka nosa.

Słyszałem takie uwagi nie raz i byłem na nie doskonale impregnowany.

– I co podpowiedziały ci intuicja i wieloletnie doświadczenie? – zapytałem.

– Że ten facet, założyłem, że mamy do czynienia z mężczyzną, musiał zrobić coś podobnego już wcześniej. Rozesłałem pytania do wszystkich komend wojewódzkich. Okazało się, że miałem rację. Zygmunt Olczyk nie był jedyny. 8 czerwca 1991 roku zaginął chłopiec z Sosnowca. Jego ciało odnaleziono przy torach kolejowych. Został uduszony paskiem. Przed śmiercią był głodzony. Nazywał się Krzysztof Letni.

Wszyscy przy stoliku siedzieli bez ruchu. Jakby bali się, że szelest gazety lub odgłos odstawianej filiżanki zatrać wspomnienia. Krzysztof Letni. Wyjaśniło się, co znaczący litery „Kr” znajdujące się przy dacie. Nie musiałem przypominać sobie, co robiłem w 1991 roku. Będę pamiętał to do końca życia o każdej porze dnia i nocy. Leżałem w szpitalu po wypadku samochodowym, w którym straciłem ukochaną kobietę. Chciałem wtedy umrzeć, a nie zajmować się cudzymi sprawami. Drugi raz poczułem się podobnie

po dziesięciu latach. Wówczas Inkwizytor przyłożył do tego rękę i kilka zapalek.

Chyży sięgnął po teczkę. Wydobył z niej kilka skserowanych kartek. Na jednej była kopia fotografii miejsca, w którym znaleziono ciała. Na drugiej widniało zdjęcie chłopaka ze szkolnej legitymacji. Zatrzymałem się przy trzeciej kartce. Mój T-shirt na plecach był mokry. Poczułem podmuch wiatru i przeszywające mnie zimno.

– A to? – zapytałem.

– Przy zwłokach znaleźli tę kartkę. Nikt nie miał wątpliwości, że to informacja od zabójcy.

Przyjrzałem się kserokopii. Jedna linijka tekstu. Dwa zdania napisane na maszynie. Witamy w Jurassic Park. W epoce sprzed komputerów.

Zróbcie to. Zanim znowu zabiję.

Dwa pierwsze słowa napisane były łącznie. Ktoś oddzielił je od siebie zdecydowanym pociągnięciem długopisu. Drugie zdanie podkreślono dwa razy. Tak jakby autor chciał nadać im większą moc. Jakby podkreślał, że nie żartuje.

– Zanim znowu zabiję – powiedział Chyży. – „ZZZ”. Tak zakryptonimowano tę sprawę.

– Niektórzy – wtrącił puciołowaty – nazywali ją „Zorro”.

– Śledztwo przejęła specjalna grupa – ciągnął Chyży. – Stałem na jej czele. Analizowaliśmy te dwa zdania milion razy. Było dla mnie jasne, że chłopaki z Sosnowca pokpili sprawę. Zlekceważyli informację od zabójcy. Uznali ją za fałszywy ślad. Zacząłem szukać podobnych przypadków. Wzięliśmy pod lupę wszystko. Zaginięcia, ucieczki nastolatków z domu, uprowadzenia. I wiesz co?

Domyśliłem się, jaki był ciąg dalszy.

– I nic. – Westchnął. – Ani jednego przypadku więcej.

– Na pewno sprawdzaliście, czy między ofiarami był jakiś związek. Coś, co by je łączyło...

– Zrobiliśmy to na setki sposobów. Bez rezultatu. Chłopców łączyło tylko to, że byli w podobnym wieku, Krzyś Letni miał jedenaście lat. Oraz to – Chyży sięgnął do notatek – że zaginęli w weekend. Tyle że chłopak z Warszawy bawił się z kolegami na podwórku, a ten z Sosnowca wracał z próby w domu kultury. Przygotowywali się do jakiegoś występu teatralnego. Był czas, że trasę do Sosnowca pokonywałem z zamkniętymi oczami. Sprawdziłem wszystko. Rodziny się nie znały. – Zaczął wyliczać na palcach. – Chłopcy nigdy się nie spotkali. Nie byli do siebie podobni, jeden był brunetem, drugi blondynem. Gdyby to działo się dzisiaj, przeczesałbym portale społecznościowe i komputery, ale wtedy nie było takiej możliwości.

Chłopcy nigdy się nie spotkali. Ale obaj spotkali mordercę.

– Zastanawiałeś się, dlaczego morderca poprzestał na dwóch ofiarach?

– Mógł pójść siedzieć za zupełnie inne przestępstwo. Wszystko wskazywało na to, że mamy do czynienia z sadystą. Sprawdzaliśmy osadzonych z takimi skłonnościami. Wiesz, katowanie rodziny, znęcanie się nad zwierzętami. Zero śladów. Mógł rozchorować się albo zdechnąć, czego życzę mu z całego serca. Mógł... – przełknął ślinę – mógł to zrobić kolejny raz, a nasze sito okazało się dziurawe i nie wychyciliśmy przypadku. Albo zmodyfikował sposób działania... – Spuścił głowę.

Wyglądał na wyczerpanego. Jak bokser, którego trener zaraz rzuci ręcznik na ring. Tuż za ogrodzeniem, ścieżką wiodącą wzdłuż

kanalu, przebiegła dziewczyna w legginsach. Blond włosy związane w koński ogon podskakiwały w rytm jej kroków. Pięć par męskich oczu podążyło za biegaczką, jakby chciało wspomóc ją w treningu. Najdłużej zza ciemnych szkieł patrzył na nią Maciejewski. Przez chwilę znaleźliśmy się w lepszym świecie.

– Trwało to do 1998 roku. – Głos Chyżego zadziałał niczym chluśnięcie lodowatą wodą w twarz. – Wówczas odszedłem z wydziału zabójstw. Naszą specgrupę rozwiązano znacznie wcześniej. Jestem już na emeryturze i to jest jedyna sprawa, która po tylu latach nie daje mi spokoju. Więc gdy dowiedziałem się, że pojawiły się nowe ślady... – Urwał. – „ZZZ” sprawiło, że prawie wyładowałem w wariatkowie.

– Zupełnie jak pewien policjant z komendy stołecznej. Słyszałem, że lubisz wpędzać w kłopoty byłych kolegów. – Sam nie wiem dlaczego mi się to wyrwało. Może po prostu zapamiętałem opowieść gotyckiej Jolki i nie potrafiłem odpuścić. Maciejewski poruszył się niespokojnie. Zdawało mi się, że żyły na rękach Chyżego nabrzmiały jeszcze bardziej.

– Widzę – powiedział – że zasięgnąłeś języka w mojej sprawie u życzliwych ludzi.

Uśmiechnąłem się.

– Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

– Słuchaj, gnoju – Chyży poczerwieniał na twarzy – jeśli wydaje ci się, że możesz bezkarnie wydawać wyroki, to... – szukał właściwych słów. – Kilku chłopaków wyciągnąłem za uszy z prawdziwego gówna. A w tym przypadku, o którym mówisz, uważam, że miałem rację. A ty kim jesteś? – Wyciągnął palec w moim kierunku. –

Wzorem policjanta o nienagannych manierach? Zgarniasz w komendzie doroczną nagrodę fair play? – Roześmiał się.

Z pewnością nie byłem wzorem do naśladowania. Daleko mi do ideału. Atmosfera przy stoliku zrobiła się gęsta jak śmietana do tortu. Jak w dobrej szpiegowskiej powieści, gdy przy stole siedzi kilku cynicznych agentów i rozprawiają o okruchach lojalności, które gdzieś jeszcze pozostały. Byłem zły na siebie. Powinienem trzymać język za zębami. A tak rozmowa przybrała niespodziewany obrót.

– Dobra – mruknąłem. – Punkt dla ciebie. Nikt nie przepada za tymi z wewnętrznego. Ale nic do ciebie nie mam. Czy jest coś jeszcze, co mogłoby być dla nas przydatne? – Spojrzałem na Maciejewskiego.

Pierwsze zabójstwo popełniono w Sosnowcu. Na moim terenie. Chciałem dać mu do zrozumienia, że w takiej sytuacji nie odpuszczę sprawy.

– Czasem bywa tak, że po latach różne fakty układają się inaczej, że widzi się je w innym świetle. Może zdarzyło ci się coś takiego?

Czekałem w napięciu. Chyży patrzył na mnie, ale miałem wrażenie, że jego wzrok powędrował gdzieś dalej, w stronę ambasady Hiszpanii albo Łazienek.

– Czy widzę coś w innym świetle? – powtórzył moje pytanie. – Ja staram się, Heinz, nic nie widzieć, rozumiesz? Chciałbym, by te wspomnienia się zatarły. Dziś możesz usunąć laserem tatuaż, ale takich rzeczy – stuknął się w skroń – nie możesz. Weź to. – Wyciągnął w moją stronę kserokopię. – Zrobiłem tę odbitkę dla ciebie.

Była to kartka z listem od mordercy.

– Oby ci się przydała. A gdy już go złapiesz...

Przymknąłem oczy i zacisnąłem usta. Chyży zrozumiał mój gest. Wstał i w milczeniu rzucił dziesięciozłotowy banknot na stół. Bez słowa podał nam rękę i wyszedł. Puciołowaty zwinął gazety w rulon i uderzył nimi w pustą dłoń, zupełnie jakby wypróbowywał policyjną pałkę. Podniósł się z krzesła. Konieczny i Maciejewski uczynili to samo. Nie chciałem z nimi rozmawiać. Potrzebowałem jeszcze jednej kawy i spokoju, by przemyśleć to, co usłyszałem.

– Rozumiem – aspirant zdjął okulary – że wchodzisz do gry?

– Dobrze rozumiesz. Sam widzisz, że te dwa zabójstwa się ze sobą łączą. Zobaczę, co uda mi się znaleźć na moim terenie. Będziesz informowany o wszystkim, co się dzieje. W takich sprawach gram czysto. Znasz mnie.

– Znam. I dlatego mam pewne obawy.

Zostałem sam. Zamówiłem americanę i wziąłem kartę z przekąskami ozdobioną zdjęciem Johna McEnroe. Nie byłem głodny. Potrzebowałem czegoś, na czym mógłbym zrobić notatki, a na odwrocie pozostawionej kserokopii nie chciałem pisać.

Zróbcie to. Zanim znowu zabiję.

Zróbcie to. Czyli co? Chrońcie dzieci? Odnajdźcie mnie? Zabijcie? Powstrzymajcie? Dlaczego to zdanie jest takie ogólne? Bo zabójca nie chce przyznać się przed samym sobą, że jest zwykłym draniem? „Zróbcie to” brzmi jak forma rozgrzeszenia. Nie czynię nic niezwykłego. Równie dobrze mógłbym uprawiać warzywa. Co jeszcze rzuca się w oczy? Precyzja. Zabójca stara się być precyzyjny. Oddzielił dwa wyrazy stanowczym pociągnięciem długopisu. Drugie zdanie podkreślił dwiema liniami. Postawił je starannie, niemal idealnie równolegle.

Z tej kartki nie dało się wyczytać nic więcej. Zwykła maszynowa czcionka. Nie był to pamiętnik w rodzaju tego, który pozostawił Kuba Rozpruwacz z Lizbony. Nieuchwytnego przez lata mordercę zdradził zeszyt wypełniony makabrycznymi opowieściami, który dostał się w ręce rodziny. Wpaść można w najgłupszy sposób. Dwa zdania, które miałem przed sobą, należały do innej kategorii. Raz jeszcze spojrzałem na kartkę i ślady długopisu. Mocna pionowa linia oddzielająca wyrazy. I dwie równoległe kreski znacznie wykraczające poza długość drugiego zdania. I jeszcze jedno. Autor listu wsunął kartkę do maszyny, a potem przekręcił wałek. Linijka tekstu nie znajdowała się na samej górze ani na środku kartki. Wyobraziłem sobie ten ruch. Zabójca gwałtownie kręci gałką, słysząc odgłos przesuwającego się papieru. Zaczyna pisać w miejscu wybranym na chybił trafił. On był nie tylko precyzyjny. Był także wściekły. W liście czai się ledwie skrywany gniew. Pisanie powinno wyciszać emocje, ale on z trudem panował nad sobą. Może miał pretensje do siebie, a może do całego świata. Pomyślałem, że Chyży miał rację. Załoga z Sosnowca zlekceważyła znaczenie listu.

Na karcie menu, nad rakieta, którą trzymał McEnroe, narysowałem kółko ze skrótem N.N. w środku. Poprowadziłem pierwszą strzałkę, a przy grocie umieściłem literę „z”. Tak. Morderca należał do tych, których w podręcznikach nazywa się zorganizowanymi. Nikt nie wiedział, w jaki sposób chłopcy znikli. Tak jakby rozpułnili się w powietrzu. Sprawca nie pozostawił śladów. Miał sposobność, by zostać niezauważonym i nie niepokojonym przez tydzień, gdy przetrzymywał ofiary. Świetnie sobie poradził w Sosnowcu, równie dobrze w Warszawie. Znał teren, na którym działał. Był typem trampa. Podróżnika. Jak wielu

seryjnych morderców. Jak Ted Bundy, który zabierał ofiary w ostatnią podróż. Niedawno dowiedziałem się, że samochód Bundy'ego wystawiono na aukcji i sprzedano za grube pieniądze. Świat jest chory.

Kolejna sprawa. Dlaczego przestał zabijać? Czy na pewno przestał? W wypadku seryjnych morderców obserwuje się na ogół dwa biegunowe zjawiska. W pierwszym licznik zbrodni zaczyna bić coraz szybciej, a czas między zabójstwami się skraca. W drugim występuje okres wyciszenia. Zabójca zapada w stan hibernacji, bywa, że na wiele lat, i dopiero po tym czasie wraca na zbrodniczą ścieżkę. Ale aż tak długie milczenie, trwające siedemnaście lat, byłoby jednak czymś wyjątkowym. Ten z Sosnowca i Warszawy był przecież wściekły. Nie uciszyło go pierwsze zabójstwo, nie było powodów, by sądzić, że ukoło go drugie. Zatem co się z tobą, draniu, stało?

Pozostaje kwestia *modus operandi*. Obaj chłopcy zostali uduszeni. W obu przypadkach posłużono się paskiem. Najczęściej w ten sposób działają sprawcy, którzy popełniają przestępstwa na tle seksualnym. Tym razem ważniejsze mogło okazać się to, co poprzedzało egzekucję. Olczyk i Letni byli głodzeni. O czym to świadczy? Poprowadziłem kolejną strzałkę z literą „k”. Kontrola. Chodzi o władzę. Poczucie panowania nad wszystkim, co się dzieje. Duszenie i głodzenie dopełniają się w tym obrazie jak awers i rewers na monecie.

Obok amerykańskiego tenisisty pojawiła się kolejna piłka. Ofiary. Co łączyło tych dwóch chłopców? Nie miałem wątpliwości, że grupa specjalna przeorała te dwa krótkie życiorysy na dziesiątki możliwych sposobów, przepytwała zrozpaczone rodziny, nauczycieli,

a zwłaszcza kolegów. Gdy się ma jedenaście czy dwanaście lat, to właśnie szkolni kumple są najlepszym źródłem informacji. Obu uprowadzono w weekend. Czy to ma jakieś znaczenie? A jeśli tak, to jakie? Albo przeoczono jakieś powiązanie, albo po prostu go nie było i ofiary zostały wybrane spontanicznie. Ale morderca ceniący precyzję i kontrolę wolałby mieć wszystko zaplanowane. Zwłoki znaleziono na odludziu. Za pierwszym razem był to teren kolejowy, w Warszawie – lasek. Miejsca na odludziu. Musiał przetransportować tam ciała i mieć pewność, że pozostanie niezauważony. Wiedziałem, że czeka mnie kolejna wyprawa do Sosnowca. Czułem, że będę błodził po omacku, bowiem po tylu latach zdarzenia tracą ostrość. Chyba że ktoś przeżył taką traumę jak emerytowany policjant Marian Chyży.

Biegaczka wracała tą samą drogą. Miałem wrażenie, że zwiększyła tempo. Rytmiczny oddech, sprężysty krok, kołyszący się na boki koński ogon. Harmonia ruchów. U niej wszystko pod kontrolą.

Była jeszcze jedna zagadka. Kolejne kółko narysowałem obok głowy amerykańskiego gracza. Grubas. Co ma z tym wszystkim wspólnego? Jak natrafił na ślad tych zabójstw? Do kogo należał płat skóry znalezionej w piwnicy? Miał do odpalenia bombę. Raz w życiu trafiła mu się poważna sprawa, która mogła przynieść mu rozgłos i uznanie. Dziennikarz wyjaśniający historię zabójstw sprzed lat. Kto w tym fachu o tym nie marzy? Lepsze to niż dozgonne przeprowadzanie wywiadów w piłkarskich szatniach, w których pot i brud wżarły się w ściany. Niewykluczone, że Grubas postanowił spieniężyć zdobyte informacje przed ogłoszeniem ich światu. Trudny los ukochanego dziecka byłby wystarczającym usprawiedliwieniem

dla szantażu. Chociaż miałem wątpliwości, czy Grubas potrzebowałby jakiegokolwiek wytłumaczenia.

Zadzwoił telefon. Popatrzyłem na wyświetlacz i natychmiast odebrałem. Nadciągały wieści ze Śląska.

– Hipis, wracaj szybko do Katowic. – Usłyszałem rozgorączkowany głos Kuleszy.

Zmarszczyłem brwi.

– Co się stało?

Spodziewałem się najgorszego. Inkwizytor zaatakował kolejny raz.

– Twoje mieszkanie... Ktoś podpalił twoje mieszkanie.

20

Wlokłem się do Katowic rozkopaną i jak zwykle zapchaną drogą, ale tym razem nie zwracałem uwagi na podwarszawską architekturę. Pomimo że w ciągu ostatniej godziny sprawy związane z budownictwem stały się mi szczególnie bliskie.

– Zacznijmy od tego – zapytałem Kuleszę – czy mam jeszcze gdzie mieszkać?

– Zdaje się, że nic poważnego się nie stało. – Uspokajał mnie. – Więcej dymu niż ognia. Drzwi są do wymiany, to na pewno. Miałeś ubezpieczone mieszkanie?

Jakoś nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby to zrobić, chociaż powinno. W końcu natknąłem się w życiu na różne męty i któryś z nich mógł zapragnąć rewanżu. Jednak nigdy nie obawiałem się włamania, bo co też ja miałem cennego? Gitarę, sprzęt muzyczny, kolekcję płyt, których nie słuchał nikt poza mną, i książki. Mało chodliwy towar w dzisiejszych czasach.

Miałem szczęście w nieszczęściu. Podpalacz nie zamienił „kukurydzy” na Osiedlu Tysiąclecia w płonący wieżowiec. A ja nie zostałem bezdomnym z dnia na dzień.

Minąłem płaskie jak stół okolice Piotrkowa Trybunalskiego, gdy Kulesza zadzwonił ponownie.

– Masz czujnych sąsiadów. Powinieneś im podziękować.

Zgodziłem się z nim, chociaż oczami wyobraźni ujrzałem sąsiadkę z dołu wykrzykującą, że podpalenie jest karą za grzechy i wycofanie podpisu pod petycją w sprawie osiedlowego krzyża.

– Chyba wiemy, jak to się stało. Piętro niżej znaleźliśmy pustą butelkę po podpałce. Przepytaliśmy lokatorów. Nikt z nich niczego takiego nie używał. Jeśli zostawił to podpalacz, to pokpił sprawę. Zastanawiam się, kto mógł to zrobić. W pierwszej chwili pomyślałem... Wiesz o kim... Ale to raczej nie on.

Tak. To z pewnością nie była robota Inkwizytora. Odrzuciłem tę hipotezę już w pierwszej chwili. Nie ten styl. Urbaniak nie wysyłał ostrzeżeń. Atakował raz a dobrze. Miał w sobie coś z Kastoriadisa. Albo to mistrz karate działał podobnie do seryjnego mordercy.

Inkwizytor mógł mnie łatwo namierzyć, co do tego nie miałem wątpliwości. Ale nie był na tyle głupi, by podpalać puste mieszkanie.

– Powiedz komisarzowi Grzywie – zwróciłem się do aspiranta – że znów dał ciała. Podobno miałem mieć ogon, a tymczasem... – Zatrąbiłem na jakiegoś kapelusznika, który najwyraźniej się zagapił. Jakby było co oglądać.

– Tymczasem wyjechałeś i nikt nie pomyślał, że trzeba obserwować twoje mieszkanie. Ja także nie. – W głosie Kuleszy pobrzmiwał ton usprawiedliwienia.

– Zresztą sam mu to powiem.

– Jeszcze jedno, Hipis. Mam wieści od szefa. Wieczorem jest u niego zebranie. W sprawie Inkwizytora. Podobno Grzywa coś wymyślił, ale nie wiem co. Ścisła tajemnica. Tajne przez poufne. Trzymają mnie od tego z daleka, jakby bali się, że będę tobie kablował.

Grzywa coś wymyślił. Strach się bać. Przynajmniej z Kuleszą nadawaliśmy na tej samej fali. Kilka lat temu siedziałby cicho i potakiwał szefom. Na szczęście coraz częściej przejmował inicjatywę. I bardzo dobrze.

– Gawlik chciał, abys ty razem się pojawił. Bez wysyłania specjalnego zaproszenia. Tak powiedział.

– A on własnoręcznie wymieni mi drzwi. – Pogoniłem klaksonem kolejnego wycieczkowicza.

Nagle przestałem martwić się o mieszkanie. Mój niepokój wzbudziła planowana akcja. Grzywa najwyraźniej nie chciał czekać. Postanowił zagrać ofensywnie. Takie zabawy rzadko kiedy dobrze się kończą. Albo nie obywiają się bez dodatkowych kosztów. Na przykład w postaci przypadkowych ofiar.

Zadzwoił Kastoriadis. Zupełnie jakbym wywołał go myślami.

– Sezon grzewczy już dawno się skończył – zaczął – a słyszałem, że ktoś chciał ci zgrillować mieszkanie.

Po raz kolejny potwierdziło się, że był najlepiej poinformowanym człowiekiem w mieście.

– Od dawna wiesz?

– Powiedzmy. Ale jedno mnie martwi.

Przez lata nauczyłem się, by zmartwienia mojego mistrza traktować poważnie.

– Nie wiem kto. A ty wiesz?

Nie miałem pojęcia. Ale nawet gdybym wiedział, Kastoriadis byłby ostatnim człowiekiem, który by o tym usłyszał.

– Gdybyś nie miał gdzie mieszkać – cedził powoli słowa, dodając im wagi – możesz przyjść do mnie. Albo zamieszkać w *dojo*.

Marzyłem o tym. Przepocony stary materac zamiast łóżka, śpiwór i worek bokserski pod głowę. A dzień zaczynałbym od stu pompek i podciągania na drążku. Kastoriadis rozłączył się. Nie wiem dlaczego, ale pomyślałem o ojcu. Milczał kolejny dzień. Coś było nie w porządku. Wybrałem numer, ale usłyszałem nagrany komunikat. Rozległ się sygnał nagrywania wiadomości. Zawahałem się. Właściwie nie wiedziałem, co mu powiedzieć. Nie mogłem zapytać przecież, jak się czuje. Rozłączyłem się bez słowa.

Nagle ujrzałem twarze dwóch chłopców zamordowanych w latach dziewięćdziesiątych. Od kilku godzin ta sprawa była na drugim planie. Drgnąłem. Przemknęło mi przez głowę coś jeszcze. Jakieś odległe skojarzenie. Coś ważnego. Trwało to ułamek sekundy. Umknęło szybciej niż mijany znak drogowy. Wiedziałem, że będę się męczył, dopóki myśl nie powróci. Lub nie zniknie całkowicie.

Do „kukurydzy” wchodziłem z duszą na ramieniu. Uspokajające wieści od innych to jedno, ale zawsze pozostaje niepewność, co się samemu zastanie. Pod mieszkaniem odetchnąłem. Mogło być znacznie gorzej. Drzwi do wysokości pół metra były czarne. Do tego samego poziomu osmalona była ściana. Zatem pożar ugaszono, zanim zdążył poczynić spustoszenia. Stałem w kałuży wody i przyglądałem się zniszczeniom. Kulesza mówił prawdę, nie były poważne. Ważniejsze wydało mi się coś innego. Po raz pierwszy zdarzyło się, że ktoś postanowił mnie dopaść. I że w gruncie rzeczy jest to dziecinnie łatwe. Że spokojne noce należą do przeszłości. Wiedziałem, że jeśli w mojej głowie zagości strach niczym uciążliwy sąsiad, będzie to ten moment, gdy będę musiał pomyśleć o zmianie fachu.

Otworzyłem lodówkę. Jak zwykle świeciła pustką. Przypomniałem sobie wypełnione jedzeniem półki i szuflady w kuchni Grubasa. W sumie nie byłem głodny. Chciałem zająć się jakąś prostą czynnością, która pozwoliłaby mi odzyskać równowagę. Dała stabilne emocje, o których tyle razy mówił Kastoriadis. Normalnie wypiłbym piwo. Tym razem jednak musiałem się powstrzymać. Godzinę później miałem stawić się w komendzie u Gawlika.

Zadzwonił telefon. Pomyślałem, że to ojciec. Ale to nie był on. Po raz drugi w ciągu krótkiego czasu usłyszałem ten głos.

– Chciałam z tobą porozmawiać. – Alicja Solska wydawała się spięta.

Milczałem. Nie była to pewnie najlepsza zachęta do rozmowy.

– Muszę ci coś powiedzieć o Kosie. – Jej głos zadrżał.

– Chcesz mi dać do zrozumienia, że spotkania terapeutyczne nie wyczerpywały waszej relacji? – Tępo wpatrywałem się w krajobraz za oknem.

– Daruj sobie swoje złościwości, proszę – powiedziała ostrzej. Po pierwszych niepewnych zdaniach wracała do równowagi. – Tak, to prawda, spotykaliśmy się. Prawie pół roku.

I tym razem terapia zakończyła się sukcesem, pomyślałem. Pełnym sukcesem. Tę uwagę zostawiłem jednak dla siebie.

– Teraz, po latach, Jacek się odezwał. Chciał się spotkać. Coś go dręczyło, czułam to... Ale nie chciał nic powiedzieć przez telefon.

– Kiedy to było?

– Zadzwonił do mnie pod koniec lutego. Albo w pierwszych dniach marca... Raz już miał nawet przyjechać, ale zatrzymały go jakieś sprawy w klubie...

– Nie powiedział nic więcej? Spróbuj sobie przypomnieć.

– Tylko tyle, że coś się stało i koniecznie musi ze mną porozmawiać, bo inaczej zwariuje. Nie naciskałam, bo wiedziałam, że nie ma to sensu. Mieliśmy po prostu się spotkać.

– Co było dalej?

– Dowiedziałam się o jego śmierci... To... to było straszne... Nie potrafię ci powiedzieć, jak się poczułam. A potem pojawiłeś się ty.

W lutym lub marcu zdarzyło się coś, co puściło machinę w ruch. Kos dowiedział się o czymś ważnym. W jakiś sposób to zawiodło go do Grubasa. Czyli także do drewnianego pudełka, które Rejtan ukrywał w piwnicy. Mogło być też inaczej. Może skrzynkę zdobył Kos i przekazał ją dziennikarzowi na przechowanie? Tylko co obrońca mógłby mieć wspólnego z zabójstwami sprzed wielu lat, popełnionymi, gdy był młodym chłopcem i dopiero zaczynał zabawę w wielki futbol? Zbyt wiele było w tej sprawie niejasności. Być może ten supeł należało rozwiązać w zupełnie inny sposób. W przeciwnym razie wszystko jeszcze bardziej mogło się zapętlić.

– Jesteś tam? – Alicja zapytała zaniepokojona.

– Zastanawiam się, czy związałaś się z Kosem wtedy, gdy już nazywałaś się Solska. Czy pan Solski o tym wie.

Pauza w telefonie nie trwała zbyt długo, ale czułem, że przestrzeń między nami wypełniły potężne wyładowania atmosferyczne.

– Jesteś draniem – szepnęła mała Pocahontas. – Jesteś, Heinz, prawdziwym draniem...

Rozłączyła się. Uderzyłem niezbyt czysto, ale po takim dniu trudno było ode mnie oczekiwać pieszczot. A może zwyczajnie wciąż byłem o nią zazdrosny. Nawet o jej romans sprzed wielu lat.

Nie potrafiłem tej informacji gładko przełknąć. Czym prędzej odgoniłem tę myśl od siebie.

21

Do pokoju Gawlika wszedłem jako ostatni z zaproszonych. Naprzeciwko drzwi siedzieli Grzywa i Kulesza, plecami do wejścia usadowił się policjant z pionu wywiadowczego. Znaliliśmy się z widzenia. Skinąłem do niego głową. Na środku stołu stał dzbanek z kawą, a roznoszący się zapach mógłby zabić największy apetyt.

Sprawa nabrała przyspieszenia, tak pewnie zaczął, pomyślałem.

– Referuj. – Naczelnik spojrzał na komisarza.

– Sprawa nabrała przyspieszenia – powiedział Grzywa i spojrzał na mnie. W dłoni trzymał długopis. Podniósł go jak dyrygent, który daje znak orkiestrze, by zagrała pierwszy takt. – Porozmawialiśmy raz jeszcze z siostrą Urbaniaka. Tak od serca. – Uśmiechnął się. – Pamiętasz Kolbę?

Zmrużyłem oczy. Słyszałem nazwisko, ale nie potrafiłem dopasować go do twarzy.

– Miejscowy dziennikarz. Z tego co wiem, kontaktował się z tobą.

– A tak, był taki jeden. – Przypomniałem sobie. – Ale nasza znajomość nie trwała długo. To była krótka piłka z mojej strony.

Dwa lata temu Kolba pojawił się w komendzie i próbował namówić mnie na rozmowę. Przygotowywał serial dokumentalny, w którym miałem się pojawić, by opowiedzieć historię związaną z Inkwizytorem. Nigdy nie miałem parcia na szkło. Brakowało mi sławy i rozgłosu mniej więcej tak, jak świni brakuje rzeźni. Nigdy

nie rozumiałem ludzi, którzy potrafią wywalić przed kamerą wszystkie swoje bebecchy, i nie czują przy tym zażenowania.

– Tymczasem Inkwizytor nie postąpił tak jak ty. – Grzywa wciąż dyrygował długopisem. – Przynajmniej nie zrobił tego od razu. Spotkał się z Kolbą, był dla niego miły. Do czasu.

Zaczynało się robić ciekawie.

– Wiemy to właśnie od jego siostry. Kłopoty pojawiły się, gdy ktoś zaczął łączyć spokojną, Bogu ducha winną kobietę z seryjnym mordercą. Już kiedyś z tego powodu miała kłopoty, musiała się przeprowadzić do innego miasta. Bała się, że znów spotka ją coś podobnego. Opowiedziała o tym bratu podczas odwiedzin w szpitalu psychiatrycznym. Podobno się wściekł. Nie mamy pewności, ale chyba groził dziennikarzowi. Koniec tej historii jest taki, że doszło do kłótni między nimi. Gdy Kolba wracał ze szpitala, został ciężko ranny w wypadku. Gdybym był przesądny, uwierzyłbym, że Inkwizytor potrafi zabijać na odległość.

– Kolba zapadł w śpiączkę – odezwał się Gawlik. – Lekarze nie dawali mu szans. Spodziewali się, że zaraz nastąpi koniec. Śmierć pnia mózgu. A tymczasem...

– Tymczasem niespodzianka. – Komisarz uderzył długopisem w stół. – Okazało się, że odruchy wracają. Nastąpiła minimalna poprawa. Lekarze stwierdzili, że może nastąpić regeneracja układu nerwowego. Rodzina Kolby wyłożyła ciężkie pieniądze i przeniosła go do prywatnej kliniki w Zabrze specjalizującej się w takich przypadkach. Facet jest utrzymywany w śpiączce farmakologicznej, a pielęgniarki skaczą przy nim dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Słyszałem o takich oddziałach intensywnego nadzoru medycznego. Człowiek zostaje wprowadzony w stan śpiączki

farmakologicznej , dzięki czemu pewne ośrodki odczuwania pozostają wyłączone. W przeciwnym razie ból byłby nie do zniesienia i mógłby się stać przyczyną śmierci. Wiedziałem coś o tym. Sam przecież prawie znalazłem się na tamtym świecie. Mogłem dziękować Inkwizytorowi, że należałem do tego ekskluzywnego grona, które widziało światełko po drugiej stronie. Ale pozostałem po tej stronie. Przestałem słuchać tego, co mówił Grzywa.

– W ostatnich dniach stan Kolby znowu się pogorszył – kontynuował komisarz. – Wiem o tym, bo skontaktowaliśmy się z jego rodziną. Opowiedziałem im, co stało się z pielęgniarzem ze szpitala psychiatrycznego. Z detalami. – Zwilżył językiem usta. – Oraz wszystko to, co powiedziała siostra Inkwizytora.

– Udało nam się namówić ich do współpracy. – Gawlik napił się kawy. – Dziś na lokalnych portalach internetowych, a jutro w gazetach pojawi się informacja, że Kolba cudownie ozdrowiał. Że wybudził się z komy. W końcu takie rzeczy się zdarzają. I że rodzina lada moment przeniesie go do renomowanej zagranicznej kliniki na dalsze leczenie.

– Trzeba było siostrę Urbaniaka nakłonić do współpracy. – Kulesza skrzywił się. – Położyć ją w szpitalu, odpowiednio nagłośnić sprawę. Skoro Inkwizytor tak kocha swoją siostrę...

– Na to by się nie złapał – powiedział Grzywa. – Wyczułby podstęp. Poza tym jak mieliśmy ją zmusić, by wystąpiła w roli przynęty? Wiesz, co by było, gdyby media się o tym dowiedziały?

– Jaki jest plan? – zapytałem.

– Prosty. – Komisarz uniósł długopis. – Mamy zgodę sądu na wkroczenie do kliniki. Takie sprawy na szczęście załatwia się

w naszym kraju od ręki, mniej więcej tak jak zezwolenia na podsłuch. – Roześmiał się. – Od jutra będziemy obserwować to miejsce. Wymaga to nieco zachodu, bo ośrodek jest dosyć duży. Ale może złapiemy w naszą sieć upragnioną zdobycz. Może ta historyjka z Kolbą odpowiednio zanęci...

– I co, zaangażujecie antyterrorystów? – zapytałem. – A może GROM? Najlepiej wszystkich naraz. – Nie kryłem ironii.

– Nie, Heinz, zrobimy to własnymi siłami. – Komisarz spojrzał na milczącego dotąd mężczyznę. – Mamy doświadczonych ludzi, prawda?

Skinięcie głową starczyło za odpowiedź.

– Po co mnie wezwaliście? – Podniosłem głos. – Przecież jestem zawieszony, więc po co ten cały cyrk? Jakbym nie miał innych problemów...

– Wiem, że ktoś shajcował ci drzwi. – Głos Gawlika był spokojny. – Nie odpuścimy tego, możesz być pewien. A co do twojego pytania – spojrzał mi w oczy – nie będzie GROM-u. Będziesz ty. Znasz tego skurwiela jak nikt. Sam tak mówiłeś. Chciałeś być przy tej sprawie. Więc teraz masz szansę.

A następnej okazji nie będzie. To zdanie dopowiedziałem sam. Miałem stawić się w samym sercu zdarzeń w samo południe. I jak dzielny szeryf trwać na posterunku. A na końcu stanąć oko w oko z wcieleniem zła.

Nie zadawałem więcej pytań. Cierpliwie wysłuchałem wszelkich dyspozycji. Z Gawlikiem umówiłem się na poranny telefon. Zamierzałem powiedzieć mu, że będę krążył w Sosnowcu wokół sprawy sprzed lat. Wstałem od stołu i wytarłem dłonie w marynarkę. A może strzepnąłem z siebie cały brud świata.

– Zabierzcie jutro Dehnela – powiedziałem na odchodnym.

– Dehnel? – Grzywa zmarszczył brwi. – Nie znam.

– Dehnel – powtórzyłem i wyszedłem z pokoju.

Po drodze do domu zatrzymałem się na stacji benzynowej i zjadłem hot doga. Kupiłem dwa piwa. Po chwili zastanowienia dołożyłem jeszcze jedną puszkę. Na wypadek gdybym musiał ugasić kolejny pożar pod drzwiami.

Miałem o czym myśleć. Wiedziałem, że Grzywa drecze w miejscu. Wykonuje pozorowane ruchy, ale tak naprawdę nie ma pomysłu na poprowadzenie śledztwa. Gawlik chyba to wiedział, ale robił dobrą minę do złej gry. I jeszcze komisarz postanowił wkręcić mnie do tego gówna. Abym razem z nim uwiarygodniał dochodzenie.

Odpaliłem laptopa. Najpierw wyszukałem klinikę w Zabrze, w której leżał Kolba, nie przeczuwając, że jego sen zakłóci wkrótce wataha policjantów, a być może odwiedzi go ktoś jeszcze. Obejrzałem zdjęcia ładnego dwupiętrowego budynku w kolorze delikatnego błękitu schowanego między rozłożystymi kasztanami. Obok postawiono podobny pawilon, tyle że mniejszy. Był to hotel dla rodzin nieszczęśników, którzy korzystali z usług kliniki. Z ciekawości poszukałem cennika, ale go nie znalazłem. Najwyraźniej w takich sprawach zachowuje się dyskrecję. Następnie wyszukałem firmę zajmującą się sprzedażą oraz montażem drzwi. Zdecydowałem się na prostą replikę tych, które mi podpalamo.

Chet Baker zaczął grać jedną ze swych ballad. Przypomniałem sobie, że gangsterzy wybili mu przednie zęby. Dla trębacza oznacza to wyrok śmierci. Koniec kariery. Ciekawe, kto mnie dzisiaj urządził i jaki miał powód. Wyjąłem z kieszeni zdjęcie Johna McEnroe

z dorysowanymi piłeczkami. Pomyślałem o dwóch zamordowanych chłopcach i wyznaniu małej Pocahontas. Jacek Kos przewijał się przez całą tę historię. W sumie wszystko zaczęło się od niego. Raz zniknął na dalszym planie, czasami niespodziewanie powracał w roli głównej. Dwaj chłopcy. Co to był za nagły błysk, który pojawił się i znikł, gdy wracałem do Katowic? Krótkie spięcie, jakiego doświadczyłem podczas jazdy samochodem, wiązało się z tamtymi zabójstwami. Tego byłem pewien.

Minęła północ. Trzeciego piwa nie ruszyłem. Dwie puszki po ciężkim dniu działają lepiej niż głupi jaś. Powinienem być jutro w formie. Pomyślałem, że Grzywa z pewnością już śpi. Tego wieczoru na pewno nie uprawiał seksu, by nie tracić energii. Swoją drogą, ciekawe, czy wiedzieli, o co mi chodziło z Dehnelem. Czytałem kiedyś, że istnieją zwierzęta, ryjówki lub coś równie osobliwego, które podczas mrozów zmniejszają objętość mózgu nawet o piętnaście procent. To jest efekt Dehnela. W internecie można znaleźć mnóstwo takich wiadomości. Jest śmietnikowe żarcie i jest śmietnikowa wiedza.

A mózgi niektórych zmniejszają się niezależnie od temperatury. Ta przypadłość u ludzi jest dobrze znana i ma rozmaite nazwy. Z taką myślą zasnąłem.

22

Obudził mnie telefon od Maciejewskiego.

– Masz coś? – zaczął bez zbędnych wstępów.

– Nic. Dopiero się rozkręcam. – Ziewnąłem. – Miałem niespodziewaną przygodę.

Powiedziałem mu o podpalonych drzwiach. Oraz o tym, że zostałem włączony do poszukiwań Inkwizytora. Szczegóły planu stworzonego przez Grzywę zostawiłem dla siebie.

– No to ja mam kilka wieści dla ciebie. Porozmawialiśmy raz jeszcze z sąsiadką Grubasa. Zapytałem ją, czy ktoś odwiedził dziennikarza w dniu katastrofy. Potwierdziła, że ktoś był, minęła się z nim na schodach. Pokazaliśmy zdjęcie Jacka Kosa. Rozpoznała obrońcę, który gra teraz w drużynie Pana Boga.

Odruchowo zacisnąłem pięść. A więc zrobiliśmy krok do przodu. Z takich niewielkich postępów składa się sprawę do kupy. Z niechęcią pomyślałem o spektakularnej akcji w Zabrze zaplanowanej na dziś.

– Prześwietlamy Grubasa. Sprawdziliśmy połączenia telefoniczne, ale bez większego efektu. W tamtą sobotę, gdy wyjechał do Sandomierza, ktoś dzwonił do niego, ale nie namierzyliśmy numeru. Takich połączeń nie do zweryfikowania było zresztą więcej. Rzuciliśmy też okiem na bilet kolejowy, który miał w kieszeni. Grubas był na twojej ziemi.

Podał mi datę, kiedy dziennikarz przyjechał do Katowic. Zanotowałem ją na menu z pubu „Return”.

– Pomyślałem o czymś – przerwałem Maciejewskiemu. – Załóżmy, że Kos zostawił w Warszawie coś na przechowanie. Sprawdź tę kartkę z datami śmierci chłopaków i nazwiskiem Olczyka. Spróbuj ustalić, czy pisał to Grubas.

– Już to zrobiłem – odpowiedział aspirant. – To nie jest pismo Grubasa. Nie ma wątpliwości.

Ponownie zacisnąłem pięść. Musiałem przyznać, że Maciejewski jest naprawdę dobry.

– Jest jeszcze jedna sprawa. – W jego głosie wyczułem nerwowość. – Ktoś zaczyna chodzić wokół tej sprawy. Ktoś z innych służb. Na razie nie wiem, kto to jest. W każdym razie bardzo zainteresował się kawałkiem ludzkiej skóry. Wypytywał w naszym laboratorium kryminalistycznym.

To nie wróżyło dobrze. Jeśli do sprawy wkroczą koledzy od trzech literek, z CBS albo ABW, sprawa skomplikuje się jeszcze bardziej. Nie mówiąc o tym, że i tak często traktują nas jak swój prywatny folwark. A potrafią mniej, niż im się wydaje. Za to są mistrzami w przypisywaniu sobie cudzych zasług i ustawiają się w pierwszym szeregu po wyróżnienia i ordery.

– Spróbuję coś z tym zrobić – powiedziałem bez większego przekonania. Nie chciałem, by Maciejewski stracił impet, z którym wkroczył w śledztwo. – Swoją drogą, czy wiemy coś o tej skórze?

– Nasi specjaliści oceniają ją na jakieś osiem, może dziesięć lat. Wszystko zależy od warunków, w jakich była przechowywana. Zdjęta z mężczyzny. Tyle wiem.

Skończyliśmy rozmowę, ale nie odłożyłem telefonu. Zadzwoiłem do Gawlika. Opowiedziałem o zabójstwach sprzed lat oraz o tym, że sprawa ma związek z naszym terenem. Wysłuchał mnie cierpliwie, zadał kilka rozsądnych pytań, udzielił kilku rad. Odetchnąłem z ulgą. Miałem jego wsparcie. Mogłem działać.

Nadeszła pora, by stworzyć dla śledztwa ścianę przeciwpożarową. Zwłaszcza jeśli ktoś miał przy niej majstrować brudnymi paluchami. Wybrałem numer Krygiera bez większej nadziei, że odbierze. Przepracowaliśmy razem całe lata w Katowicach. To on był moim szefem, gdy namierzyłem Inkwizytora. Lepszego zwierzchnika nigdy nie miałem i nic nie wskazywało, by miało się to zmienić. Zasługi Krygiera zostały należycie docenione i od pewnego czasu przebywał na salonach komendy głównej w Warszawie.

Cuda jednak się zdarzają. Mój były szef odebrał po kilku sygnałach.

– Mów szybko – powiedział szeptem. – Jestem na konferencji w sprawie zabezpieczania stadionów podczas dużych imprez. Sam rozumiesz, jaki to fascynujący temat. Zaczyna się szaleństwo związane z mistrzostwami.

Rozumiałem go dobrze. Wyjaśniłem sprawę najkrócej, jak się dało. Nie zadawał niepotrzebnych pytań.

– Dobra, Hipis. Będiesz miał moje wsparcie. Oczywiście w granicach rozsądku. W razie kłopotów, dzwoń.

W granicach rozsądku. Krygier w Warszawie był już nie tylko policjantem, lecz także dyplomata. Ta deklaracja jednak mi wystarczała. Dawała gwarancję, że nie stracimy kontroli nad śledztwem. I o to chodziło.

Następnie zadbałem o nowe drzwi. Udało się dopiero przy trzecim telefonie. Cena znacznie różniła się od tej, którą podano na stronie internetowej. Nie dyskutowałem. Nie wyklócałem się o swoje. Najczęściej zresztą nie wypadam dobrze w tej roli. W zwykłych życiowych sytuacjach mój dar przekonywania ludzi sprawdza się tak sobie. Na pierwszym lepszym bazarze by mnie sprzedali i zjedli żywcem.

Wziąłem prysznic. Z niechęcią spojrzałem na wyświetlacz. Musiałem się zbierać, a magika od drzwi nie było. Akcja w Zabrzu wydawała mi się coraz bardziej absurda. Policyjny Monthly Pyton. Szanse, że Urbaniak pojawi się, by dać Kolbie ostatnie namaszczenie, były niemal równe zeru. Poza tym dlaczego miałby zjawić się dziś, tak od razu? Inkwizytor działa ostrożnie. Sprawdziłby najpierw teren i dopiero uderzył. Chociaż, z drugiej strony, jeśli rzeczywiście widziano go przy cmentarzu, to znaczy, że popełnia błędy. Jak każdy.

Zapukałem do sąsiada. Wyjaśniłem, w czym rzecz. Zostawiłem klucze i pieniądze. Poprosiłem, by uważał, co się dzieje, a szczególnie przypilnował, aby nikt z przysłanej ekipy nie dotykał mojej gitary. Sąsiad potakiwał, a strach i zaciekawienie krzyżowały się w jego spojrzeniu i gestach.

– Dobrze, że pana syn wyjechał na studia.

Widocznie kiedyś musiałem mu o tym powiedzieć. W jego głosie pobrzmiwała źle skrywana nadzieja, że być może wyprowadzę się i będzie bezpiecznie. Okazało się, że mieszkanie z policjantem drzwi w drzwi jest niczym igranie z ogniem.

Zbliżałem się do Zabrza, gdy coś zrozumiałem. Bilet kolejowy Grubasa. Odtworzyłem w pamięci rozmowę z Maciejewskim. Nie,

o pomyłce nie mogło być mowy. Wybrałem numer do ojca. Tym razem odebrał. Musiał wracać do Niemiec, zresztą w Polsce miał dość wrażeń. Zaczął opowiadać o tym, jak składał zeznania w Sandomierzu, ale nie zamierzałem tego słuchać.

– Pamiętasz – przerwałem mu – jak spotkaliśmy się pierwszy raz w centrum Katowic? Spóźniłeś się wtedy na spotkanie. Trochę mnie to zdziwiło. Niemiecka punktualność, poza tym zależało ci, a jednak spóźniłeś się...

Nic nie powiedział. W tle usłyszałem ostry dźwięk gwizdka i krzyki. Joseph zapewne był na treningu.

– Powiem ci, dlaczego się wtedy spóźniłeś. – Skręciłem w prawo i minąłem klinikę kardiochirurgii. – Byłeś umówiony z Grubasem. Nic nie powiedziałaś o tym spotkaniu...

– Czekałem na niego, ale nie spotkaliśmy się. Dlatego się spóźniłem. To on chciał rozmawiać. A później... Później już nie wiedziałem, jak ci o tym powiedzieć.

– A do tej rozmowy potrzebny był ci nóż?

Dotarłem na miejsce. Minąłem bramę i znalazłem parking. W jednym z samochodów dostrzegłem drzemiącego mężczyznę. Nie miałem wątpliwości, kim jest ten facet. Stałem z włączonym silnikiem i rozglądałem się wokół.

– Piękny myśliwski nóż – ciągnąłem. – W sam raz, by zdjąć z kogoś skórę. Albo poderznąć komuś gardło. Co robiłeś w sobotę, gdy zabito Grubasa?

– Oszalałeś, Rudolf! – Ojciec podniósł głos. – Co to ma być? Przesłuchanie?

Żebyś wiedział.

– Posłuchaj – uspokoił się – ten nóż... Noszę go od pewnego czasu... Dzieją się dziwne rzeczy, ale...

Usłyszałem kilka sygnałów, połączenie zostało przerwane. Próbowałem zadzwonić jeszcze raz. Od razu włączyła się automatyczna sekretarka. Wyłączył komórkę. Albo mu padła.

Zgasiłem silnik. Dlaczego Joseph nie powiedział mi o niedoszłym spotkaniu? Co on ukrywa? I dlaczego Grubas chciał się z nim spotkać? O ile jest to prawda.

Coraz więcej przemawiało za tym, że samobójcza śmierć Jacka Kosa była dla ojca tylko pretekstem, że tak naprawdę powód jego przyjazdu był inny. Jaki? Tego nie wiedziałem. Kurwa, przyjeżdża taki po latach i nawet wtedy nie może zdobyć się na szczerłość. Niebywałe.

Na pozór życie w klinice toczyło się jak każdego dnia. Jednak gdy zgłosiłem się do recepcji i pokazałem legitymację, recepcjonistka obrzuciła mnie nerwowym spojrzeniem, bez zastanowienia skierowała na drugie piętro, a następnie sięgnęła dłonią pod biurko. Zapewne nacisnęła przycisk informujący policyjną ekipę o przybyciu gościa.

Ruch na korytarzu nie zamarł. Utrzymano pozory szpitalnej normalności. W akcję wtajemniczona była dyrekcja kliniki, a lekarze i pielęgniarki krążyli po korytarzach w błogiej nieświadomości tego, co mogło nastąpić.

Wszedłem na drugie piętro i skierowałem się do krótszego skrzydła. Popatrzyłem na sufit. Gdzieś powinny znajdować się kamery. Pomachałem ręką na wszelki wypadek. Za przeszklonymi drzwiami znajdowały się tylko cztery pomieszczenia. Kolba leżał w skrajnym pokoju po lewej stronie. Na razie nie mogłem nic

zarzucić tym, którzy odpowiadali za tę operację. Odizolowana przestrzeń w rogu budynku, na najwyższym piętrze, stanowiła idealną lokalizację, w razie gdyby rzeczywiście doszło do jatki, pojawiły się komplikacje i zakładnicy. Szturm rozpoczyna się najczęściej właśnie z góry. Takie są reguły tej gry. Byłem pewien, że dwa pokoje po lewej stronie są połączone. W jednym leży dziennikarz pogrążony w śpiączce, w drugim znajduje się centrum dowodzenia. Z pomieszczeń po prawej stronie przeniesiono pacjentów, by znajdowali się w bezpiecznej odległości od strefy zero.

Wszedłem do pokoju. Grzywa rozmawiał z kimś przez krótkofalówkę. Kulesza siedział z nogami wyciągniętymi na krześle i wpatrywał się w monitor. Wywiadowca, którego wczoraj poznałem, stał przy oknie i obserwował wejście do kliniki.

– Jak tam? – zapytałem Grzywę, gdy skończył rozmawiać.

– Najpierw była nawałnica dziennikarzy. Dwie telewizje i gazeta dobijały się, ale odprawiliśmy ich. Niecałą godzinę temu zadzwonił jakiś facet i dopytywał się o Kolbę. Mówił, że jest jego starym znajomym. Nie podał nazwiska.

Dopiero wtedy spojrzałem na łóżko stojące przy ścianie. Kolba wyglądał jak bohater filmu science fiction. Podłączony był do respiratora regulującego oddech. Kardiomonitor rejestrował pracę serca. Na palcach dziennikarz miał zaciśnięte klamry. To urządzenie nazywa się chyba pulsoksymetrem. Jeśli wysysanie tlenu utrzymuje się na poziomie co najmniej dziewięćdziesięciu procent, to jest dobrze. W przeciwnym razie pacjenta może czekać szybki kurs w zaświaty. Poniżej jabłka Adama tkwiła rurka tracheostomijna. Na powiekach Kolby leżały zwilżone gaziki i to one sprawiały, że

dziennikarz wyglądał, jakby był nie z tego świata. Wiedziałem, do czego służą. Najwyraźniej istniało ryzyko odklejenia się powiek, które mogło prowadzić do owrzodzenia twardówki. Przeszedłem całkiem niezły kurs medycyny. Częściowo na własnej skórze, częściowo na innych ciałach żywych. A także martwych.

Wszyscy wiedzą, że w takich wypadkach najgorsze jest czekanie. Zamieniłem kilka zdań z Kuleszą oraz wywiadowcą. Odbyliśmy niezobowiązującą rozmowę o niczym. Czekaliśmy. Przez kanał policyjny spłynęło kilka nieistotnych komunikatów. O czternastej monitor zaszedł mgłą, a po chwili na ekranie pojawiły się czarne oraz białe paski. Kulesza zaklął i wyszedł z pokoju.

Kwadrans później usłyszeliśmy wiadomość, która poderwała Grzywę na nogi.

– Coś zaczyna się dziać. – Usłyszeliśmy. – Pojawił się facet od przeglądu specjalistycznego sprzętu medycznego.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Raz na jakiś czas krążą po klinikach inżynierowie sprawdzający stan respiratorów, pomp infuzyjnych, defibrylatorów, ssaków próżniowych oraz całej reszty, o której istnieniu nie mam pojęcia.

– Ale kilka minut później – ciągnął głos – zadzwonił przedstawiciel firmy dokonującej napraw i przeglądów. Powiedział, że jego człowiek jednak dzisiaj nie dotrze. Chciał umówić się na inny termin. Mamy w budynku intruza.

Grzywa popatrzył na mnie.

– Jak wygląda ten facet?

– Szczupły. Koło pięćdziesiątki. Szpakowaty.

To mógł być on. Mógł tak wyglądać. Mógł też od czasu ucieczki zmienić wygląd sto razy. Ale niczego już nie byłem pewien.

Rozejrzałem się za butelką z wodą mineralną. Miałem spierzchnięte usta. Nie chciało mi się wierzyć, że Inkwizytor zdobędzie się na taki ruch. Ale on mógł myśleć podobnie. Komu przyszłoby do głowy, że odważy się wtargnąć do kliniki?

– Obiekt kieruje się na drugie piętro. – Usłyszałem w krótkofalówce, którą trzymał wywiadowca. – Ma ze sobą skrzynkę.

Grzywa odbezpieczył broń, ja uczyniłem to samo. Wywiadowca przywarł do ściany. W wyludnionym skrzydle każdy krok brzmiał wyraźnie. Nie było wątpliwości, że ktoś się zbliża. Usłyszałem delikatny szmer, jakby ktoś przywarł do drzwi i nasłuchiwał. W takich momentach najważniejsze jest to, by nie popełnić falstartu. By poczekać do końca. Nigdy nie wiadomo, na kogo trafi się po drugiej stronie. Czasami będzie to niegroźny wariat, a niekiedy szaleniiec obwieszony granatami.

Wywiadowca spojrział na Grzywę. Komisarz skinął głową. Policjant na palcach lewej dłoni zaczął odliczanie. Jeden. Dwa. Trzy. Szarpnął za klamkę. Mężczyzna stojący na progu zachwiał się. Grzywa pociągnął go do środka i powalił na podłogę. Skrzynka z łoskotem potoczyła się po pokoju. Facet jęknął i odwrócił głowę.

Oczy, które się w nas wpatrywały, nie miały stalowego odcienia. Nie było w nich przestrachu. Mężczyzna patrzył na nas drwiącym spojrzeniem, nic nie robiąc sobie z tego, że skierowane były w niego dwie lufy pistoletów. Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi. Ten facet nie był poszukiwanym seryjnym mordercą. Ale gdzieś go już widziałem. Krótkie włosy na jeża, pod rozdartą koszulą kamizelka kuloodporna. Kowbojki w cętki, dzinsy przypominające

dekatyzowane spodnie z Turcji z lat osiemdziesiątych, a przy pasku kajdanki. Skąd się wzięłeś, frajerze?

Mężczyzna usiadł na podłodze i rozcierał czoło. Popatrzyłem na Grzywę. Komisarz poczerwieniał na twarzy, a szczęki drgały mu niebezpiecznie. Brakowało nam Freddiego do towarzystwa. Zaśpiewałby *We Are the Champions*. Jesteście mistrzami, chłopaki, popatrzyłem na policjantów. Ale ja chcę się trzymać od was z daleka.

– Jacek Fortunny – wycedził Grzywa. – Sam Jacek Fortunny postanowił nas odwiedzić. Co tu robisz, Farciarz? – warknął.

Mężczyzna podniósł się z podłogi. Bezczelny uśmiech nie schodził z jego twarzy. Wyglądał jak Joker.

– Tak myślałem – wysapał – że to ściema. Kolejna policyjna podpucha.

Przed nami stał Jacek Fortunny, zwany Farciarzem. Kiedyś policjant, a od mniej więcej dziesięciu lat prywatny detektyw. Skandalista i bohater prasy kolorowej. obrońca pokrzywdzonych i pierwszy krytyk bezdusznego, niewydolnego wymiaru sprawiedliwości. Do pokoju wszedł Kulesza. Spojrzał na przybysza i zaklął pod nosem.

– Na łowy się przyjechało, co? – Grzywa nie zapanował nad sobą. Pchnął detektywa w kierunku łóżka, w którym leżał Kolba.

– Sporo płacicie za tego pojeba. – Fortunny wzruszył ramionami. – Dlaczego miałbym nie przygarnąć tych pieniędzy? Zresztą – popatrzył na nas – możemy zrobić *deal*. Wymiana informacji jak między starymi kumplami, a kasa pół na pół. W końcu jedziemy na tym samym wózku.

Dyszał i wypluwał te zdania niczym spocony raper. Takim ludziom nie podaje się ręki. Chyba że ktoś lubi wilgotny uścisk potu, korupcji i interesów pod stołem. Łowcy głów to nowa specjalizacja w światku polskich detektywów. Rocznie wystawia się dwadzieścia pięć tysięcy listów gończych. W najprzeróżniejszych sprawach. Są w tej grupie mafijni bonzowie, a także tacy, którzy uporczywie unikają widoku sędziego. Przypadki takie jak Inkwizytor to wisienki na torcie. Tak czy inaczej łowcy na brak zajęcia narzekać nie mogą.

Farciarz popatrzył na łóżko i pokiwał głową.

– Tak jak myślałem. Gość ani drgnie. Znieczulony jak Królowna Śnieżka. Przejrzałem was. Kogo chcieliście nabrać?

Podszedł do Grzywy.

– Na dole są moi ludzie. I zaprzyjaźniony dziennikarz. Powiem mu, jakie z was hieny. Uczyniliście z tego kolesia w śpiączce – wskazał na Kolbę – przynętę. Żywą tarczę. A wszystko po to, żeby zaspokoić swoje ambicje. Chyba że – zawiesił głos – jakoś się dogadamy.

Kulesza nie wytrzymał. Dopadł do Fortunnego i błyskawicznym ruchem wykręcił mu rękę. Farciarz zawył z bólu. Twarz detektywa znajdowała się przy łóżku Kolby.

– A teraz pstrykniemy ci fotkę! Zrób zdjęcie – krzyknął do wywiadowcy, który sięgnął do kieszeni i wyjął komórkę. – Media dostaną historyjkę o bezwzględnym detektywie, który postanowił wymusić zeznania na dziennikarzu. A ten dostał zapaści. Zanim to odkręcisz, będziesz skończony! A za chwilę – szarpnął Fortunnego za włosy – dojdzie ci zarzut czynnej napaści na policjanta.

Kulesza pchnął detektywa na podłogę. Pracowaliśmy tyle lat, ale nie znałem go z tej strony. Jednak warto było wziąć udział w akcji.

Aspirant Kulesza. Mistrz czarnego PR-u.

Fortunny pozbierał się i wrócił do pionu. Coś podpowiadało mi, że powinien wystrzegać się kolejnego spotkania z podłogiem. I on najpewniej myślał podobnie. Poprawił kołnierzyk rozdartej koszuli, jakby w ten sposób chciał odzyskać resztkę nadszarpniętej godności.

– Gorzko tego pożałujecie – wycedził przez zęby. Po uśmiechu na jego twarzy nie pozostał żaden ślad. Farciarz już nie przypominał Jokera.

– Z pewnością. – Kulesza roześmiał się. – I zabieraj ze sobą to gównno! – Cisnął pod nogi detektywa skrzynkę, w której znajdowały się zapewne pluskwy i inna aparatura podsłuchowa.

Gdy już wyszedł, popatrzyłem na moich kolegów po fachu. Wyglądali jak niedobitki. Wygrali bitwę, ale przegrali wojnę. Postanowiłem pozostawić ich w takim stanie.

– Na mnie już czas – powiedziałem.

Nikt nie zaprotestował. Podeszedłem do Kuleszy i poklepałem go po ramieniu. Zasłużył na to. Tylko on z całego towarzystwa.

Wróciłem do domu. Nowe drzwi były już wstawione. Sąsiad oddał mi klucze i poprosił o pięćdziesiąt złotych, które dopłacił z własnej kieszeni. Podczas montażu pojawiły się komplikacje i koszty wzrosły. Ciężko westchnąłem i sięgnąłem do portfela.

Myślałem, że dzień miał się już ku końcowi. Myliłem się jednak. Zbliżała się ósma, gdy zadzwonił do mnie Gawlik. Nie zająknął się na temat brawurowej akcji w klinice w Zabrze. Domyślałem się, co musiał myśleć. Ale nie współczułem mu.

– Powiedziałem ci, Hipis, że nie odpuścimy tego podpalenia. Sprawdziliśmy tę butelkę po podpałce, tę, którą znaleźliśmy na klatce.

– Założę się, że znaleźliście odciski palców. – Dym z chesterfielda ułożył się w kółko i wzniósł pod sufit.

– Nawet wzorcowe odciski – powiedział. – Nie należały do żadnego z twoich sąsiadów.

– A do kogo? Mam zgadywać? Dajesz mi trzy strzały?

– Ułatwię ci to. Należały do pewnego młodego człowieka, który dokonał rozboju, dobrowolnie poddał się karze, a potem wiódł prawe życie. Do czasu... W niektórych kręgach wołają na niego Krasnolud. Znasz takiego?

Przypomniałem sobie salkę z zawodnikami ćwiczącymi MMA oraz wyprawę do Piekar Śląskich. Krasnolud? Nie, nic mi to nie mówi.

– I tu – Gawlik westchnął – zaczyna się najciekawsza część opowieści. Chcieliśmy zatrzymać chłopaka, ale okazało się, że jest w szpitalu. Ma złamane obie ręce. Twierdzi, że miał wypadek, ale lekarze nie mają wątpliwości. Ktoś go tak urządził. Nie wiesz, Hipis, kto mógł mieć takie wejście smoka? Masz jakieś typy? Teraz mogą być twoje trzy strzały.

Wejście smoka. Nikt nie przychodził mi do głowy. Gawlik wydawał się niepokieszony.

– W najbliższym czasie Krasnolud nie przypalił sobie nawet papierosa.

Skończyliśmy rozmowę. Kusiło mnie, aby wykonać jeden telefon, ale dałem spokój.

Szybko zasnąłem. Przyśnił mi się Joseph. Stał w barze z kebabem i myśliwskim nożem odkrajał skwierczące mięso. A potem przeniosłem się w okolice pubu „Return”. W moim kierunku biegła dziewczyna z kitką. Zatrzymała się tuż przede mną. Powiedziała, że

na kortach Legii gra słynny amerykański tenisista i że oklaski, które słyszę, przeznaczone są właśnie dla niego.

23

Prawdziwe wejście smoka nastąpiło kilkanaście godzin później. Siedziałem w komendzie i bezskutecznie próbowałem odszukać policjantów, którzy w 1991 roku zajmowali się zabójstwem Krzysia Letniego. W pewnym momencie wkroczyło trzech mężczyzn. Dwaj po bokach mieli w sumie tyle lat co ja, nosili garnitury i wyglądali, jakby właśnie wyszli od fryzjera. Do tego, który stał w środku, mogliby się zwracać „tato”. Mężczyzna szeroki jak szafa stanął przy moim biurku i z niesmakiem rozglądał się po klitce zawalonej papierami. Jego łysina lśniła w promieniach słońca wpadających przez okno, a głębokie bruzdy na czole upodobały go do starego hipopotama. Ubrany był w dżinsową kurtkę, która z pewnością się nie dopinała. W pewnym wieku i przy pewnych zasługach można pozwolić sobie na chodzenie w takim wdzianku. Młodzi wpatrywali się chciwym spojrzeniem w ekran mojego laptopa, jakby spodziewali się, że przyłapią mnie na oglądaniu filmu porno. Domyślałem się, że traktowali tę wizytę jak egzotyczną przygodę i wesoły przerywnik w pracy.

– Zapewne komisarz Heinz – hipopotam przemówił głębokim basem.

– Istotnie. A pan?

Rzucił legitymację na stół. Cicho zagwizdałem. Gość z Warszawy. Z instytucji na trzy litery. I cholernie wysoko usytuowany

w hierarchii dziobania.

– Może mi pan podać rękę? – zapytałem. – Rzadko rozmawiam z takimi szychami jak pan. Nie umyję dłoni przez następny tydzień.

– Musimy porozmawiać, komiku – warknął mężczyzna. – Mamy zarezerwowany pokój konferencyjny, bo tu – rozejrzał się – nie ma warunków. To, że rozmawiamy na pańskim terenie, jest aktem mojej dobrej woli.

Byłem wzruszony. Nie wiedziałem, jak mam mu dziękować.

– Pan naprawdę nazywa się Marchwicki? – wymieniłem nazwisko widniejące w legitymacji. – Czy to pański pseudonim artystyczny?

– Nie do wiary, co?

Mieć nazwisko jak najszynniejszy polski seryjny morderca i pracować w takich służbach to prawdziwa ironia losu. I powód wiecznych uśmieszków oraz dowcipów. O ile ktoś miał odwagę, by sobie na nie pozwolić.

Wstałem zza biurka.

– No to chodźcie, chłopaki – zwróciłem się do młodych. – Wasza wizyta zapiera mi dech w piersiach. Chyba na śniadanie zjedliście za dużo czosnku.

Spojrzeli po sobie, a potem popatrzyli na mnie. Czułem, że upłyną lata świetlne, zanim się polubimy.

Ruszyliśmy do salki. Odwróciłem się. Trzej faceci za mną przypominali klucz samolotów. Dwóch po bokach i jeden na szpicy. Pewnie zmiotliby wszystko, co się rusza, pod ściany, gdyby akurat ktoś przechodził korytarzem. Szczęśliwie byłem jedynym świadkiem tego pokazu siły.

Usiadłem przy stole, a Marchwicki znalazł się najbliżej mnie. Młodzi rozsiedli się przy drzwiach. Na wszelki wypadek, gdybym

próbował uciec.

– Widzę, że nigdy nie siada pan tyłem do wejścia – zagadnąłem. – Nawet w takim miejscu.

Zmierzył mnie spojrzeniem. Być może nie pasowałem mu do obrazu, który sobie wcześniej stworzył.

– Pan wie, dlaczego się spotykamy?

Kiwnąłem głową. Wiedziałem.

– Sprowadza pana skóra mężczyzny sprzed dziesięciu lat. Jest pan fetyszystą?

Zacisnął palce na potężnych udach i pochylił się do przodu.

– Opowiem panu pewną historię, dowcipnisiu. Słyszał pan o aferze pedofilskiej na Dworcu Centralnym, prawda? Każdy dureń słyszał, więc tym bardziej człowiek tak błyskotliwy jak pan...

Trudno nie znać sprawy, którą żyła cała Polska. Kilka lat temu rozbito gang pedofilów na dworcu w Warszawie. Wyłapywano chłopców, którzy uciekli z domu, potrzebowali kasy lub po prostu szukali przygody. A następnie wpychano ich w ręce kulturalnych zamożnych panów. Miasto i prasa huczały od plotek. Wśród podejrzanych byli ludzie ze świecznika. Duchowny, dyplomata, terapeuta, reżyser filmowy, sportowiec. Ale im bliżej był proces, tym bardziej wydawało się, że sprawie ukrecono łeb. Na sali sądowej znaleźli się drugorzędni sutenerzy, a ci z pierwszych stron gazet jakoś uszli cało. Ktoś już zadbał o to, by ich nazwiska nie wypłynęły. Domyślałem się, jak to się stało.

– Zamietliście sprawę pod dywan – powiedziałem. – A kilkoma podejrzanymi dżentelmenami zajęły się służby specjalne i złożyły im propozycję nie do odrzucenia...

– Nie będę komentował pańskich fantazji. – Marchwicki rozsiadł się wygodniej. Ciekawe, ile godzin w tygodniu ten facet spędza na siłowni. – Owszem – mówił dalej – zainteresowała mnie znaleziona na Powiślu skóra. I szczegóły związane z jej pozyskaniem. Chodzi mi o zabójstwa tych chłopców...

– Zajmujemy się tą sprawą – powiedziałem. – Mam nadzieję, że po latach...

– Nic z tego. – Nie pozwolił mi dokończyć. – Tą sprawą zajmę się osobiście.

– Dlaczego?

Sapnął, jakby zbierał siły do dalszej opowieści. W sumie nie musiał mi niczego tłumaczyć. Ale najwyraźniej chciał.

– Był rok 2002. Prowadziliśmy śledztwo w sprawie gangu na dworcu. Jeden z naszych najlepszych wywiadowców przeniknął do tamtego środowiska i zdobył zaufanie ludzi, którzy nie zaufaliby rodzonej matce. Ale nagle znikł. Po trzech tygodniach ciało znalazł jakiś wędkarz w okolicach Kanału Żerańskiego. Nasz człowiek...

– Został oskórowany. – Tym razem ja byłem szybszy.

Próbował wbić mnie w ziemię ciężkim, zmęczonym spojrzeniem.

– Zabójca poderznął mu gardło. I zdjął skórę z czoła. Sprawdzaliśmy wszystkie poszlaki. Nawet taką, że wywiadowca mógł paść ofiarą religijnego szaleńca.

Popatrzyłem na niego ze zdziwieniem.

– Miał na imię Bartek. I tak za dużo panu mówię... Wie pan, jak skończył święty Bartłomiej?

Nie trzeba było wiedzieć. Wystarczyło trochę wyobraźni.

– Został oskórowany. Nigdy nie ustaliliśmy sprawcy. I nagle dostałem sygnał, że pojawiła się ludzka skóra. Zdjęta z mężczyzny.

Czas także mniej więcej się zgadza. A w tle pojawiają się nastoletni chłopcy.

Wiedziałem, że zbliżamy się do decydującego momentu rozmowy. Ktoś wygra, a ktoś przegra. Innej możliwości nie było.

– Co zatem pan proponuje? – zapytałem.

– Zostawi pan, komisarzu, tę sprawę. Zajmą się nią moi ludzie. To jest inna liga niż ta, w której pan gra. – Pochylił się w moim kierunku, jakby w ten sposób chciał podkreślić ostatnie zdanie.

Musiałem coś zrobić. Albo poddać się, albo działać. Wybrałem drugie rozwiązanie. Poderwałem się i z całej siły trzasnąłem go dłońmi w obojczyk. Myślałem, że runie wraz z krzesłem do tyłu, ale zachował równowagę. Młodzi zerwali się i patrzyli na szefa, w każdej chwili gotowi wkroczyć do akcji.

– Lubię goliznę – wskazałem palcem na wygoloną czaszkę Marchwickiego – ale nie taką! Mówiąc o swoich ludziach, masz na myśli tych dwóch szczawi? – Kiwnąłem głową w stronę drzwi. – Oni co najwyżej mogą wpisać do swojego CV, że spotkali się dziś ze mną!

Jeden z młodych ruszył w moim kierunku. Nie rób tego, synek, pomyślałem. Drżałem z wściekłości. Każdy kaftan bezpieczeństwa rozerwałbym na strzępy.

Marchwicki siedział bez ruchu i patrzył mi w oczy. Wreszcie podjął decyzję.

– Okej – powiedział. – Okej – powtórzył i wykonał ruch dłonią. Młody wrócił do narożnika niczym skarcony psiak. – Potrafi pan dopiąć swego.

Sięgnął do kieszeni, wyjął z niej wizytówkę i rzucił na stół. Ten gest nie sprawił mu przyjemności. Ani mnie.

– Proszę robić swoje. – Zabrzmiało to jak rozkaz. – Chcę być regularnie informowany o tym, co się dzieje w tej sprawie. Wtedy zobaczymy, co dalej. Od tej chwili żarty się skończyły. Rozumiemy się?

Nie oczekiwał odpowiedzi. Wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Ten wasz zamordowany człowiek – zawołałem za nim. – Spartolił pan wtedy tę sprawę czy chodzi o względy osobiste?

Nie odpowiedział. Nawet nie drgnął. Wyszedł, a ja jeszcze długo słyszałem na korytarzu oddalające się kroki. Moje tętno powoli wracało do normy. Otarłem twarz, chociaż nie byłem spocony. Szukam zabójcy sprzed lat i to samo robi Marchwicki. Dlaczego on, przy swojej pozycji, zajmuje się morderstwem sprzed ośmiu lat? A dlaczego ja sam zająłem się zabójstwami chłopców? Dobre pytanie. Bo sprawy zaszły za daleko. Bo nie miałem wyboru. Być może ten mężczyzna, przed którym podwładni trzęsą się ze strachu, także go nie miał.

Połączyłem się z Sosnowcem. Żaden z policjantów nie był w stanie mi pomóc. Ci, którzy pracowali przy zabójstwie chłopca, byli już na emeryturze. Jeśli przyjąć optymistyczny bieg zdarzeń w ich życiu. Zanotowałem adres rodziców Letniego bez większej nadziei, że ich tam odnajdę. Po takich przejściach ludzie często wyprowadzają się, by zerwać wszelkie więzi z tragedią, która ich dotknęła. By zacząć żyć na nowo. I prawie nigdy ta rozpaczliwa próba się nie udaje. Nie było powodu, bym teraz ich odwiedzał i wywoływał demony przeszłości. Ważniejszy mógł być natomiast inny kontakt. Zapisałem numer do domu kultury, w którym chłopiec odbył ostatnią próbę teatralną. Zadzwoiłem tam. Nie, tamten

instruktor już od lat u nas nie pracuje. Podać panu adres? Bardzo proszę.

I tak znalazłem się w Tychach. Lubię to miasto. Na Śląsku są takie miejsca, które kurczą się w sobie i zastygają. Trwają siłą inercji, choć ogłoszono już wyrok. Są też takie, które prą do przodu. Tychy zaliczają się właśnie do takich ośrodków. A poza tym cenię genialną prostotę wpisaną w dzieje miasta. Każde nowe osiedle nazywano kolejną literą alfabetu.

Instruktora Tomasza Borzyma spotkałem w sali prób, gdy kończył zajęcia z grupą dziecięcą. Cierpliwie czekałem, aż porozmawia z rodzicami wypytującymi o postępy swoich pociech. Gdy w sali ucichło, podszedłem i pokazałem legitymację. Zdawało mi się, że jakiś cień smagnął twarz mężczyzny.

– Chodźmy do mojego pokoju – powiedział cicho Borzym. – Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Pokój okazał się zwykłą rupieciarnią wypełnioną rekwizytami teatralnymi. Na podłodze walały się maski zwierząt oraz sztuczne kwiaty, a na wieszakach wisiały kostiumy. W rogu stał manekin, a na stole leżały dzienniki zajęć. Borzym był filigranowym pięćdziesięciolatkiem. Zauważyłem, że się garbi, a to powodowało, że wydawał się jeszcze niższy. Być może przebywanie wśród tylu rupieci i konieczność nieustannego pochylania się sprawiły, że wykształcił w sobie taki odruch.

Wy tłumaczyłem mu, jaki jest cel mojej wizyty.

– Krzyś Letni nie wrócił do domu po próbie. Miał grać w przedstawieniu. Proszę przypomnieć sobie wszystko, co pan pamięta.

– Krzyś miał grać, to prawda. Ale co tam z niego za aktor. – Borzym machnął ręką.

Instruktor wsparł twarz na dłoni, zapatrzył się w kąt pokoju i zaczął mówić. Przygotowywali wtedy *Chłopców z Placu Broni*. Letni dołączył do grupy dopiero pod koniec, pojawił się na trzech ostatnich próbach, ale radził sobie dobrze. Łapał wszystko, co trzeba. Tamtego dnia przygotowywali się do premiery. Ostatni szlif. Wszystko przebiegło bez zakłóceń. Czy chłopiec wyszedł z domu kultury sam, czy ktoś mu towarzyszył? Tego instruktor nie wiedział.

– Wie pan, co było najgorsze? – Borzym wreszcie spojrzał na mnie. – Miałem wrażenie, że policja mnie podejrzewała. Uważali, że mam coś wspólnego ze śmiercią tego biednego chłopca.

Rozumowali całkiem poprawnie. Mordercy trzeba szukać w najbliższym otoczeniu.

– I dlatego, z powodu tych podejrzeń, przeniósł się pan do Tychów?

– Ta historia ciążyła nade mną, chociaż nie miałem z nią nic wspólnego. A tutaj odżyłem – potwierdził. – Poza tym, wie pan, jaka to praca. Najczęściej przygotowujemy okolicznościowe przedstawienia. Tak jak teraz na Dzień Matki. A ja zawsze miałem ambitniejsze plany. Także takie, by w domu kultury wystawiać spektakle dla dorosłych.

Próbował zrobić spektakl o licealistach z Tychów, którzy z nauczycielami poszli w góry i już stamtąd nie wrócili. Pamiętałem dobrze tę sprawę, emocje i proces, w którym oskarżono pedagogów. Życzliwi ludzie odradzili Borzymowi pracę nad przedstawieniem. Wówczas ustąpił. Ostatnio zajął się Ryszardem Riedlem.

– Ryśkiem? – Ożywiłem się, gdy usłyszałem nazwisko bluesowego wokalisty.

– Mieszkam koło przystanku, z którego jeździł do Katowic. Są plany, by postawić tu jego pomnik. A ja chciałbym uczcić go w inny sposób. Za pół godziny – spojrział na zegarek – zaczynam próbę z młodzieżą i dorosłymi. To będzie właśnie ten spektakl o nim. Może chce pan zobaczyć?

Pewnie bym chciał. Może kiedyś skorzystam z zaproszenia. Pożegnaliśmy się. Wsiadłem do samochodu, położyłem ręce na głowie i oparłem się o fotel. Sięgnąłem do schowka z płytami i wyjąłem płytę Led Zeppelin. *The Song Remains the Same*. Być może najbardziej nostalgiczna płyta w dorobku supergrupy. Szkoda, że wspomnienia instruktora wniosły tak niewiele. W sumie niczego się nie dowiedziałem. Równie dobrze mogłem z Borzymem porozmawiać przez telefon.

Rozbrzmiały pierwsze takty *Rain Song*, gdy coś mnie tknęło. Być może jednak dobrze się stało, że tu przyjechałem. Być może warto było tylko dla jednego gestu, który podczas rozmowy wykonał instruktor. Zawróciłem i pojechałem z powrotem w kierunku domu kultury. Jak to się stało, że nie pomyślałem o tym od razu?

Próba do nowego spektaklu trwała w najlepsze. Z głośników dobiegały dźwięki *Listu do M*. Na scenie stała aktorka ze spuszczoną głową. Wyglądała jak upadły anioł. W tle zmieniały się slajdy z panoramą Śląska i dymiącymi kominami fabryk. Instruktor obserwował próbę wsparty o filar. Klepnąłem go w ramię. Zobaczył mnie i zawahał się. Odciągnąłem go na bok, gdy na scenę wkraczały kolejne postaci.

– Mam jeszcze jedno pytanie – wyszeptałem. – Gdy zapytałem pana o Letniego, machnął pan lekceważąco ręką i powiedział, że to nie był aktor.

Borzym patrzył na mnie zdziwiony.

– Bo to nie był aktor.

– To kogo grał ten chłopiec?

– Jak to kogo? Siebie. Pojawiał się w kilku scenach i podbijał piłkę.

24

Pędziłem do Sosnowca. Poszczególne elementy układanki zaczynały tworzyć czytelną całość. Wiedziałem już, jakie skojarzenia przemknęły mi przez głowę, gdy wracałem z Katowic. Facet pod „Biedronką” na moim osiedlu zeskrobujący ogłoszenia w dniu katastrofy smoleńskiej. Był tam anons dotyczący zajęć pozalekcyjnych dla dzieci. I drugi obraz. Osiedle na Powiślu i bawiące się dzieciaki. Byłem pewien, że znalazłem coś, co łączyło zamordowanych chłopców. Byli z dwóch różnych miast, inaczej wyglądali, nie znali się. Ale – byłem gotów założyć się o wszystkie pieniądze, co przyszłoby mi tym łatwiej, że nie miałem ich zbyt wiele – obaj mieli tę samą pasję. Grali w piłkę nożną.

Krzysztof Letni trenował w klubie. To już wiedziałem po drugich odwiedzinach w tyskim domu kultury. Chłopak nie interesował się teatrem. Natomiast z piłką wyczyniał cuda. Jeden z jego kolegów miał występować w *Chłopcach z Placu Broni* w jednej z głównych ról i zaproponował instruktorowi, by Krzysiek dołączył do ekipy teatralnej. Miał pojawić się w trzech epizodach. Milcząca postać podbijająca futbolówkę. To była rola w sam raz dla niego.

Jednak teatr jest teatrem, a piłka to coś zupełnie innego. Policjanci z Sosnowca skupili się na miejscu, w którym chłopaka widziano po raz ostatni. Marian Chyży kierujący grupą specjalną także przeoczył ważny motyw. Domyślałem się nawet, jak to się

odbyło. Czym interesował się państwa syn? Grał w piłkę. Normalne. Jak każdy. Prawie wszyscy w tym wieku kopią futbolówkę i marzą o tym, by być wielkim piłkarzem.

Jeszcze raz spojrzałem na kartkę z adresem w Sosnowcu i pomodliłem się do Ryszarda Riedla oraz wszystkich świętych bluesa, by rodzina Letnich wciąż tam mieszkała. Po drodze minąłem kamienicę, w której znaleziono pielęgniarza z odciętym językiem. Skręciłem w Sienkiewicza, a następnie w Mościckiego. Minąłem pub oraz aptekę i zatrzymałem się pod zapisanym numerem. Spojrzałem na stary budynek pokryty graffiti i upstrzony antenami satelitarnymi. Minąłem kilka szczątkowych krzewów regularnie podlewanych przez miejscowe psy. Wspiąłem się na trzecie piętro i nacisnąłem dzwonek.

Ktoś przyjrzał mi się uważnie przez judasza i dopiero potem uchylił drzwi. Przede mną stał może dwudziestoletni chłopak i taksował mnie spojrzeniem.

– Szukam państwa Letnich. – Mignąłem blachą. – Chciałbym porozmawiać.

– Czy coś się stało?

Starąłem się mówić spokojnie, a jednocześnie stanowczo.

– Chciałbym porozmawiać o Krzysiu. O Krzysiu Letnim.

Chłopak wykonał ruch, jakby chciał zatrasnąć przede mną drzwi. A może tylko tak mi się wydawało. Nerwowo obejrzał się za siebie, ale nikt nie pojawił się za jego plecami. Znowu spojrzał na mnie.

– Proszę wejść. – Wpuścił mnie do środka. – Robię to tylko dlatego, że rodziców nie ma w domu.

Zrozumiałem, że wcześniej obejrzał się, by spojrzeć na wiszący na ścianie zegar.

Bez słowa poprowadził mnie do pokoju i wskazał miejsce na kanapie. Sam usiadł na krześle. Cały pokój zagracało kilka rozbebeszonych komputerów. Na ścianach wisiały oprawione plakaty z serialu *Zagubieni*.

– Studiuję informatykę – wyjaśnił chłopak. – Mama jest nauczycielką, ma zebranie z rodzicami w szkole, a ojciec jeździ teraz na taksówce. Jestem... byłem bratem Krzyśka. Miałem niecałe dwa lata, gdy to się stało...

– Twoi rodzice nie chcieliby ze mną rozmawiać?

Popatrzył na mnie tak, jakby moje pytanie sprawiło mu ból.

– Niech pan im tego nie robi. Oni naprawdę starali się o tym zapomnieć. Do tego stopnia, że bardzo długo zabraniali mi grać w piłkę. Nie chcieli, bym go przypominał. Dlaczego pan do nas przyszedł?

Wy tłumaczyłem mu, że pojawiły się nowe okoliczności i wracamy do tamtej sprawy. Szczegóły są specjalnością każdego zakładu, więc i w tym wypadku pozostawiłem je dla siebie. Potrzebowałem pomocy, by potwierdzić kilka hipotez, i dlatego przyszedłem.

– Postaram się panu pomóc, o ile będę mógł. Sam musiałem prowadzić niemal śledztwo, by dowiedzieć się czegoś o moim bracie. Rodzice wszystko przede mną ukrywali, odgradzali mnie od przeszłości. Jakby bali się, że tragedia może się powtórzyć. Chcieli mnie chronić. Ale w dzisiejszych czasach – pokazał na komputery – nie da się niczego ukryć. Ludzie zamieszczają wspomnienia, nawet po latach... A ja potrafię szukać.

– Zacząłeś mówić o piłce. Twój brat grał w jakimś klubie, prawda?

Chłopak uśmiechnął się.

– Podobno był świetny. Trenował od ósmego roku życia. Nazywali go małym van Bastenem na cześć jakiegoś holenderskiego piłkarza. Pewnie pan go pamięta, bo to nie moje czasy. Mam tu – zaczął grzebać w pudełku – płytę ze zdjęciami, jak Krzysiek grał. Nawet pan nie wie, ile wysiłku kosztowało mnie, by zdobyć te fotografie... Część wykradłem od rodziców z albumu, który trzymają w zamknięciu jak największy skarb, i zeskanowałem. Na szczęście nic o tym nie wiedzą.

– Opowiedz, proszę, wszystko, co wiesz – powiedziałem. – Najmniejszy drobiazg może okazać się istotny.

Zamieniliśmy się miejscami. Usiadłem na krześle. Chłopak zaczął wyświetlać zdjęcia. Były ułożone chronologicznie. Na pierwszych kilkuletni chłopiec w zabłoconej koszulce uśmiechał się do obiektywu, a jego stopa spoczywała na futbolówce. Następnie pojawiły się fotografie z meczów szkolnych. Zdjęcie chłopca w stroju piłkarskim zapowiadało nową sekwencję. Jedno w koszulce z nazwiskiem van Bastena. I cała seria innych. Wpatrywałem się w ujęcia z treningu i nieostre obrazy wykonane podczas meczów. Ręce tryumfalnie uniesione w górę po strzelonej bramce. Zdziwienie i złość w oczach. Może akurat uchwyciono chłopaka, gdy sędzia niesłusznie odgwizdał rzut karny. W dalekim planie trybuny, a na nich grupki kibiców. Najpewniej byli to rodzice obserwujący zmagania drużyn i dopingujący swoje dzieci. Niektórym fotografiom towarzyszyły daty, czasami pojawiały się podpisy, w których podano nazwy grających zespołów. Ostatnie zdjęcia wykonano na cmentarzu. Przy grobie obłożonym kwiatami stali płaczący chłopcy w sportowych strojach, dwóch z nich obejmował starszy mężczyzna

w czarnym garniturze. Jeden z zawodników trzymał pod pachą piłkę. Dostrzegłem napis na wieńcu: „Nigdy Cię nie zapomnimy”.

– Puszczę panu raz jeszcze te zdjęcia, tym razem od końca.

Chłopak opowiadał o dniu, w którym Krzyś zaginął. O poszukiwaniach i gasnącej z każdą kolejną chwilą nadziei wśród najbliższych. Zastanawiałem się, ile w tej historii było faktów, ile zaś szlachetnej konfabulacji.

W pewnym momencie przestałem słuchać. Wpatrywałem się w migające zdjęcia.

– Stop! – zawołałem. – Czy możesz cofnąć?

Zrobił to, o co poprosiłem.

Fotografia przedstawiała całą drużynę. Letni stał ostatni w szeregu. Uśmiechał się i trzymał dwa palce nad głową stojącego obok kolegi. W pierwszym rzędzie stał mężczyzna, którego zauważyłem na zdjęciu z cmentarza. Obok trenera znajdował się ktoś jeszcze. Nie mogłem się mylić. Pod zdjęciem widniała data. Wykonano je trzy tygodnie przed śmiercią chłopca.

– Czy wiesz, gdzie zrobiono to zdjęcie? – Starłem się zachować spokój.

– Chyba tak. – Popatrzył na mnie. – Kilka tygodni przed... kilka tygodni wcześniej chłopcy ze Śląska uczestniczyli w jakimś kursie. Zaraz – spojrzał w sufit – jak to się nazywało? Orliki... Nie – poprawił się – orliki są teraz... Wiem! – Pstryknął palcami. – Akademia Orłąt. To był jakiś program sportowy dla młodych talentów albo coś podobnego.

– Czy możesz wysłać mi to zdjęcie na maila? – Chwyciłem leżący na biurku długopis i zapisałem swój adres.

– Pewnie. Zaraz też panu to zdjęcie wydrukuję. Czy... czy ono jest ważne?

– Sam nie wiem – odpowiedziałem. Czułem jednak, że jest zupełnie inaczej.

Trzymałem w ręku odbitkę, gdy z przedpokoju dobiegł odgłos otwieranych drzwi. Chłopak zerwał się na równe nogi.

– Proszę już iść – powiedział. – To chyba ojciec. Zdjęcie panu na pewno wyślę.

Zwinąłem odbitkę i skierowałem się do wyjścia. W przedpokoju zderzyłem się z mężczyzną i kobietą.

– Widzę, że wróciliście razem – zagadnął chłopak.

– Podjechałem po mamę do szkoły. – Facet nie spuszczał ze mnie wzroku.

Przypomniałem sobie plakaty w pokoju chłopaka. Zagubieni. Wszyscy nimi czasami jesteśmy, a tych dwoje trwało w takim stanie od wielu lat. Musiałem jakoś wybrnąć z sytuacji, w której się znalazłem.

– Bardzo dziękuję za poświęcony czas. – Podałem chłopakowi dłoń i skłoniłem się.

– Kim pan jest? – zapytał ojciec.

– Agentem ubezpieczeniowym – odpowiedziałem i przecisnąłem się przez szparę pozostawioną w drzwiach. Taki ze mnie agent jak z Iggy’ego Popa misjonarz. Mogłem wcielić się w jakąś inną rolę. Na przykład ojca, który robi chłopakowi awanturę z powodu dziewczyny. Ale czy ten spec od komputerów mógł spotykać się z jakąś kobietą w realnym świecie? Szczerze w to wątpiłem.

– Jeszcze raz dziękuję. Proszę przemyśleć moją propozycję.

Facet popatrzył na moje wymięte ubranie i otworzył usta. Zarejestrowałem to kątem oka, a potem zbiegłem po schodach.

Siedziałem w samochodzie i próbowałem uspokoić oddech. Nie dostałem zadyszki podczas krótkiego biegu. Moje tętno wzrosło, gdy spojrzałem na fotografię. O pomyłce nie mogło być mowy.

Czas zmienia ludzi, ale ciebie to nie dotyczy. Wyglądasz tak samo jak przed dziewiętnastu laty. A to, że znalazłeś się na tym zdjęciu, nie jest zbiegiem okoliczności. Wreszcie mam to, czego szukałem. Wszystkie nici zaczynały się ze sobą wiązać.

Mówiłem do siebie, ale też do mężczyzny na zdjęciu.

Powiedziałem mu jeszcze coś.

– Wreszcie poczułem świeżą krew. A gdy już ją czuję, nie odpuszczam, skurwysynu.

25

Narysowałem trójkąt. Zamordowani chłopcy. Zabójca. I ten trzeci. Wierzchołki wreszcie się połączyły. Figurę geometryczną wypełniłem kreskami. Mimo późnej pory siedziałem w komendzie i próbowałem dodzwonić się do Maciejewskiego. Udało mi się za trzecim razem.

– Skontaktuj się z rodzicami Zygmunta Olczyka. Dowiedz się, czy chłopak grał w piłkę. Nie chodzi mi o to, czy grał w nią w ogóle, ale czy trenował w jakimś klubie. – Uściśliłem. – Spróbuj wyciągnąć od nich jakieś zdjęcia. Być może chłopiec brał udział w zajęciach Akademii Orląt. Tak. Orląt.

Aspirant słuchał cierpliwie.

– Chyba wiem, co łączy sprawę tych zabójstw sprzed lat z Grubasem.

Wyjaśniłem mu. Usłyszałem w słuchawce głębokie sapnięcie.

– Nie – powiedział przeciągle – nie mówisz chyba tego poważnie.

Miałem świadomość, że chodzę po linii nad przepaścią i że każdy nierozważny ruch może skończyć się katastrofą. Wciąż poruszałem się w sferze przypuszczeń i intuicji, a nie faktów. To była moja słabość. Ale wiedziałem też, co muszę zrobić, by zwiększyć swoje szanse. I miałem jedną kolosalną przewagę nad zabójcą. Byłem myśliwym, a on nie miał pojęcia, że natrafiłem na jego ślad.

– Jestem pewien, że mam rację – powiedziałem. – Jesteśmy – poprawiłem się – na właściwym tropie.

– Sprawa z Grubasem nie daje mi spokoju. – Maciejewski zmienił temat.

– O co chodzi?

– Rzecz w tym, że przetrząsnęliśmy mieszkanie na Powiślu. Nasi ludzie pojechali do Sandomierza, przeszukali dom, tamtejsi krzywo na nas patrzyli. Tak jakbyśmy podważali ich kompetencje i nie wierzyli, że potrafią dobrze wykonywać swoją robotę. I nic. O jego komórce i laptopie już dawno zapomniałem, nie o to chodzi.

Wiedziałem już, do czego zmierza, ale pozwoliłem mu mówić. Nie chciałem dać mu odczuć, że panoszę się na jego terenie.

– Pomyślałem tak – powiedział. – Grubas przechowuje w domu coś niezwykle cennego. Ma coś, co uczyni go albo sławnym, albo bogatym. Wie o zabójstwach, szantażuje mordercę lub planuje to zrobić. Załóżmy, że tak właśnie było. Ale coś mi nie gra. Ile czasu zajęło ci znalezienie kartki i kawałka ludzkiej skóry?

Trafił.

– Niewiele – odpowiedziałem.

– Sam widzisz. Czy ukryłbyś coś wartościowego tak nieudolnie, ryzykując, że ktoś włamie się do piwnicy? Albo że zrobią to jakieś szczeniaki dla żartu? To, co znaleźliśmy, to jest tylko zajawka, rozumiesz?

Ludzka skóra jako zajawka. Maciejewski zdecydowanie za dużo nasłuchał się w życiu Slayera i innych specjalistów od heavy metalu.

– Chcesz powiedzieć, że powinno być coś jeszcze? – zapytałem. – Jakieś dokumenty, zdjęcia, skany? Coś, czym można kogoś przyszpilić?

– Dokładnie. Sęk w tym, Hipis, że nie umiemy tego znaleźć. Gdybyśmy to mieli, zabójca byłby na widelcu. Rozmawiamy z jego znajomymi. Może u kogoś złożył depozyt? Dupa blada. Byliśmy nawet w ośrodku koło Sandomierza i przejrzelśmy rzeczy w pokoju syna. Byłem pewien, że coś tam wygrzebię. Też nic. Co ty na to?

Szukajcie, a znajdziecie. Wiele razy byłem w podobnej sytuacji. Takie sprawy na ogół rozwiązują się same. Decydują łut szczęścia oraz przypadek. Albo nie rozwiązują się nigdy. Nie wiedziałem, co mam mu odpowiedzieć.

– Kontaktował się z tobą Marchwicki?

– Marchwicki? – Zdziwił się. – Chyba z zaświatów. Poza tym, o ile pamiętam, atakował kobiety, a nie chłopców. A w ogóle – zainteresował się – kto to jest?

– Nieważne.

Lepiej, żebyś nie wiedział. Nie wspomniałem o Trzech Królach, którzy odwiedzili mnie w komendzie. Ani o nowym wątku związanym z ludzką skórą. Ta sprawa od początku wydawała mi się drugorzędna. Wizyta w Sosnowcu, w mieszkaniu Letnich, utwierdziła mnie w tym. Oby ciebie nie odwiedził.

Ostatecznie miałem wsparcie góry, z centrali, w razie czego miałem na kogo się powołać, a Maciejewski był aspirantem. W skali, kosmicznej skali, poprawiłem się, w której poruszał się mój niedawny gość z wygoloną czaszką, warszawski policjant był dla niego w najlepszym wypadku półczłowiekiem. I to tylko w przyływie dobrego humoru.

Skończyliśmy rozmawiać i włączyłem laptopa. Znalazłem stronę, którą odwiedzałem całkiem niedawno. Zacząłem porównywać daty. Rok 1991 i 1993. A także 2002, gdy zamordowano człowieka

namierzającego gang na Dworcu Centralnym. Miałem zbyt mało danych, by powiązać fakty z osobą. Poszperałem na innych stronach na temat piłki nożnej. Efekt był taki sam. Może powinienem zabrać się do sprawy zupełnie inaczej.

Nadciągnęła fala zmęczenia. Pomyślałem, że sam nie dam sobie rady. Ktoś tu na miejscu musi mi pomóc. W szafce znalazłem resztki kawy rozpuszczalnej. Sięgnąłem po poźółkły czajnik elektryczny i wyszedłem nalać wody. Na korytarzu natknąłem się na Kuleszę. Wyglądał gorzej ode mnie, a to już doprawdy wyczyn.

– Nalej więcej. – Pokazał na czajnik i poszedł do naszego pokoju.

Gdy wróciłem, siedział po drugiej stronie biurka i oglądał kartkę z zakreślonym trójkątem.

– Jak tam wielka zasadzka w klinice? – zapytałem. – Komisarz Grzywa trwa na posterunku?

Machnął ręką.

– Poproszę o inny zestaw pytań. Ktoś tam został, ale bardziej dla zasady niż z przekonania. Poza tym stan tego dziennikarza się pogorszył. Nie dają mu wielkich szans. Lekarze się burzą, rodzinie Kolby też przestała odpowiadać nasza obecność. Ponadto Fortunny złożył zażalenie na brutalność policji. Ale – popatrzył na mnie – niczego nie żałuję. Należało się gnojowi.

W sumie też nie żałowałem.

Przynajmniej zobaczyłem Kuleszę w akcji, a to był niezapomniany widok.

– Interesujesz się futbolem, prawda? – zapytałem.

Aspirant ożywił się.

– Jasne! Jeśli tylko mogę, chodzę na wszystkie mecze „gieksy”. A tu zobacz – sięgnął po komórkę – w telefonie nawet mam...

– Nieważne, co masz w telefonie. W którym roku przyznano nam organizację mistrzostw w piłce?

– Jak to w którym? – Zdziwił się, jakbym pytał go o najbardziej oczywistą sprawę. – W 2007. W kwietniu.

Rzeczywiście. Byłem wtedy w Warszawie. W komendzie stołecznej. I pamiętam ten niezrozumiały dla mnie wybuch entuzjazmu.

– Będę potrzebował twojej pomocy. To nie ma nic wspólnego z Inkwizytorem. Chodzi o zabójstwa dwóch chłopców sprzed lat.

Opowiedziałem mu o śledztwie, a także o wizycie przyjaźni, którą złożył mi Marchwicki. Nie wspomniałem jedynie o zdjęciu, które dostałem od brata zamordowanego chłopca. Chciałem, by na razie Kulesza drążył sprawę po swojemu, nie sugerując się moim odkryciem.

– Marian Chyży, gość, który prowadził te zabójstwa, przeczesał archiwa w poszukiwaniu podobnych przypadków do 1998 roku. Do czasu, gdy przeszedł na emeryturę. Nikt nie sprawdzał, co było później. Ja także nie wierzę, by morderca, o ile żyje i jest wolny, nie uaktywnił się przez tyle lat. Jego żądza zabijania nie została zaspokojona...

– Poproszę komendy o sprawdzenie, czy coś podobnego się zdarzyło. Nieletni chłopcy, raczej z podstawówki niż starsi, porwani, uduszeni, a wcześniej głodzeni.

– Niech zaczną od 2007 roku i sprawdzą trzy ostatnie lata. Wtedy zaczął się szal związany z mistrzostwami, budowa orlików. Jeśli znajdziesz takie przypadki lub przynajmniej podobne, sprawdź, czy chłopcy grali w klubach piłkarskich. Czy uczestniczyli, zwłaszcza

krótko przed śmiercią, w jakimś programie sportowym, obozie, szkoleniu... Sam nie wiem... W czymś takim.

– To może trochę potrwać. Jest piątek. Ludzie myślą, jak odreagować po całym tygodniu. Planują grilla, zamawiają pizzę albo szykują się do oglądania walki Pudziana dziś wieczorem.

– To nie może potrwać – powiedziałem twardo. – Wyjaśnij, że tą sprawą interesuje się centrala. Jeśli nie chcą mieć telefonu z komendy głównej, niech się sprężą. O Marchwickim raczej nie wspominaj. Domyślasz się, że jego firma nie budzi najlepszych skojarzeń. Walki w klatce przy metodach, które oni stosują, to szczyt dobrych manier. Naszym też nieraz zależli za skórę i niektórym wzmianka o nich może odebrać ochotę do pracy.

Wróciłem do domu. Niewiele brakowało, a spałbym na korytarzu. Mocowałem się z zamkiem dobry kwadrans i z każdym ruchem klucza czułem wzbierającą bezsilność i wściekłość. W pewnym momencie usłyszałem szcęk otwieranych drzwi po drugiej stronie korytarza. Z mieszkania wychylił się sąsiad.

– Myślałem, że znowu coś się dzieje – mruknął. – Na szczęście to tylko pan.

To tylko ja. Stabilne emocje, pamiętaj o nich, Heinz. Swoją drogą, powinienem odezwać się do Kastoriadisa i umówić na trening. Ale teraz nie mam na to czasu, usprawiedliwiłem się sam przed sobą. Najpierw muszę dopaść zabójcę. A później pozwolę sobie na inne nieprzyjemności w rodzaju ciosu wymierzonego w splot słoneczny i odbierającego oddech.

Wpadłem wreszcie do mieszkania z impetem, którego nie powstydziliby się antyterrorysty. W dodatku oni często mylą drzwi, ja zaś trafiłem tam, gdzie chciałem. Otarłem pot z czoła.

Wydrukowane zdjęcie z Sosnowca położyłem na stole. W kieszeni odezwała się gitara Hendrixa. Spojrzałem na wyświetlacz. Dzwonił Joseph.

– Jeśli chcesz mnie przesłuchać – zaczął – to proszę bardzo. Ale najpierw ja mam ci coś do powiedzenia.

Mocny początek rozmowy. Zachęcający. Czekałem na ciąg dalszy.

– Tak, to prawda. Tamtego dnia miałem spotkać się z Grubasem. To on nalegał na spotkanie.

– Powiedział, dlaczego chce się spotkać?

– Tylko tyle, że ma dla mnie interesujące wieści. I że... – Zawahał się.

– Że te wieści poruszyły Jacka Kosa?

– Nie wymienił jego nazwiska, ale zrozumiałem, o kogo chodzi.

– Dlaczego nie doszło do spotkania?

– Nie wiem. Czekałem na niego. Miał wyłączone komórkę, więc mu się nagrałem, ale on nie oddzwonił. A potem wszystko potoczyło się tak szybko...

– Chciałeś, byśmy się spotkali nie tylko ze względu na Kosa? – Poczulem ból w skroniach i przymknąłem oczy.

– Posłuchaj, Rudolf, dzieje się coś niedobrego. – Joseph ściszył głos, jakby się bał, że ktoś go podsłuchuje. – Wydaje mi się, że ktoś przeszukał mój dom... Nic nie zostało skradzione, ale... pewnie wiesz, jak to jest. Niby nic się nie stało, ale czujesz, że ktoś u ciebie był. Widzisz czyjąś obecność i to, że krzesło zostało przestawione albo długopis leży kilka centymetrów dalej...

Wiedziałem dobrze, o co mu chodzi. Podeszedłem do szuflady i zacząłem szukać środków przeciwbólowych.

– Pytałem sąsiadów, czy kogoś widzieli. Mówili, że nie, ale ja wiem swoje. Ten nóż... noszę na wszelki wypadek. Kilka dni temu sąsiad skojarzył sobie, że pod moim domem stał jakiś samochód. Wtedy gdy ktoś mnie przeszukał. Nie mam pewności, ale chyba wiem, kto to był.

– Kto?

Ojciec milczał.

– To nie jest rozmowa na telefon. Przyjadę i opowiem ci, co wiem, choć sam nie mogę się w tym połapać. Poza tym muszę spotkać się z moimi przyjaciółmi... przyjaciółmi – poprawił się – z boiska, a oni są w Polsce. Będę najszybciej, jak się da, muszę ustawić tylko kilka spraw w klubie. Przyjadę jutro wieczorem. Albo pojutrze. Zadzwoń do ciebie.

Łyknąłem jakieś prochy i wyciągnąłem się na łóżku. Za oknem huczało radio samochodowe. Zastanawiałem się, czy nie zagłuszyć dźwięków rapu czymś własnym, ale dałem spokój. Po chwili samochód ruszył z piskiem opon, a dudnienie basu cichło. Jeszcze przez kilka minut szumiało mi w głowie, a potem ból zelżał.

Ojciec się boi. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że jego telefon podyktowany był strachem. Wyglądał na człowieka odpornego, a jednak w jego zachowaniu było wiele niepokojących sygnałów. Trzeba odczuwać realne zagrożenie, by nosić ze sobą nóż. Z drugiej strony, po co ta cała zasłona dymna i opowieść o samobójczej śmierci piłkarza? Mógł przecież powiedzieć, że ma kłopoty. Ale równie dobrze mógł spodziewać się, że wtedy mu nie pomogę. Zastanowiłem się. Kto wie? Pewnie miałby rację. Tak czy inaczej wkrótce dowiem się, co go gryzie. Wahałem się chwilę, czy nie

powiniennem zadzwonić do niego i spróbować mocniej go przycisnąć. Rozmyśliłem się. Nie miało to sensu.

Zasypiałem w ubraniu, gdy kolejny telefon postawił mnie na nogi. Zbliżała się jedenasta wieczorem.

Mam to, co chciałeś – Maciejewski mówił powoli, jakby zamierały w nim procesy życiowe. – Godzinę temu wyszedłem od Olczyków. Po siedemnastu latach wpada do nich facet i odświeża im najgorsze przeżycia... To było straszne...

Są sytuacje, gdy każdemu miękną nogi w kolanach. Twardziele są tylko w kinie.

– Miałeś rację. – Aspirant zebrał się w sobie. – Chłopak grał w piłkę na Agrykoli. Zapytałem o tę Akademię Orłąt. Kolejny dobry strzał. Trzy tygodnie przed śmiercią Zygmunt uczestniczył w takich trzydniowych weekendowych zajęciach.

– Zapisaleś, kto prowadził treningi? – zapytałem cicho.

– Oglądaliśmy zdjęcia, a ojciec wspominał. Mam tu listę.

Nazwiska, które wymienił, nic mi nie mówiły. To niemożliwe. Nie mogłem aż tak się mylić. Przed oczami wirowały mi czarne punkty, a w głowie miałem pustkę.

– Pojawił się tam także gość specjalny – powiedział Maciejewski.

Tym razem usłyszałem nazwisko, na które czekałem. Podszedłem do stołu i wziąłem do ręki zdjęcie.

– Jesteś tam? – zaniepokoił się aspirant.

– Jestem. – Drugą dłonią chwyciłem za blat stołu. – Zrobiłeś kawał dobrej roboty. Mamy go. To musi być on. Jutro ci wszystko opowiem.

Nie miałem siły na dalszą rozmowę. Wydrukowana kartka drżała mi w dłoni. Patrzyłem na roześmiane twarze młodych sportowców.

Gdy byłem w ich wieku, piłka nożna kojarzyła mi się jak najgorzej. Młodego także nigdy nie ciągnęło do futbolu. Pływanie było jego żywiołem. Ale tamci chłopcy dzięki piłce odnajdowali radość. I z pewnością byli dumni, że obok stoi żywa legenda futbolu. Marzyli o tym, by kiedyś mu dorównać. Spojrzałem na Krzysia Letniego. Jego marzenia wcześniej zostały przerwane.

Zakończył je mężczyzna ze zdjęcia. Z fotografii uśmiechał się do mnie Jerzy Stamm.

26

Rano w skrzynce mailowej czekały na mnie zdjęcia wysłane przez Maciejewskiego. Szybko je przejrzałem, a następnie powiększyłem jedną fotografię. Wpatrywałem się w zieloną murawę boiska oraz twarze trzech roześmianych chłopców w białych koszulkach. Na jednej z nich dostrzegłem litery „AO”. Akademia Orłąt. W środku grupki znajdował się mężczyzna w dresie. Młodzi piłkarze najpewniej chcieli odebrać mu piłkę. Twarz jednego z chłopców powtarzała się na wszystkich zdjęciach. Zygmunt Olczyk. A obok niego zabójca.

Wpisałem w wyszukiwarkę nazwisko Stamma i znalazłem na jego temat kilka obszernych artykułów. Zaczynał karierę w malutkim klubie na Pomorzu Zachodnim. Podczas jakiegoś meczu ktoś dostrzegł w nim talent. Chłopak trafił do Szczecina, a gdy miał siedemnaście lat, rozpoczął grę w pierwszej lidze. „Kariera – czytałem na jednym z portali – toczyła się błyskawicznie. Był drugim najmłodszym piłkarzem, po Włodzimierzu Lubańskim, debiutantem w reprezentacji Polski. Wróżono mu podobną przyszłość”. Na mistrzostwa w Argentynie w 1978 roku jednak się nie załapał. W artykule nie podano powodu. Najpewniej wyeliminowała go kontuzja albo po prostu byli lepsi od niego.

Nagle moje myśli zaczęły krążyć wokół wspomnień z odległej przeszłości. Miałem kilkanaście lat i podobnie jak moi koledzy

rozglądałem się wówczas za dziewczynami. Ale gdy nastał czas mistrzostw w Argentynie, wszyscy potracili głowy, a ja na kilka tygodni straciłem kumpli. Przebieg mistrzostw znałem z ich opowieści. Jeden z najbliższych kolegów opowiedział mi, co działo się u niego w mieszkaniu, gdy Kazimierz Deyna nie strzelił karnego w meczu z Argentyną. Jego ojciec nalał drżącymi rękami kieliszek wódki i wychylił go bez słowa. A potem wyrzucił z siebie stek przekleństw. Dostało się Deynie, później Legii Warszawa, klubowi, w którym grał, wreszcie ojciec zaczął płakać. Uspokoił się dopiero, gdy gospodarze turnieju strzelili nam drugiego gola i było wiadomo, że jest już po zawodach. Ciekawe, jak reagował na to wszystko Joseph? Nigdy nie rozumiałem, dlaczego piłka wzbudza takie emocje. Inna sprawa, że niektórzy patrzą na mnie dziwnie, gdy słucham muzyki i przenoszę się wtedy w inny wymiar.

Ekran laptopa pociemniał w odpowiedniej chwili. Zupełnie jakbym otrzymał znak, że należy wygasić w sobie wspomnienia. Wróciłem do tekstu w internecie. W 1982 roku Stamm leczył kontuzję i nie pojechał na kolejne mistrzostwa. Czytałem o jego klubowej karierze. Grał na Śląsku, potem przeniósł się do Warszawy. Kibice z Zabrzea długo nie mogli mu tej zdrady wybaczyć. W 1985 roku, w wieku dwudziestu pięciu lat, wyjechał na Zachód. Następową listą klubów, w których grał. Kilka sezonów w Niemczech, następnie Belgia oraz Francja, rok w Portugalii, w Portimonense SC. Gdzie to jest? Szybko odnalazłem kraniec Portugalii, potężne skały i latarnię morską na Przylądku Świętego Wincentego. Więc tam rzuciło Stamma u schyłku kariery. Dawniej uważano, że w tym zakątku Europy kończy się świat. Gdzieś o tym

czytałem. Pomyślałem o dwóch chłopcach. Dla nich kontakt ze Stammem wyznaczył koniec ich życia.

Artykuł kończył się zdawkowymi informacjami o tym, co Stamm robił, gdy zawiesił buty na kołku. Bez większych sukcesów próbował sił jako trener. Był menedżerem i promotorem polskich piłkarzy. Został jedną z twarzy Euro 2012. Bywał na salonach i chętnie pokazywał się w towarzystwie polityków, oni zaś zapraszali go, by grywał z nimi w piłkę. Wzajemnie ogrzewali się w swoim świetle. Był więc zaangażowany w promocję mistrzostw oraz rozwój piłki młodzieżowej w Polsce. Nie do wiary.

Otworzyłem kilka innych linków, ale nie znalazłem nowych wiadomości. Spróbowałem raz jeszcze uporządkować to, czego się dowiedziałem. Pierwsze zabójstwo popełniono w 1991 roku. Przyjmijmy, że rzeczywiście był to debiut mordercy. Stamm miał wówczas trzydzieści jeden lat. Czy to możliwe, by mordercze skłonności ujawniły się dopiero wtedy? Statystyki były bezlitosne. Trzydziestka na karku to może nie jest najlepszy wiek dla piłkarza, ale jest to znakomity moment, by seryjny morderca zaczął działać. W 1991 roku Stamm osiadł już na dobre na Zachodzie. Zabójstwa popełniono latem. Wtedy chyba trwają przerwy w rozgrywkach. Piłkarze rozjeżdżają się na urlopy. Morderca miał sposobność, by działać w nieskrępowany sposób.

Notowałem uwagi na kartce. To wszystko wymaga sprawdzenia. W jakich polskich klubach grał Stamm? Na Śląsku i w Warszawie. A zatem zgadza się. Znał oba miejsca, w których popełniono zabójstwa. Wiedział, gdzie przetrzymywać chłopców. Zawczasu upatrzył sobie odpowiednie kryjówki. Wiedział też, gdzie pozostawić ich ciała. Stamm całe lata mieszkał za granicą.

Tłumaczyłoby to, dlaczego morderstwa w Polsce ustały. Ale to nie znaczy, że nie zabijał gdzie indziej. Być może w Niemczech, we Francji, w Belgii lub Portugalii zdarzyły się podobne zabójstwa, których nigdy nie wyjaśniono. Wiedziałem, co nas czeka. Trzeba będzie uruchomić potężną maszynę i skontaktować się z kolegami po fachu nawet na tym portugalskim wygwizdowie.

Otworzyłem jeszcze jeden artykuł. Ostatni fragment dotyczył charakterystyki gry Stamma. Zawsze słynął ze znakomitej techniki. We wczesnych latach zachwycał przyspieszeniem, pod koniec kariery elegancją i skutecznością. Do opisu dołączono dwa filmiki. Na pierwszym młody piłkarz Górnika Zabrze z bujną czupryną i bokobrodami mija dwóch obrońców, bramkarza i ładuje piłkę do pustej bramki. Drugi obraz pochodził z 1996 roku i towarzyszył mu komentarz w języku francuskim. Stamm stoi tyłem do pola karnego, otrzymuje piłkę, odbija się plecami od obrońcy i oddaje strzał z szesnastu metrów. Piłka odbija się od lewego słupka i wpada do bramki. Komentator pieje z zachwytu, a napastnik unosi zaciśniętą pięść w geście tryumfu.

Zainteresował mnie jeszcze jeden fragment. Stamm słynął ze skutecznego wykonywania rzutów karnych. „W oficjalnym meczu nigdy nie zmarnował jedenastki – czytałem. – Do legendy przeszedł półfinał Pucharu Francji, gdy Stamm w ostatniej minucie dogrywki wykonywał karnego. Piłka znalazła się w siatce. Sędzia dopatrzył się uchybienia i nakazał powtórkę. Stamm ponownie podszedł do piłki i znów strzelił skutecznie. Dzięki temu trafieniu jego drużyna awansowała do finału rozgrywek”. Niedługo sam miałem stanąć z nim twarzą w twarz i wykonać swoje uderzenie.

Zadzwońm do Maciejewskiego i opowiedzialem mu o wszystkim.

– W tej historii jest jeszcze jeden gracz – powiedzialem.

Na razie Marchwicki czekał na ławce rezerwowych, ale byłem pewien, że jego cierpliwość się skończy, a wtedy będę zmuszony przedstawić mu wyniki śledztwa, bo w przeciwnym razie wkroczy do akcji jak czołg.

– Legendy krążą o tym facecie – mruknął aspirant. – To psychopata. Szkoda, że dopiero teraz się o tym dowiaduję.

Spodziewałem się takiej reakcji. A nawet ostrzejszej. Na jego miejscu byłbym wściekły. Tylko że ja chciałem mieć absolutną pewność, że się nie mylę. Że niczego nie przeoczyłem. Wciąż miałem jedynie poszlaki, ale nie mogłem ich dłużej ukrywać.

– Zamierzasz powiedzieć Marchwickiemu o naszym piłkarzu? – zapytał Maciejewski.

– Nie zrobię tego. I ty, w razie czego, też tego nie rób. Coś mi się zdaje, że nasz łysy przyjaciel nie grzeszy subtelnością. Najpierw strzela, potem pyta.

Czas mijał mi na czekaniu. Kończyłem trzecią kawę. Znalazłem kilka kolejnych artykułów o Stammie, ale były one kopiami poprzednich. Wtedy coś sobie uświadomiłem. Dlaczego od razu o tym nie pomyślałem? W archiwum odszukałem akta jednej z nierozwiązanych spraw. Twarz tego chłopca powracała przecież w najmniej oczekiwanych chwilach. Był wprawdzie młodszy od dwóch zamordowanych, a jego ciała nigdy nie znaleziono. Miałem ślad, którego nie mogłem zlekceważyć. Chłopiec wracał z kościoła. W tygodniu następującym po komunii dzieci codziennie chodzą do kościoła. I właśnie podczas białego tygodnia mały rozplynał się

w powietrzu. Ktoś go zaczepia. Proponuje piłkę albo autograf. Prowadzi do samochodu. I jest po wszystkim.

Odnalazłem telefon do matki chłopca i zadzwoniłem. Włączyła się poczta głosowa. Imię i nazwisko kobiety podane na nagraniu się zgadzały. Nie zostawiłem wiadomości. Wyobraziłem sobie, jakie emocje musiałyby nią targać, gdyby usłyszała na sekretarce, kto dzwonił. Nadzieja pomieszana ze strachem. A ja nie miałem do powiedzenia nic konkretnego. A już z pewnością nie chciałem rozbudzać w niej żadnych nadziei. W sumie chciałem zadać jej tylko jedno pytanie.

Gdy próbowałem połączyć się jeszcze raz, w drzwiach stanął Kulesza. Usiadł i czekał, aż zakończę rozmowę. Zirytowany odłożyłem telefon na biurko.

– Masz coś?

Pokręcił głową.

– Cisza. Cały czas czekamy.

Czułem, że chce powiedzieć coś jeszcze.

– Gdy czekałem w pułapce zastawionej na Inkwizytora – podniósł wzrok – miałem sporo czasu na myślenie. I pomyślałem, że powinniśmy podejść tego psychola od zupełnie innej strony.

Gotycka Jolka mówiła coś podobnego. Zamknąłem akta „Chłopca z białego tygodnia”, jak mówiono o tej sprawie, i wyjąłem chesterfielda. Zauważyłem, że kończą mi się liquidy i muszę zrobić nowy zapas. Albo będę zmuszony raczyć się jakimś innym, gównianym smakiem.

– Od początku – ciągnął Kulesza – skupiamy się na pytaniu: dlaczego? Dlaczego Urbaniak uciekł? I udzielamy jedynej możliwej

odpowiedzi. Zrobił to, aby wyrównać rachunki. Tymczasem trzeba zadać zupełnie inne pytanie.

– Jakie?

– Pamiętasz pierwsze zebranie z Grzywą? Nie pamiętam, kto to wtedy powiedział, on czy nasz szef, ale brzmiało to jakoś tak, że tylko prawdziwy pojeb uciekałby z wariatkowa. Pamiętasz?

Potwierdziłem.

– Pomyślałem więc inaczej. – Kulesza znalazł na stole starą serwetkę i zwinął ją w kulkę. – Zostawmy motyw na boku. Zastanowiłem się, dlaczego Urbaniak zdecydował się na ucieczkę właśnie wtedy. Co było katalizatorem, który sprawił, że zaczął działać. Pytanie więc brzmi: kiedy to się stało i w jakich okolicznościach?

Poturłał papierową kulkę w moim kierunku.

– Zadzwoiłem do szpitala. Sprawdziłem, kto go odwiedzał w ostatnim roku. I nie uwierzysz, jakie nazwisko pojawiło się na tej liście trzykrotnie.

Czekałem w milczeniu. Nie chciało mi się strzelać.

– B-16 – powiedział cicho.

– Kto? – Nie zrozumiałem.

– Kobro.

Sięgnął do kieszeni i podał mi kartkę. Wpatrywałem się w podkreślone nazwisko i nic z tego nie rozumiałem. Nasz świętej pamięci kolega, specjalista od złodziei kradnących znaki drogowe, po raz pierwszy spotkał się z Urbaniakiem dziesięć miesięcy temu. Drugie spotkanie nastąpiło po trzech kolejnych miesiącach.

Spojrzałem na ostatnią datę. Marzec tego roku. Kilka tygodni przed dniem, gdy B-16 poszedł wyrzucić śmieci i już nie wrócił.

– Co on, do diabła, tam robił? – Oddałem kartkę Kuleszy.

Nie odpowiedział wprost na pytanie.

– Pamiętasz jego pogrzeb? – zapytał. Podeszliśmy do wdowy, by złożyć kondolencje. Ona... ona wtedy powiedziała ci coś dziwnego. Coś takiego, że B-16 wspominał ciebie czy też wymieniał twoje nazwisko. Że ona ciebie zna.

Aspirant miał rację. Całkowicie wyparłem ten szczegół. Pogrzeb B-16 kojarzył mi się tylko ze spotkaniem z ojcem. Pierwszym po kilkudziesięciu latach. Resztę wspomnień z tamtego dnia wyrzuciłem z pamięci.

– Próbowałem dowiedzieć się czegoś w naszej fabryce. – Aspirant zatoczył głową półkole, wskazując piętra komendy. – Kobro nie wypucował się nikomu z tych spotkań. Wszyscy byli zdziwieni, gdy o to pytałem. W tej sytuacji mamy jedną osobę, z którą trzeba porozmawiać.

Wziąłem zmiętą kulkę i cisnąłem ją w stronę kosza. Spudłowałem.

– Mam do niej zadzwonić? – zapytałem.

– Już to zrobiłem – powiedział Kulesza. – Zdziwił ją mój telefon, ale zgodziła się porozmawiać. Prosiła, byśmy przyjechali do niej do pracy.

Wstał od biurka.

– Mamy jechać teraz? – Zdziwiłem się.

– A kiedy? – Wzruszył ramionami. – Masz coś do roboty? I tak siedzisz jak na rozgrzanych węglach i czekasz, aż spłyną raporty z terenu. Tylko zbierajmy się, bo dziś sobota, u niej wcześniej zamykają.

Miał rację. Czekanie nie miało sensu. Taki pusty przebieg wypala emocjonalnie jak diabli. Zrobiłem dwa kroki, schyliłem się

i podniosłem kulkę. Drugi rzut był celny.

Pojechaliśmy do centrum handlowego w alei Roździeńskiego. Justyna Kobro pracowała w pralni ekologicznej. Gdy weszliśmy, wydawała klientce czarną garsonkę. Poznała nas od razu i delikatnym skinięciem głowy poprosiła, byśmy poczekał. Na ścianie za ladą wisiał cennik, a nad nazwą „Eko-Pral” znajdowało się logo firmy: świstak, bóbr, nutria, a może jakieś zupełnie inne zwierzę futerkowe wsparte łapkami o białą pralkę. Nie bardzo rozumiałem, o co chodzi, ale ważne, że projektant wiedział i że klienci przychodzili. W głębi zakładu pracowały dwie potężne, ponaddwumetrowe maszyny, które z wyglądu bardziej kojarzyły się z akcesoriami zakładu pogrzebowego niż usługami pralni.

Drzwi się zamknęły i Justyna Kobro ciężko westchnęła.

– Ludzie mają popieprzone w głowach. Pyta mnie taka, ile kosztuje pranie długiego kozucha, i dziwi się, że latem ceny nie spadają. No dobra – spojrzała najpierw na mnie, a następnie na Kuleszę – w czym mogę pomóc?

Mówiła energicznie, wycierając dłonie w biały T-shirt z napisem „Eko-Pral”, nutrią i pralką. Nie tak wyobrażałem sobie jej zachowanie. Spodziewałem się pewnie cichej rezygnacji wtłoczonej w gesty i sposób mówienia oraz z trudem skrywanej rozpacz. Być może Justyna Kobro inaczej przeżywała żałobę. Być może ten okres w jej życiu trwał krótko i już się zakończył. A może w ogóle go nie było.

– Wspominałem pani przez telefon, że nie prowadzimy śledztwa w sprawie śmierci pani męża – zaczął Kulesza. Uzgodniliśmy, że to on będzie rozmawiał z wdową. B-16 w sprawie Inkwizytora to był przecież jego trop. No i nie był zaangażowany w historię Urbaniaka

tak jak ja. – Badamy pewne poboczne wątki związane z innym śledztwem i jedna rzecz zwróciła naszą uwagę. Pani mąż kilka razy odwiedził w szpitalu psychiatrycznym pewnego człowieka. Czy wspominał pani coś o Urbaniaku? Albo Inkwizytorze?

– Mój mąż był bardzo zamkniętym człowiekiem. Różniliśmy się od siebie. Ale rzeczywiście wspominał o takim... – Zamyśliła się i spojrzała na drzwi pralni, jakby szukała tam przejścia do innego świata i minionych chwil. – To w ogóle dziwnie się zaczęło...

– To znaczy jak?

– Mój mąż miał dość pracy w policji. Chciał rzucić robotę. I nagle coś się zmieniło. Zaczął przynosić jakieś stare papiery do domu. Był taki miesiąc, że wieczorami tylko nad tym siedział. Telewizor poszedł w odstawkę, piwo też... O sobie nie mówię – znów taksowała nas spojrzeniem – bo ja już dawno poszłam w odstawkę.

– Co to były za papiery?

– Tego nie wiem. – Znów wytarła dłonie w T-shirt. – Nigdy mnie to nie interesowało. Ale pewnego dnia powiedział mi, że był w psychiatryku i rozmawiał z człowiekiem, który kiedyś prawie spalił jego kolegę. W ten sposób – popatrzyła na mnie – dowiedziałam się o panu.

– Co jeszcze powiedział?

– Niewiele mówił, a ja nie pytałam. Chociaż... raz powiedział coś takiego, że jeśli odejdzie z pracy, to przynajmniej zrobi to z przytupem.

Ruszyła w stronę jednej z potężnych pralek, dając nam znać, że rozmowę uważa za zakończoną. Spojrzałem na Kuleszę. B-16 należał do gromadki, która żyła marzeniami o spektakularnym finiszu. Końcu kariery w świetle jupiterów i przy niecichnących oklaskach.

Przypomniałem sobie Grubasa. On także opowiadał o prawdziwej bombie, którą odpali. Obaj, i dziennikarz, i policjant, widzieli zapewne nie raz, jak wygląda ostatni dzień w firmie. Zbiera się resztki gratów do pudełka, podpisuje kilka kwitów. I nie ma czerwonego dywanu na pożegnanie. Ani płomiennych mów. Koleżanki cię ignorują. Koledzy odwracają głowę i nie wiedzą, jak się zachować.

– Proszę pani... pani Justyno – Kulesza nie dawał za wygraną – może mąż mówił coś jeszcze? Proszę spróbować sobie przypomnieć.

Odwróciła się w naszą stronę i zbliżyła do lady.

– Nic więcej nie pamiętam. Naprawdę. Siedział przy tych papierach i od czasu do czasu mruczał coś pod nosem. Chyba trochę zbzikował. Sam nadawał się na pacjenta tego szpitala. Gadał coś o punkcie, ale nie wiem, o co mu chodziło.

– O punkcie?

– No tak. Chciałeś mieć swój punkt, a teraz ja znajdę twój... W coś grali ze sobą czy jak... To nie miało większego sensu.

– Kiedy to było?

– Niedługo przed... przed jego śmiercią.

Do pralni wtargnęły dwie rozchichotane trzydziestolatki. Obrzuciły nas błyskawicznym spojrzeniem, równie szybko uznały, że co najwyżej zakłócamy ruch powietrza, i wyjęły z toreb kolorowe fatałaszki.

Nie pożegnaliśmy się z wdową po B-16. Dobrze się stało. Na ogół w takich chwilach trzeba wydusić z siebie kilka rutynowych zdań. Pocieszyć i powiedzieć, że nasi koledzy uczynią wszystko, aby znaleźć zabójcę. Żaden z nas, ani ja, ani Kulesza, nie chcieliśmy występować w tej roli.

Wracaliśmy do komendy w milczeniu. B-16 znalazł w aktach coś, czego nie odkryliśmy, gdy prowadziliśmy sprawę Urbaniaka dziesięć lat temu. Leżałem poparzony w szpitalu i miałem dosyć życia. Z pewnością coś wtedy przeoczyłem i inni pracujący przy tej sprawie też. B-16 znalazł punkt zaczepienia. Odkrył słaby punkt Inkwizytora. Albo tylko tak mu się zdawało. Punkt. O co mogło mu chodzić? Wkrótce po ostatniej wizycie w szpitalu Kobro ginie od ciosu nożem. Czy Inkwizytor mógł wydać komuś zlecenie z za krat? Wątpliwe. Tak czy inaczej w jakiś sposób te sprawy się łączą. Kulesza weźmie się za papiery, z których B-16 uczynił sobie lekturę do snu. Pomyślałem o zabitym policjancie. Okazuje się, że w ogóle go nie znałem, a kilka żartów i anegdot na jego temat skutecznie zakrywało pustkę panującą w jego życiu. Zapewne to samo można było powiedzieć o jego żonie. Wygląda na to, że dla Justyny Kobro śmierć B-16 stała się wyzwoleniem. Kulesza nie odzywał się, ale być może myślał o tym samym.

Dźwięk telefonu wskazywał nadejście esemesa. Przyszła wiadomość od ojca. „Spotkaj się ze mną w poniedziałek o 11 w Silesia Center. To ważne. J.”. Spróbowałem do niego zadzwonić, ale miał wyłączoną komórkę. Przypomniałem sobie jego strach i nerwowość w głosie, gdy kontaktował się ze mną ostatni raz. Wklepałem wiadomość. „Dobra. Będę. Spotkamy się w Coffee Heaven”.

Do wieczora trwałem przy biurku i czekałem na odpowiedzi z kraju. Te, które przychodziły, były zniechęcające. Nie, na naszym terenie nie odnotowano podobnych przypadków. Będziemy sprawdzali dalej. W drugie zdanie nie bardzo wierzyłem. Poza tym zagłębianie się w przeszłość z pewnością potrwa, a przecucie

podpowiadało mi, że nie jestem panem tej sytuacji. Stamm zorientuje się, że dzieje się coś wokół niego, i zniknie. Ma kontakty i pieniądze. Rozpłynie się gdzieś w Afryce albo Azji.

Usłyszałem telefon. Nie rozpoznałem numeru.

– Ktoś do mnie dzwonił dwa razy, ale nie mogłam rozmawiać. – Usłyszałem kobiecy głos. Rozmawiałem z matką chłopca, który zaginał w białym tygodniu. Przedstawiłem się. Od razu wyczułem w jej głosie rezerwę. Trudno się dziwić. W sprawie jej syna działaliśmy nieskutecznie. Gdybym był na jej miejscu, zachowywałbym się pewnie podobnie.

– Nie chcę pani niepokoić. Badamy pewien ślad. Czy pani syn grał w piłkę? Trenował może w jakimś klubie?

Czułem, że bariera między nami rośnie z każdą sekundą. Gdyby w takim tempie budowano u nas autostrady i dworce kolejowe, nikt by nie narzekał.

– Olek miał poważną wadę wzroku – powiedziała cicho. – Zawsze prosiłam go, by nie grał w piłkę. Lekarze też to sugerowali. Czy taka odpowiedź panu wystarcza?

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy znów się odezwała.

– Śpiew. To była jego pasja...

– Bardzo pani dziękuję. Chciałem powiedzieć...

Usłyszałem sygnał oznaczający przerwanie połączenia.

Tym razem nikt nie chciał podpalić mojego mieszkania, a klucz w zamku przekreślił się gładko. Za drzwiami nie czyhał na mnie Urbaniak, a w lodówce czekał dobrze schłodzony przyjaciel. Włączyłem muzykę, usiadłem w fotelu, a nogi wyciągnąłem na stoliku.

Zadzwoiłem do Kastoriadisa. Przemówił do mnie w wielu językach świata. Nie ma mnie. Wracam za trzy tygodnie. Pierwszy komunikat nagrany był po polsku. Kolejne po angielsku, japońsku i chyba grecku. Ostatniego języka w ogóle nie umiałem rozpoznać.

Z głośników dobiegały dźwięki gitary Rya Coodera i bębny Alego Farki. Fajny bluesowo-etniczny odjazd. Trochę afro, nieco Ameryki. Ciekawiło mnie, dokąd wybrał się Grek. Swoją drogą, nigdy nie pytałem go o cele jego wyjazdów. Coś podpowiadało mi, że nie powinienem zadawać takiego pytania, jeśli nie chciałem stracić przyjaciela.

Namnożyło mi się za to pytań do innego człowieka. I zbliżał się moment, gdy będę chciał uzyskać wyczerpujące odpowiedzi.

W poniedziałek z brunatnosinego nieba lał deszcz. Podobno w ciągu kilku najbliższych dni miała się utrzymać taka pogoda. Ostrzegano przed kolejną falą powodzi, której nie można było wykluczyć, w razie gdyby opady potrwały dłużej.

O dziewiątej byłem przy swoim biurku i przeglądałem raporty. Cholera. Znowu nic. Brak trafień. Nikomu rzecz jasna nie życzyłem śmierci. Może z paroma wyjątkami. Ale z pewnością życzenia te nie dotyczyły dzieci. Szukałem jedynie przypadków, które byłyby bardziej oczywiste niż te dwa sprzed wielu lat. Od mglistych poszlak chciałem przejść do twardych dowodów. Tych brakowało mi najbardziej.

Przedpołudniowe rozmowy z Maciejewskim stały się już niemal rytuałem.

– Bingo! – Aspirant tryskał energią. – Mamy przypadek z okolic Warszawy z 2008 roku. Latem w Pruszkowie odbywał się turniej młodzików. Jeden z chłopców z miejscowej drużyny znikł po meczu. Znaleziono go przy torach kolejowych tydzień później. Sposób działania sprawcy zgadza się z naszymi sprawami sprzed wielu lat.

– Stamm... Był tam?

– Prowadził nawet trening. Tyle że jedna rzecz nam się nie zgadza. W dniu, w którym zniknął chłopiec, Stamm otwierał jakiegoś orlika pod Poznaniem. Sprawdziłem to. W Pruszkowie

pamiętali to dobrze, w końcu wszystko działa się nie tak dawno temu. Stamm denerwował się nawet, że spóźni się na to otwarcie...

Zamknąłem oczy.

– Musi być jakieś wytłumaczenie – powiedziałem. – Facet pojawia się we wszystkich przypadkach, gdy mordowani są chłopcy. Nie powiesz mi, że to zbieg okoliczności. Może był tam pod Poznaniem i wrócił. Sprawdziłeś taką możliwość?

– Sprawdzamy. Nie wiadomo też, o której godzinie znikł chłopiec. To komplikuje sprawę. Ale mam tu coś jeszcze... – Zawiesił głos. – Pamiętasz, gdy mówiłeś o Marchwickim, powiedziałeś, że wkracza nowy gracz. Więc ja też mam nowego gracza. Wiesz, kto prowadził tam trening razem ze Stammem? Jacek Kos. Nasz świętej pamięci reprezentacyjny obrońca.

– Mogli działać razem – powiedziałem. – Tylko dlaczego Kos miałby to robić? Może po prostu zaprowadził gdzieś chłopaka, przetrzymał go... – głośno myślałem – a resztę zrobił Stamm. W każdym razie mamy jeszcze jeden dowód na to, że Kos miał poważny powód, by spotkać się z Grubasem... Najpewniej został namierzony. Miał się wykupić albo pogrążyć swojego mentora.

– *À propos* Grubasa – wtrącił Maciejewski. – Wciąż nie znaleźliśmy żadnych plików, papierów... Nie mamy nic. Sprawdziliśmy natomiast kartkę, którą znalazłeś w piwnicy. W piłkarskiej centrali są kwity pisane przez Stamma z czasów, gdy robił uprawnienia trenerskie.

– To on napisał tę kartkę?

– Próbką jest niewielka. Na jej podstawie grafolog wykluczył, że jest to pismo Stamma. To jednak dopiero wstępna ocena.

Zakląłem głośno. Ta opinia grafologa niewiele na razie zmieniała. Nie wykluczała Stamma z kręgu podejrzanych. Gdyby jednak było inaczej, gdyby to on był autorem, miałbym wreszcie mocny dowód, by powiązać dawną gwiazdę futbolu z zabójstwami. Muszę być cierpliwy, pomyślałem. Każdy odkryty przypadek pogrążał go coraz bardziej. Trzeba wyjaśnić, jaki udział w tej sprawie miał Kos. I kiedy Stamm powrócił do Pruszkowa. Byłem pewien, że Maciejewski dopnie swego i uporządkuje fakty.

Spojrzałem na zegarek. Zbliżała się jedenasta. Miałem nadzieję, że Joseph wyjawি mi coś, co pozwoli przyszpilić zabójcę. Musiałem tylko powstrzymać się od gwałtownych ruchów. Cierpliwość była najważniejsza. I uderzenie w odpowiednim momencie.

Nie jestem fanem galerii handlowych. Nie rozumiem tych wszystkich ludzi, którzy błyszczącymi oczami wpatrują się w szyby przepastnych witryn. Nie potrafię z przejęciem opowiadać o polowaniu na fioletowy sweterek w serek albo buty do biegania z inteligentnym protektorem najnowszej generacji i oddychającą cholewką. Byłbym zapewne kiepskim słuchaczem takich historii, gdyby ktoś mi je opowiadał. Nie uczestniczę także w piątych urodzinach „Żabki” ani siódmych „Biedronki”. Ani w podobnych świętach. Należę do gatunku konsumenckich abnegatów, ale i tacy muszą z jakiegoś powodu istnieć w łańcuchu pokarmowym.

Do Silesia Center mam naprawdę blisko, a mimo to byłem tam tylko dwa razy. Za pierwszym Kastoriadis zaprosił mnie na sushi. Za drugim, gdy nie miałem pomysłu, co zrobić z samym sobą, poszedłem do kina. Tytuł wybrałem na chybił trafił. Nie pamiętam nawet, co to było.

Zamówiłem americanę. Na spodku obok filiżanki leżało kruche ciasteczko w kształcie wielbłąda. Usiadłem przy stoliku w rogu. Nauczyłem się, że są takie sytuacje, gdy trzeba zapewnić rozmówcy jak najlepsze warunki. Czułem, że to właśnie jeden z takich momentów. Sięgnąłem do kieszeni spodni i znalazłem długopis oraz kartkę z pubu „Return”. Sporo się od tamtego czasu zmieniło. Spojrzałem na trójkąt, którego wierzchołki oznaczały zabitych chłopców, Grubasa oraz mordercę. Czy nie powinienem do tego schematu dodać Jacka Kosa? Czy to możliwe, by istniał piłkarski gang uprowadzający i mordujący młodych zawodników? Ta hipoteza brzmiała absurdalnie. Było za wcześnie, by łączyć obrońcę z tą sprawą. Musi być inne wyjaśnienie, w jaki sposób Stamm pogodził wizytę w Poznaniu z porwaniem chłopca kilkaset kilometrów dalej.

– Robi pan notatki zupełnie jak pewien trener. – Usłyszałem głos za plecami. – Grałem na obronie, a on rysował nam takie schematy. Nic z tego nie rozumieliśmy, więc graliśmy po swojemu. Raz wygrywaliśmy, raz nie. I na tym polega piękno futbolu. – Roześmiał się.

Nade mną stał Robert Kruczek i uśmiechał się, jakby występował w reklamie pasty do zębów. Był w tej samej koszulce polo, którą miał na sobie, gdy widzieliśmy się w Zabrze. Przez ramię miał przewieszoną torbę. Uścisnął mi rękę. Nie musiałem zastanawiać się, co tam robił. Wyjaśnił mi to, zanim poszedł złożyć zamówienie.

– Joseph mówił mi, że umówił się z panem. Prosił mnie, bym się pojawił. Nie bardzo wiem, o co chodzi. A pan?

– Też mi nie powiedział.

– Joseph robi się na starość tajemniczy. – Roześmiał się i ruszył do baru.

Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć po jedenastej. Joseph spóźniał się. Ciekawe, co tym razem go zatrzymało. Dlaczego zaplanował rozmowę w obecności Kruczka? Być może chciał się w jakiejś sprawie poradzić albo czegoś dowiedzieć. Miał jednak sto innych możliwości, aby to zrobić. Z jakiegoś powodu obaj byliśmy mu potrzebni. Sięgnąłem po telefon. Ojciec miał wyłączoną komórkę.

– Jak się pan czuje w taką pogodę? – zapytał Kruczek, stawiając na stole kawę i wodę mineralną. – Bo ja fatalnie. A, właśnie. – Sięgnął do torby, ale nie wyjął laptopa, tylko lekarstwa. – Muszę przyjmować te świństwa o stałej porze. – Łyknął je i popił wodą.

Bezmyślnie nabazgrałem coś nad zdjęciem Johna McEnroe i schowałem kartkę. Modliłem się, żeby ojciec już przyszedł, nie chciałem słuchać piłkarskich opowieści tego faceta.

– Wie pan – ciągnął Kruczek – po czym widać oznaki starzenia? Po tematach rozmów. Coraz częściej, gdy spotykam się z ludźmi w moim... w naszym wieku – spojrzał na mnie i poprawił się – rozmawiamy o tym, co kogo boli, czy może jeszcze pić albo jakie piguły w siebie wrzuca. Pan też tak ma?

Mruknąłem pod nosem coś, co miało zabrzmieć jak „nie”, i napiłem się kawy. Wsunąłem do ust ciasteczko.

– A zauważył pan – Kruczek ciągnął niezrażony – że podczas meczów komentator nigdy nie mówi, że sportowcy piją? Oni zawsze uzupełniają płyny. Co jest z tym Josephem? – Spojrzał na zegarek. Wyjął telefon i zadzwonił.

– Ma wyłączoną komórkę. A obiecywał, że jeśli coś mu wypadnie, to da znać. Słowność nie jest ostatnio jego mocną stroną. Albo z jego pamięcią jest gorzej.

Pomyślałem, że zaraz poznam sekrety prowadzonej przez nich firmy. Pewnie chętnie bym ich wysłuchał i przy okazji dowiedział się czegoś o ojcu. Tylko że tym razem nie miałem na to czasu.

– Spodziewamy się jeszcze kogoś? – zapytałem.

– Kogo?

– Joseph umówił się z panem. A co ze Stammem?

– Jurek? On jest w Darłowie. Nad morzem. A trzy dni temu uczestniczył w jakiejś akademii piłkarskiej w Zakopanem. Jutro ma tu wracać. Przyjechałem z Niemiec wczoraj. A za dwa dni wracamy we trójkę do Hanoweru dopiąć kontrakt chłopaka z Zabrze. Nie narzekamy na brak roboty. – Zatarł ręce. – Pamięta pan tego agenta piłkarskiego, z którym spięliśmy się w klubowej kafejce?

– Tego mokrego Włocha?

W pierwszej chwili wydał się zaskoczony, ale zrozumiał, o co mi chodzi.

– Tak, tego. Więc podebraliśmy mu piłkarza. – Uśmiechnął się od ucha do ucha.

Był zadowolony, że przechytrył konkurenta, i nie wyglądał, jakby dręczyły go wyrzuty sumienia.

– A co Stamm robi w Darłowie?

– Jak to co? – Zdziwił się. – Pojechał do matki. On stamtąd pochodzi.

Rzeczywiście. Czytałem w biogramie. W ostatniej chwili powstrzymałem się, by o tym nie wspomnieć. Kruczek zapewne

byłby zaskoczony, że śledzę przebieg kariery jego przyjaciela i współnika. I z pewnością powiedziałby mu o tym.

– No i odwiedzi też brata. – Kruczek podparł ręką podbródek, a jego wzrok powędrował gdzieś daleko.

– Brat też tam mieszka?

Popatrzył na mnie przeciągle.

– To straszna historia. Jurka brat był młodszy o dwa lata. Też grał w piłkę. Jeśli Jerzy był wielkim talentem, to nie wiem, jak należałoby mówić o Jarku... Wszyscy wróżyli mu wielką przyszłość.

– Co się z nim stało?

– Nie żyje. Miał szesnaście lat, gdy zginął. Przysypała go ziemia. Słyszałem, że szukano innych przyczyn, ale to był nieszczęśliwy wypadek.

Dopił kawę kilkoma szybkimi łykami, jakby wyczerpały go ostatnie zdania. Obaj po kolei zadzwoniliśmy do Josepha. Bez rezultatu. A jednak to przedpołudnie w Silesia Center nie było dla mnie stracone. Dowiedziałem się więcej, niż mógłbym się spodziewać.

Wpisałem numer telefonu Kruczka do komórki i wyjaśniłem, że to na wszelki wypadek, gdybym nie mógł skontaktować się z Josephem.

Wycieraczki pracowały w szybkim rytmie, a przez moją głowę przetaczały się dziesiątki skojarzeń. Jarosław Stamm ginie w 1978 roku. Jego brat nie łapie się wówczas do kadry na mistrzostwa świata w Argentynie. Być może ta śmierć miała coś wspólnego ze spadkiem formy. Być może z depresją. To tylko przypuszczenia. Jarosław miał szesnaście lat. Był niewiele starszy od tych, którzy zostali zamordowani. Był też, tak jak i oni, cholernie zdolny. Może

nawet jeszcze lepszy. Tak czy inaczej wyróżniał się. Ginie pod zwałami ziemi. Wiem, jak wygląda śmierć w osuwisku. Bywa, że zgon nie następuje od razu. Wtedy umiera się w męczarniach. Z wycieńczenia. Bez jedzenia. Bez picia. Całymi długimi godzinami.

Deszcz spływał po szybach. Z trudem widziałem jadące przede mną samochody. Lecz coraz wyraźniej rysował mi się przed oczami obraz zdarzeń sprzed wielu lat.

Kolejne raporty nie wniosły nic nowego. Rozglądałem się za Kuleszą, ale nigdzie nie mogłem go znaleźć. Był kwadrans po pierwszej, gdy zadzwonił. Nie zdążyłem opowiedzieć mu, czego dowiedziałem się podczas spotkania w Silesia Center.

– Jestem w drodze do Rabki – przekrzykiwał silnik samochodu.

– Dokąd?

– Do Rabki. Ściślej, jadę do Rabkolandu.

Do jednego z raportów dołączona była dodatkowa informacja. W weekend w Rabce zaginął dziesięcioletni chłopiec. Kulesza zapewne zlekceważyłby ten przypadek, gdyby nie zdanie dopisane odręcznie, z którego wynikało, że zaginiony przyjechał do Zakopanego, by wziąć udział w zajęciach akademii piłkarskiej. Aspirant wykonał kilka telefonów. Potwierdził informację, że Jerzy Stamm był gościem tej imprezy. O tym akurat już wiedziałem z zupełnie innego źródła.

– Co to jest ten Rabkoland? – zapytałem. – To taki nasz górski Disneyland?

– Tak. Taki sezonowy. Czynny od maja do września, nastawiony na letnie szkoły, kolonie i obozy. Kolejka górską, dom strachu i takie tam... – Kulesza najwyraźniej nie nadawał się na żywą reklamę parku rozrywki. – Dzieciaki to uwielbiają. Wyjazd do Rabkolandu

miał być jedną z atrakcji towarzyszących akademii piłkarskiej. Chłopak zniknął około czternastej. Policjanci przeglądają zapis z kamer. Podczas takich imprez prawie wszyscy robią zdjęcia. Pojadę też do Zakopanego i przejrzę wszystkie nagrania uczestników obozu. Coś musimy znaleźć...

Chłopiec zniknął dwa dni temu. Stamm przetrzymuje go gdzieś. Jeśli rzeczywiście pojechał do Darłowa i zamierza wrócić jutro, zostawi małego bez jedzenia i picia na dwie doby. Chyba że ktoś mu pomaga. Co mówił Kruczek? Że pojutrze we trzech wracają do Niemiec. A zatem Stamm będzie chciał zakończyć sprawę przed upływem tygodnia. Zabije chłopca. Albo rozwiąże to inaczej i pozwoli mu umrzeć. Wiedziałem, co trzeba zrobić.

– Jadę do Darłowa! – krzyknąłem do telefonu. Opowiedziałem Kuleszy o spotkaniu w galerii handlowej. O bracie Stamma, który zginął przywalony ziemią. Mówiłem i słyszałem pomruk silnika samochodu.

– Nie pora powiadomić o wszystkim Marchwickiego? Albo może zaczekamy, aż Stamm wróci znad morza, i wtedy dobierzemy mu się do dupy?

– Marchwicki nic z niego nie wycisnie – odpowiedziałem. – Wciąż mamy tylko poszlaki, chociaż coraz mocniejsze. Będą go przesłuchiwać, a w tym czasie chłopak umrze. Na powrót Stamma też przecież nie możemy czekać. A co będzie, jeśli tym razem zmieni sposób działania i o dzień przedłuży sobie pobyt? Dzieciak nie przetrzyma tyle bez picia.

– To co chcesz zrobić?

Milczałem, rozważając w głowie różne możliwości.

– Nie wiem – odpowiedziałem w końcu zgodnie z prawdą. – Zmuszę go, by wskazał miejsce, gdzie przetrzymuje chłopca. Nie mam pojęcia, jak to zrobię, ale wyduszę z niego wszystko.

Dwie godziny później jechałem w kierunku Wrocławia. Przekroczyłem granicę i pędziłem niemiecką autostradą na północ. Joseph byłby ze mnie dumny.

Nie wiedziałem jeszcze, że następnych kilkadziesiąt godzin odcisnie się na zawsze na moim życiu.

Nie jestem dobrym kierowcą. I zawsze dziwię się tym, którzy mówią, że prowadzenie samochodu ich relaksuje. Być może za dużo oglądali w życiu amerykańskich filmów drogi. Pogoda była fatalna, a ja w moim volkswagenie nie czułem się zbyt pewnie. Pędziłem, czyli jechałem z szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę, mijany lewym pasem przez wszystko, co tylko się poruszało.

Darłowo znałem z opowieści. Bardzo długo nasz pokój w wydziale zabójstw dzieliliśmy na trzy. Miejsce przy drzwiach zajmowała aspirant Trzcińska. Wiele razy opowiadała Kuleszy i mnie, chłopakom ze Śląska, o dzieciństwie spędzonym nad morzem. Gdy miałem siedem czy osiem lat, zazdrościłem tym wszystkim, którzy słyszą na co dzień szum fal i mogą kąpać się w morzu, kiedy tylko najdzie ich ochota. Po latach dotarło do mnie, że wyobrażenia także i w tym wypadku rozmijają się z rzeczywistością. Wybrzeże w opowieściach aspirant Trzcińskiej nie miało nic wspólnego z wakacyjną widokówką.

Ponure ciężkie fale obijające się o betonowe kotwice. Obłądny, wyjący godzinami wiatr mieszający się z odgłosem bucza z latarni morskiej. Opowieści o marynarzach, którzy nigdy nie powrócili, i o samobójcach, którzy postanowili skończyć ze sobą właśnie w takiej scenerii.

Trzcińska poznała mężczyznę swojego życia we Wrocławiu. Porządny chłopak. Nie pracował w policji. Zamieszkała na Dolnym Śląsku, a w pokoju przybyło nagle metrów kwadratowych do podziału. Żaden z nas nie anektował wolnej przestrzeni, jakbyśmy się bali, że w ten sposób sprowadzimy na nas nieszczęście i dostaniemy kogoś z przydziału.

Obliczyłem, że do Darłowa dotrę w nocy.

W normalnych okolicznościach przespałbym się w samochodzie. Nie ja pierwszy, nie ostatni, zwłaszcza nad morzem w sezonie letnim. Padał jednak deszcz i było wilgotno. Bałem się, że w takich warunkach przypomni o sobie zespół Raynnauda. A choroba, na którą cierpiałem, mogłaby wyeliminować mnie z gry.

Zadzwoiłem więc do Trzcińskiej i poprosiłem o przyjacielską przysługę. Odezwała się po godzinie.

– Łatwo nie było, chociaż do wakacji trochę brakuje. Wszyscy krzywili się, że potrzebujesz tylko jednego noclegu. Ale dało radę. I to w supermiejsku. Masz coś do pisania?

Podyktowała mi adres. Ulica Conrada przy skrzyżowaniu ze Słowiańską. Bardzo ładnie. Nieco literatury, nieco prehistorii.

– Szczęściarz z ciebie, Hipis. Będiesz nad samym morzem. Módl się, jeśli potrafisz, by deszcz przestał padać, to skorzystasz przy okazji. Po co właściwie tam jedziesz?

– Jak to po co? – Wzruszyłem ramionami, chociaż nie mogła tego widzieć. – Jadę pogadać z mordercą. Znasz mnie.

Znała mnie, więc o nic więcej nie pytała. Podziękowałem za przysługę. Z niewielką pomocą przyjaciół można załatwić wszystko.

Pomyślałem o Stammie i chłopcu z Rabkolandu. Nawet jeśli chłopiec przeżyje, do końca życia będzie miewał koszmary. Na jawie

i we śnie powracać będzie twarz mordercy. Nigdy nie zapomni miejsca, w którym był przetrzymywany. Taka będzie cena życia. Dom strachu. Żałowałem, że nie ma Kastoriadisa. Nie zawahałbym się ani chwili i zabrał mistrza ze sobą. Nie miałem wątpliwości, że pokazałby Stammowi kilka niezapomnianych sztuczek.

W połowie drogi zatrzymałem się na stacji benzynowej. Zatankowałem, kupiłem kawę i kanapkę. Para zażywnych siedemdziesięciolatków w dresach rozłożyła mapę przy stoliku obok. Trochę się sprzecjali. Trochę żartowali. Nie rozumiałem ani słowa. Chciałem zadzwonić do ojca. Sięgnąłem do kieszeni i zorientowałem się, że nie mam komórki. Podbiegłem do samochodu i wróciłem do baru z telefonem.

Ci, którzy wierzą w telepatię, mieliby kolejny dowód na jej istnienie. W komórce czekała na mnie wiadomość od Josepha. Przepraszał, że nie dotarł na spotkanie. Coś zdarzyło się w klubie i pokrzyżowało mu plany. Przeprosił jeszcze raz. Żałował, że nie spotkało się ze mną trzech przyjaciół z boiska, bo spotkanie w Zabrze było bardzo miłe. Obiecał, że odezwie się za kilka dni, gdy w klubie wszystko wróci do normy.

Odsłuchałem wiadomość raz jeszcze i wybrałem numer ojca. Jego telefon znowu milczał jak zaklęty.

Zbliżałem się do granicy z Polską, gdy odezwał się Kulesza. Był w Zakopanem. Przejrzał filmy z Rabkolandu. Nie znalazł na nich człowieka, który powinien tam się znaleźć.

– Nie do wiary – powiedział. – Jak ten facet to robi? Zupełnie jakby był niewidzialny. Przecież musiał tam się zjawić. Ktoś musiał go widzieć. Albo przypadkiem złapać na zdjęciu. Ale dzwonię do

ciebie też w innej sprawie. Mamy sukces. Przycisnąłem tych małych piłkarzy. Powiedziałem im, co grozi ich koledze. I jeden pękł.

– Co powiedział?

– Dzień przed wyjazdem do Rabki ten zaginiony, aha, on nazywa się Grzegorz Banaś, powiedział koledze z pokoju, że czeka na niego niespodzianka. Ktoś powiedział mu, że jest świetnym piłkarzem, ma ogromny talent i dostanie fajną pamiątkę.

– Chłopak rozmawiał ze Stammem?

– Tego nie wiem. Banaś nie chciał podobno nic więcej zdradzić, bo obiecał, że wszystko zachowa w tajemnicy. A tajemnica to rzecz święta. Kto ją zdradzi, umiera w męczarniach. Usłyszałem to od tego chłopca, który mieszkał z nim w pokoju.

Była noc, gdy dotarłem do Darłowa. Krążyłem w kółko ze dwadzieścia minut, szukając pensjonatu. Czułem się tak, jakby ktoś siłą zamykał mi oczy, ale nie chciałem się poddać.

– Chciałbym się odświeżyć – powiedziałem do recepcjonistki. – Czy o tej godzinie mam tu jeszcze jakąś szansę?

W mig zrozumiała, o co mi chodzi.

– Proszę zajrzeć do hotelu „Apollo”. To parę kroków od nas. Prosto w stronę morza, a potem w prawo.

Podziękowałem i wyszedłem. Po raz drugi wyraziłem wdzięczność w myślach, gdy dotarłem na miejsce. Miałem szczęście. Światła w barze były przyciemnione. Przy kontuarze siedział ostatni klient, a barman nalewał mu piwo. Przez ułamek sekundy zdawało mi się, że plecami do mnie siedzi Jerzy Stamm. Było to jednak tylko złudzenie. Nerwy i zmęczenie. Muszę nad nimi zapanować.

– Właśnie przyjechałem z Katowic – powiedziałem. Uznałem, że jest to wystarczające usprawiedliwienie obecności w barze o tej

godzinie. – Poproszę setkę finlandii i obiecuję, że zaraz spadam.

Usiadłem na uboczu. Przede mną stały dwa zmrożone kieliszki. Kto kogo? Rano stanę twarzą w twarz z wyrachowanym mordercą, a wciąż nie mam pomysłu, jak rozegrać to spotkanie. Improwizacja jest dobra, gdy mam próbę w kanciapie z kolegami, ale to nie znaczy, że zawsze się sprawdza.

Podszedłem do baru z pustymi kieliszkami. Nie poprosiłem o repetę.

– Znacie panowie Jurka Stamma? Podobno jest w Darłowie.

Barman zgarnął puste kieliszki i odwrócił się. Za to drugi mężczyzna położył mi na ramieniu dłoń. Wydawało mi się, że tylko dzięki temu utrzymywał równowagę.

– Wszyscy go tu znamy. – Spojrzał na mnie i zakołysał się na stołku. – On jest najlepszy. Zawsze był najlepszy. – Kiwał głową, jakby miał chorobę sierocą. – Będzie tu jutro o dziesiątej tak jak dziś. Obiecał, że wpadnie pożegnać się przed wyjazdem.

Wódka postawiła mnie na nogi. Czułem się lepiej niż pół godziny wcześniej. Recepcjonistka zapytała, czy udało mi się odświeżyć, ja zaś potwierdziłem. Zapytałem o ulicę Wilków Morskich. Wyjęła folder z mapką Darłowa. To też niedaleko stąd, tylko że po drugiej stronie rzeki. Być może do wszystkich miejsc stosuje się tu formułę: „niedaleko stąd”. Nastawiłem budzik w telefonie na siódmą.

Tajemnica to rzecz święta. Kto ją zdradzi, umiera w męczarniach. Nie wiem, dlaczego te zdania przyszły mi do głowy przed snem.

Poranek przywitał mnie krzykiem mew i bólem głowy. Nie miałem kaca. Nie miałem po czym go mieć. Zaatakował mnie po prostu natłok wrażeń. W pensjonacie zjadłem śniadanie. Uznałem, że dwie parówki i jajko w majonezie plus kawa załatwią sprawę.

Wiatr przebił moje ciało zimnym podmuchem, gdy zbliżyłem się do samochodu. O ósmej trzydzieści dotarłem na ulicę Wilków Morskich. Po drodze minąłem zapatrzoną w siebie parę oraz samotnika z siatką wypchaną piwami. Rozumiałem go doskonale. Pogoda była barowa. Deszcz padał przez całą noc, zmieniała się tylko jego intensywność. Kilkakrotnie przetarłem zaparowaną od środka szybę i zacząłem obserwować skromny, otynkowany na biało domek. Budynek wyglądał niepozornie przy otaczających go pensjonatach i nic nie wskazywało na to, że właśnie tu wychowała się gwiazda polskiej piłki.

Brakowało kilku minut do dziewiętej, gdy Stamm wyszedł z domu. Miał na sobie żółty płaszcz przeciwdeszczowy. Rozejrzał się, jakby kogoś się spodziewał, założył kaptur na głowę, wsunął ręce do kieszeni i ruszył w kierunku morza. Odczekałem pięć minut i zapukałem do drzwi.

Otworzyła mi kobieta w kraciastym fartuchu. W jednej dłoni trzymała nóż, w drugiej ziemniaka. Przemknęło mi przez głowę, że to dziwna pora na przygotowywanie obiadu. Ale może jej życie toczy się innym rytmem.

– To nie jest pensjonat. Pan się pomylił.

Wyjąłem legitymację.

– Chciałem porozmawiać o pani synu.

Wpuściła mnie do środka.

– Czy coś się stało? – zapytała. – Jurek wyszedł przed chwilą...

– Nie chcę rozmawiać o Jerzym – powiedziałem cicho. – Chcę porozmawiać o Jarosławie.

Przede mną stała drobna kobieta, która skurczyła się jeszcze bardziej, jakby ktoś położył jej na ramionach ogromny ciężar. Jakby

wymienione przeze mnie imię i wywołane tym samym wspomnienia wgniatały ją w ziemię.

– Wiem, że to dla pani trudne, ale proszę opowiedzieć mi o tamtym wypadku. Jak to się stało?

Poprowadziła mnie do kuchni, odłożyła nóż, ale ziemniaka wciąż trzymała w dłoni. Z trudem panowała nad sobą.

– Po co to panu?

– Prowadzimy śledztwo w sprawie sprzed wielu lat. Zupełnie przypadkiem natrafiliśmy na informację o pani synu. Sprawdzamy wszystko. Jechałem tu całą noc z Katowic, by porozmawiać...

Usiadła na stołku, a ja kucnąłem obok.

– Nigdy nie wierzyłam, że to był wypadek – wyszeptała. – Jarek od małego wiedział, że tam są usypiska. Raz, gdy zapuścił się w to miejsce, złożył mu skórę. To był rozsądny chłopiec...

– Znalezione przy nim butelkę piwa. – Dowiedziałem się tego od Kruczka. – Może po prostu wypił jedno w ustronnym miejscu, a potem...

– Tak mówili pańscy koledzy z policji... Z milicji – poprawiła się.
– Ale on nie pił ani nie palił. Wiedziałabym...

– Kiedy to się stało?

– Był środek wakacji. Sierpień. Dwa dni po święcie... po Wniebowzięciu. Grał w piłkę z bratem i już nie wrócił. Podobno pokłócili się podczas meczu i każdy poszedł w swoją stronę. Znaleźli go po trzech dniach... – Wykonała ruch ręką, wskazując kierunek. – Pan nie jest stąd, dobrze zrozumiałam?

– Tak.

– Mówili – uniosła głowę – że jest bardzo zdolny, że ma talent. Ale ja – jej głos stał się mocniejszy – zawsze uważałam, że ta piłka

to same kłopoty.

– Dlaczego?

– Rok wcześniej byli na obozie piłkarskim. We trzech, razem z Robertem Kruczkim. Też podczas wakacji. I ktoś zaproszył w ośrodku ogień. Wszyscy przeżyli, ale co ja się strachu najadłam... A potem jeszcze plotkowali, że to była jego wina. Ale on nie palił. Wiedziałabym...

Nagle coś w niej pękło. Ramiona zaczęły drżeć, a z gardła dobiegł cichy szloch.

– Proszę pani... – Położyłem rękę na jej ramieniu. – Proszę pani...

Podniosłem się. Coś zatrzeszczało w moich stawach. Popatrzyłem na płaczącą kobietę. Chciałem jej coś powiedzieć, ale nie wiedziałem co. Że zaraz zatrzymam jej syna, wielokrotnego mordercę?

– Bardzo dziękuję – wymamrotałem i wycofałem się w stronę drzwi.

W hotelu „Apollo” dwie rodziny jadły śniadanie. Chłopiec krzyczał, że nie ruszy warzyw, a dziewczynka wydłubywała coś z jajecznicy. Takie problemy wychowawcze były już poza mną. W barze zobaczyłem tego samego gościa, którego spotkałem w nocy. Obok filiżanki espresso stało małe piwo. Być może w ogóle nie opuszczał tego miejsca.

Najwyraźniej poznał mnie i przywołał ruchem dłoni.

– Jeśli szuka pan Jurka, to jest tam. – Wskazał palcem za okno.

Na pomoście stał samotny mężczyzna w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym i patrzył w morze. Rozejrzałem się po plaży. Była pusta. Deszcz i wiatr skutecznie odstraszyły wczasowiczów.

W oddali powiewał baner informujący o turnieju piłki plażowej, który zapewne miał się nie odbyć.

Podszedłem do baru, kupiłem małe piwo i postawiłem przed mężczyzną. Popatrzył na mnie zaskoczony, a potem wybełkotał podziękowanie. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może odezwała się we mnie solidarność cechu pijaków.

Na drzwiach hotelu wisiał plakat reklamujący koncert faceta, którego w latach siedemdziesiątych nazywano „polskim Elvisem”. Ciekawe, czy ktoś przyjdzie go posłuchać w taką pogodę. Wiatr i deszcz smagały mi twarz. Brnąłem przez piasek. Wreszcie dotarłem do pomostu. Wspiąłem się po schodkach. Deski zaskrzypiały, ale Stamm się nie odwrócił. Wciąż wpatrywał się w spienione fale.

– Niezła pogoda na rozmyślania – powiedziałem.

Odwrócił twarz w moją stronę. Chwilę trwało, zanim mnie rozpoznał. Uśmiechnął się.

– Proszę! Syn Josepha Heinza. Co za spotkanie! – Wciąż trzymał ręce w kieszeniach. Uważnie obserwowałem jego ruchy.

Oparłem się o barierkę pomostu.

– Ciekawe – spojrzałem na zamgloną linię horyzontu – jakie myśli przychodzą ci do głowy, gdy widzisz te fale.

Uśmiechnął się ponownie.

– Taka pogoda to dla mnie wybawienie. Nie ma krzyku dzieci ani tych wszystkich plażowiczów. Życ nie umierać.

Życ nie umierać.

– Może zastanawiasz się, jak to zrobić tym razem?

Spojrzał na mnie i wyjął ręce z kieszeni.

– Nie rozumiem – powiedział. – To ma być żart?

– Ależ rozumiesz, doskonale rozumiesz. Zastanawiasz się, co zrobić z chłopcem z Rabki. Gdzie on jest? Gdzie go przetrzymujesz?

Oderwał się od barierki i stanął naprzeciwko mnie. Zrozumiał, że mówiłem poważnie. Stałem plecami do morza. W oddali rozległ się dźwięk syreny. Spojrzałem w prawo i zobaczyłem zbliżający się statek.

– Nie wiem, o czym mówisz – wydusił.

Jego oczy stały się czujne.

– Rok 1991 – zacząłem wyliczać. – Zamordowany chłopiec w Sosnowcu. Rok 1993. Morderstwo w Warszawie. Potem następuje dłuższa przerwa. Zupełnie jak w meczu, nie? A może zabijałeś wtedy w Niemczech, Belgii, we Francji i w Portugalii? Możesz być pewien, że sprawdzimy to wszystko. Jest rok 2008 i legenda polskiej piłki znów jest w formie. Zabijasz chłopaka w Pruszkowie. A teraz Rabka... Gdzie on jest? – krzyknąłem.

Patrzył na mnie i ciężko dyszał. Kilka mew wzbiło się w powietrze.

– Wszystko szło dobrze, ale zaczęły się komplikacje – warknąłem.

– Pewien dziennikarz sportowy wpadł na twój ślad. Podejrzał, że masz współnika. Że jest nim Jacek Kos. Facet nie wytrzymał i rzucił się pod pociąg. A ty zwabiłeś Grubasa w pułapkę i zabiłeś go. Tak jak pewnego mężczyznę w 2002 roku. Gdzie trzymasz chłopaka? – kolejny raz powtórzyłem pytanie.

– Oszalałeś, Heinz! – wrzasnął, ale silny podmuch wiatru niemal go zagłuszył. – Oszalałeś!

– Muszę przyznać, że masz, bydlaku, nerwy ze stali. Ale to przecież dla ciebie nie pierwszozna. Jesteś podobno dobrym pokerzystą – cedziłem. – Byłeś nieomylnym wykonawcą rzutów

karnych. Jak cię nazywali? Egzekutor? Dobrze, naprawdę dobrze! Pasuje do ciebie znakomicie.

Zauważyłem, że w hotelu „Apollo” dwie twarze przyklejone do szyby przyglądały się nam z uwagą. *Show must go on.*

– Zastanawiam się, dlaczego to robisz? Dlaczego zabijasz młodych zdolnych piłkarzy? Takich jak twój brat. Opłakujesz jego śmierć w ten sposób? A może sam miałeś z nią coś wspólnego? Może był za dobry? I zazdrosny Jureczek wykończył go po jakiejś kłótni. Wepchnąłeś go do dołu, a ziemia...

– Ty skurwysynu! – krzyknął i rzucił się na mnie.

Zrobił krok do przodu i zamachnął się pięścią. Wtedy zahaczył butem o deskę pomostu. Uchyliłem się, a Stamm całym ciężarem runął na barierkę. Na ułamek sekundy jego nogi zawisły w powietrzu, by po chwili znaleźć się po drugiej stronie pomostu. Próbował dłonią przytrzymać się poręczy, ale nie zdołał. Zanim uderzył ciałem w betonowe kotwice falochronu, zawył rozpaczliwie. Później słyszałem już tylko szum fal.

– Głupcze. Cholerny głupcze – powiedziałem przez zaciśnięte zęby.

Nie mówiłem do Stamma, ale do samego siebie. Pomyślałem o chłopcu z Rabki, który rozpaczliwie walczy o życie.

Karetki pogotowia i wozy policyjne to nieczęsty widok na plaży. Przy hotelu „Apollo” stał spory tłumek gapiów i wpatrywał się chciwie w ludzi uwijających się za biało-niebieską taśmą. Niektórzy zapewne myśleli, że kręcimy jakiś film.

Zbliżało się południe. Deszcz przestał padać. Wciąż było zimno, ale nie zważałem na to. Zdjąłem szary płaszcz przeciwdeszczowy i cisnąłem go w piasek.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. – Starszy policjant z sumiastym wąsem pocierał dłonią czoło. – On? Wszyscy go tu znamy. Sam jako szczeniak grywałem z nim w gałę.

– Nie pan jeden tak mówi – odparłem. – W każdym razie spotkanie skrzydłowego, obrońcy i łącznika się nie odbędzie...

Popatrzył na mnie zdziwiony.

– Jakie spotkanie?

– Skrzydłowego, obrońcy i łącznika. Jest taka piosenka. O trzech przyjaciółach z boiska.

– To nie tak – powiedział po chwili.

– Słucham?

– Pomylił się pan. Mój ojciec katował mnie tą piosenką, gdy byłem mały. – Westchnął. – Zaśpiewam to panu o każdej porze dnia i nocy. Skrzydłowy, bramkarz i łącznik. Tak jest w tym tekście.

Do policjanta podszedł jeden z lekarzy i odciągnął go na bok.

Powlokłem się do hotelu „Apollo”. Gromadka rozstała się i przepuściła mnie do środka. Zamówiłem kawę i usiadłem przy tym samym stoliku, przy którym siedział wcześniej mój nocny rozmówca.

Wyjąłem telefon z kieszeni i jeszcze raz odtworzyłem wiadomość od ojca. Nagle cała sprawa ukazała mi się w innym świetle. Skrzydłowy, obrońca i łącznik. To niemożliwe, by Joseph tak się pomylił. Mógł nie pamiętać imienia własnej matki, mógł zapomnieć moje, ale jeśli coś dotyczyło piłki nożnej, był bezbłędny. W tych sprawach miał pamięć absolutną.

Wybrałem jego numer, chociaż wiedziałem, że telefon będzie wyłączony.

– Głupiec. Cholerny głupiec – powiedziałem do siebie kolejny raz tego dnia.

Powinien być bramkarz, a jest obrońca.

Obrońca.

Zrozumiałem, że popełniłem fatalny błąd.

DOGRYWKA – PIERWSZA POŁOWA

29

I co powiedział? – zapytałem policjanta z sumiastym wąsem.

– Że czeka mnie podróż życia. Ale nie będziemy jechać tym rzęchem. – Krytycznym spojrzeniem obrzucił mój samochód. – Pojedziemy tym. – Wskazał palcem wypucowanego saaba. – A swój wóz kiedyś odbierzesz.

W ten sposób podkomisarz Krzysztof Wąsik został moim kierowcą. W jego wypadku nie wiedziałem, czy nazwisko jest uzupełnieniem sumiastego wąsa, czy też zarost jest ozdobnikiem, który towarzyszy nazwisku. Wszystko jedno. Ważne, że nie włókł się sto trzydzieści na godzinę. Kategorycznie oświadczył, że nie będzie zatrzymywał się na kawę i w najlepszym razie należy mi benzyny do kubka.

Przez kilka godzin, które spędziłem w Darłowie, mój telefon rozgrzał się do czerwoności. Maciejewskiemu i Kuleszy powiedziałem, czego mają szukać. Spróbowałem połączyć się z Krygierem. Oddzwonił do mnie po godzinie.

– Czego potrzebujesz? – zapytał, gdy przedstawiłem mu przebieg zdarzeń.

– Jesteśmy w sytuacji podbramkowej. Zaraz dam ci do telefonu podkomisarza z Darłowa. To sympatyczny facet. Wy tłumacz mu, że ktoś z jego ludzi musi zawieźć mnie do Katowic. Sam nie mogę prowadzić, muszę mieć wolne ręce.

– Jak amerykański prezydent w Air Force One?

– Właśnie tak. Chciałbym poprosić o coś jeszcze.

– Mów.

– Potrzebuję informacji od belgijskiej policji. Niech sprawdzą, czy w 1996 roku odnotowali uprowadzenie chłopca. Był przetrzymywany i mógł być głodzony. A potem został uduszony. Chłopak najpewniej grał w piłkę w jakimś klubie.

– Drobnostka. Na kiedy to potrzebujesz? Za dziesięć minut, za piętnaście?

Ironia Krygiera była nie na miejscu.

– Najszybciej, jak się da. Niech zaczną od Charleroi i okolic. – Przypomniałem sobie to, co znalazłem wcześniej w internecie. – Chociaż nie mam żadnej pewności, że to właściwy trop. Załatwisz to?

– Mam znajomych policjantów we Francji, a oni mają swoich znajomych w Belgii. Spróbuję.

Wykonałem także telefon do Marchwickiego.

– Mamy skurwysyna – zacząłem krótko i na temat.

Po raz kolejny w ciągu niedługiego czasu opowiedziałem tę samą historię. Nie zadawał zbędnych pytań. Nie miał pretensji, że dopiero teraz dowiaduje się o wszystkim.

– Czego pan potrzebuje, komisarzu? – zapytał, gdy skończyłem.

Powiedziałem mu o Belgii i 1996 roku. Nie grymasił. Nic też nie obiecywał.

– Coś jeszcze?

– Otoczcie naszego przyjaciela opieką. Gdyby wyczuł pismo nosem, zaczniście działać. Gdyby wyjeżdżał gdzieś, obserwujcie go. Być może będzie chciał zabić chłopca. A być może kogoś jeszcze.

Moi ludzie też będą mieli go na oku. Więc nie wystrzelajcie się nawzajem.

Połączyłem się z Robertem Kruczkiem i poprosiłem, by zjawił się w komendzie nazajutrz o dziesiątej rano.

– Nie wiem, czy będę mógł... Czy to naprawdę takie ważne?

– Pański przyjaciel Jerzy Stamm nie żyje.

W tle słyszałem odgłos włączonego telewizora. Rozległ się śmiech, a potem oklaski. Najwyraźniej Kruczek oglądał jakiś program w hotelowym pokoju.

– Jak to się stało? – zapytał wreszcie.

– Nie mogę o tej sprawie rozmawiać przez telefon. Pańska obecność jest bardzo istotna i może nam pomóc.

– Dobrze – powiedział po chwili wahania – będę. Nie mogę skontaktować się z pańskim ojcem. Nie wie pan, co się z nim dzieje?

– Też nie mogę go złapać – odparłem i rozłączyłem się.

Była osiemnasta, a my pędziliśmy na złamanie karku do Katowic, gdy zaczęły odzywać się telefony zwrotne. Maciejewski potwierdził moje przypuszczenia. W Pruszkowie dobrze pamiętali tego człowieka. Kulesza zadzwonił po powrocie z Zakopanego.

– Obserwujemy go. Nigdzie nie wychodził. Przy okazji nasi ludzie ucieli sobie pogawędkę z sympatyczną parką z konkurencji.

O dziewiątej wieczorem odezwał się Krygier.

– Mam, co chciałeś. W Belgii, a zwłaszcza w Charleroi, sporo się wtedy działo, cała belgijska policja została postawiona na nogi, zresztą nieważne... Zdarzył się tam jeden dziwny przypadek, którego nie potrafili połączyć ze swoimi śledztwami. Ktoś uprowadził chłopaka. Przetrzymanywał go i głodził. Mały rzeczywiście grał w piłkę.

– I został uduszony.

– Otóż nie! Uciekł oprawcy.

– Uciekł?

– Tak. Wydostał się z jakiejś piwnicy. Był w szoku. Policjanci nic nie mogli z niego wydobyć. Chłopak nie umiał wskazać miejsca, w którym był przetrzymywany. Ale w kółko powtarzał jedno...

Przycisnąłem telefon mocniej do ucha, jakbym bał się, że umknie mi ważne słowo. Gdy skończyliśmy rozmawiać, poczułem, że jesteśmy już blisko zakończenia sprawy. Wąsik spojrział w lusterko wsteczne, ale nie odezwał się.

Brakowało mi ostatniego elementu tej układanki. Czekala mnie jeszcze jedna rozmowa z Marchwickim.

– Sytuacja się nieco zmieniła – zacząłem. – Belgijski ślad okazał się właściwy.

Opowiedziałem mu o rozmowie z Krygierem.

– Moi ludzie są wolniejsi – warknął. – Co z tego wynika?

– Z tego, że są wolniejsi?

– Nie baw się w komika, Heinz. – Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. – Już za pierwszym razem przegiąłeś. Co wynika z belgijskiego śladu?

– Musi pan namierzyć doktora Olewnika.

– A to znowu kto? – Zdziwił się Marchwicki.

– Lekarz sportowy. Podobno z Warszawy. Proszę go przekonać, że są wartości cenniejsze od tajemnicy lekarskiej. Powiedzieć mu o zamordowanych chłopcach. Zresztą sami wiecie lepiej, jak przekonywać ludzi.

Nie skomentował ostatniego zdania.

– Chcesz z nim porozmawiać, tak?

– Koniecznie. O każdej porze dnia, a raczej już nocy. Ściągnijcie go z kochanki. Albo wydobądźcie spod ziemi. Wszystko jedno.

Marchwicki westchnął. Najwyraźniej miał mnie dosyć. Wąsik kolejny raz spojrzął w lusterko i tym razem się uśmiechnął.

Była głęboka noc, gdy zakończyliśmy z Kuleszą omawiać wszystkie szczegóły. Towarzyszył nam podkomisarz z sumiastym wąsem, który wymógł na mnie swój udział w finale tej sprawy. Przysługa za przysługę. Trudno było odmówić mu racji. Raz jeszcze punkt po punkcie omawialiśmy wszystkie poszlaki. Wykonaliśmy telefon do Darłowa. Ułożyliśmy klocki tak, by stworzona konstrukcja się nie chwiała. Byliśmy jak trzech przyjaciele z boiska. Prawie.

Zbliżał się świt, gdy zadzwoniłem do doktora Olewnika. Całą noc musiał czuwać przy telefonie, bo odebrał niemal natychmiast. I raczej to ja byłem tym, który miał zaspany głos.

– Bardzo przepraszam panie doktorze – zacząłem. – Proszę mi wierzyć, kontaktuję się z panem, bo nie mam wyboru.

– To raczej ja nie mam wyboru – odpowiedział szorstko. – Tak mi powiedział pański sympatyczny kolega. Rozmawiam z panem tylko dlatego, że mamy sytuację wyższej konieczności, zgadza się?

Przytaknąłem.

– Na początek, doktorze, proszę mi powiedzieć – spojrzałem na leżącą przede mną kartkę – co to jest rapamune?

Godzinę później odłożyłem długopis i odetchnąłem z ulgą. Wszystkie elementy wskoczyły na swoje miejsce.

30

Dziewiętnastego maja punktualnie o dziesiątej do naszego pokoju wszedł Robert Kruczek. Rozejrzał się i bez słowa usiadł na krześle, które zwykle zajmował Kulesza.

– Dzwoniłem do Darłowa. Nikt nie chciał mi nic powiedzieć. – Popatrzył na mnie ze złością.

– Mamy powód, by zachowywać w tej sprawie pewną wstrzeźliwość – odpowiedziałem. – Prosiłbym, by nie udzielano żadnych informacji.

– Nawet najbliższemu przyjacielowi i współpracownikowi?

– Nawet panu.

– Dlaczego? – Kruczek rozparł się na krześle. Zdjął z czoła okulary przeciwsłoneczne i zaczął się nimi bawić.

– Tu nie chodzi tylko o śmierć – powiedziałem znacznie ciszej.

– Słucham? – Kruczek przechylił głowę.

– Tu nie chodzi tylko o jego śmierć – uściśliłem. – Mamy poważne podstawy, by podejrzewać, że pański przyjaciel uprowadził chłopca, który uczestniczył w akademii piłkarskiej w Zakopanem.

– To... to niemożliwe. Jurek? Porwanie? Przecież to jakaś pomyłka!

– Zachowuje się pan bardzo szlachetnie, ale to niestety prawda. Podejrzewamy też, że Stamm popełniał w przeszłości poważniejsze przestępstwa.

Położył okulary na stole i pokręcił głową.

– To... to wszystko jakiś absurd... Znam... znałem go od lat. Nigdy w to nie uwierzę.

– Problem polega na tym, że Stamm nie żyje. Nie powinienem tego mówić, ale był pan przecież jego przyjacielem. On się zabił. Jak Jacek Kos. Swoją drogą, dużo tych samobójstw w waszym otoczeniu, nie sądzi pan? Teraz jednak najważniejszy jest chłopiec. Ten z Rabki. Przeczესujemy rozmaite miejsca. Na razie bez skutku. Może zupełnie przypadkiem Stamm powiedział panu coś, co mogłoby nam pomóc. Proszę pomyśleć.

– On był w Zakopanem, a ja...

– Proszę się zastanowić – nalegałem. – Może chodzić o zupełnie nieznaczącą pana zdaniem wypowiedź. Przypadkiem powiedział coś o jakimś miejscu, wymienił nazwę miejscowości albo ulicę...

Zacisnął usta i zmrużył oczy. Podczas mistrzostw świata w intensywnym myśleniu zdobyłby medal. Rozległo się pukanie do drzwi i do środka zajrzał mężczyzna z sumiastym wąsem.

– Przepraszam, panie komisarzu. Mamy coś nowego.

Wziął mnie pod ramię, odciągnął na bok i pokazał kilka zdjęć.

– Chodzi jeszcze o to, że pański ojciec... – Mężczyzna popatrzył na moją rozmówcę i szepnął mi coś do ucha.

Pokiwałem głową jak ksiądz podczas spowiedzi i coś odszepnąłem.

Gdy drzwi się zamknęły, spojrzałem na Kruczka.

– Muszę pana przeprosić – powiedziałem. – Mamy w tej sprawie coś nowego. I bardzo liczę na pańską pomoc. Proszę, by był pan z nami w kontakcie. Gdyby...

– Zrobię, co będę mógł – przerwał mi. – Chociaż wątpię, czy mogę okazać się pomocny.

Pięć minut później siedziałem w samochodzie. Podążaliśmy za niebieskim subaru.

– Obiekt kieruje się na południowy zachód – powiedział mój kierowca przez radio.

Śledzenie samochodu to robota, która mnie przerasta. Jestem pewien, że nie potrafiłbym się właściwie zachować. Teoria to teoria, ale w takich sytuacjach liczą się doświadczenie i przejechane kilometry. Nie można niczego spieprzyć. Dostałem najlepszego z możliwych kierowców, który utrzymywał się w odpowiedniej odległości od śledzonego pojazdu. Wiedziałem, że nie jedziemy sami. Towarzyszyła nam ekipa Marchwickiego. W myślach prosiłem tylko o to, by kierowca subaru nie dodał gazu i nam nie odskoczył. I żeby ci napaleńcy z drugiego wozu nie byli nadgorliwi i nie zaczęli działać na własną rękę.

Wjechaliśmy do Ligoty. Podejrzewałem, że jesteśmy blisko. Przed wojną Ligota była wsią. Wprawdzie od dawna stanowiła już część Katowic, ale coś z dawnego klimatu pozostało. Wiele ze stojących tam domów należało do właścicieli, którzy mieszkali w Niemczech. Mijaliśmy ogrodzenia z tablicami: „Do wynajęcia”. Byłem prawie pewien, że właśnie przed takim budynkiem zatrzyma się subaru.

Nie pomyliłem się. Kierowca zgasił silnik, rozejrzał się i wszedł do środka. Na dwóch sąsiednich posesjach wisiały znajome tabliczki. Nie było to miejsce na odludziu, ale opuszczone przez mieszkańców i dyskretne. Wybrał świetną lokalizację. Wiedział, jak to się robi. Był zawodowcem, a to zapowiadało kłopoty.

– Wchodzę do środka – powiedziałem przez radio. – Gdybym nie pojawił się za piętnaście minut, wracajcie.

Ci z drugiego samochodu nie protestowali. Nawet gdyby chcieli, to nie mogli. Nie na darmo odbyłem z Marchwickim długą poranną rozmowę.

Podbiegłem do drzwi i wyjąłem glocka. Odbezpieczyłem broń. Nacisnąłem klamkę i odetchnąłem z ulgą. Morderca czuł się na tyle pewnie, że zostawił otwarte drzwi. Albo z jakiegoś powodu się spieszył.

Wszedłem do przedpokoju i zacząłem nasłuchiwać. Zrobiłem kilka kroków, zlustrowałem kuchnię i salon. Ze ściany popatrzyły na mnie martwe oczy jelenia. Spojrzałem w prawo i dostrzegłem we wnęce drzwi. Najciszej, jak tylko się dało, otworzyłem je. Zszedłem po schodach do piwnicy. Mój wzrok przyzwyczał się do ciemności i dostrzegłem kolejne wejście. W prawej ręce trzymałem pistolet przy głowie, a lewą położyłem na lodowatej klamce. Nasłuchiwałem odgłosów, ale na próżno. W ten sposób nie zlokalizuję mordercy. Poczuję, że mam spieczone usta. Nagle usłyszałem jakiś trzask i cichy jęk. Wpadłem do środka i zmrużyłem oczy porażony światłem jarzeniówki.

Usłyszałem chichot, a potem go zobaczyłem.

Stał przy filarze i przytykał nóż do szyi chłopca. Mały kręcił rozpaczliwie głową, ale nie był w stanie krzyknąć. Usta miał zaklejone szarą taśmą, jakiej używa się do oklejania paczek. Nóż także wydał mi się znajomy. Widziałem go w barze „Pod Siódemką”.

– Proszę, proszę, komisarz Heinz we własnej osobie. Joseph, to chyba miłe, że syn przyszedł cię odwiedzić?

Przy drugim filarze stał ojciec. Tułów i ręce miał przywiązane do konstrukcji, a na ustach szarą taśmę. Joseph szarpnął ciałem raz i drugi. Po chwili bezsilnie jęknął.

– Rzuć pistolet, Heinz – powiedział Robert Kruczek. – Chyba że chcesz zobaczyć, jak podrzynam małemu gardło. Chcesz tego? Kręcą cię takie widoki?

Mogłem strzelić. Pewnie są twardziele, którzy zrobiliby to na moim miejscu. Nie miałem jednak pewności, że trafię Kruczka, a nie chłopca. A już żadnej, że zabiję go tym strzałem. Powoli opuściłem rękę i rzuciłem broń pomiędzy nas.

– Ten facet, który szeptał ci coś o ojcu, to była podpucha? – Kruczek roześmiał się. – Chciałeś mnie sprowokować, bym tu przyjechał? W sumie udało ci się. Ale i tak bym to zrobił. Mam tu przecież coś do załatwienia.

– Jak tam twoja nerka? – zapytałem. – I noga? W porządku?

Przestał się śmiać. Chwycił chłopaka za włosy i podniósł mu głowę do góry, odsłaniając gardło.

– Pewnie chcesz wiedzieć, jak na to wpadłem. Powinienem zacząć od początku, ale zrobię inaczej. Jest rok 1996 i pracujesz jako skaut w belgijskim klubie. Porywasz chłopaka, a ten ucieka. Masz mnóstwo szczęścia, bo chłopak jest w szoku. Nie potrafi wskazać, gdzie był przetrzymywany. Ale pamięta jedno. Zapach. Czuł odór, gdy zbliżałeś do niego twarz. Fachowo nazywa się to *foetor ex ore*, jeśli nic nie przekreśliłem. Oddech mocznicowy charakterystyczny przy niewydolności nerek. Długo rozmawiałem z twoim lekarzem, doktorem Olewnikiem. Swoją drogą, świetny z niego fachowiec. Z pewnością go pamiętasz...

Kruczek splunął na podłogę.

– Złamane udo, zakażenie kości, infekcja, która tliła się przez kilka lat, a jako powikłanie niewydolność nerek. Nie znam się na tym, ale w skrócie tak to wygląda. Zacząłeś leczenie dializami, a następnie otrzymałeś przeszczep. To było w czasach, gdy zniknąłeś w Azji. Może nawet nosisz w sobie nerkę żywego dawcy, jakiegoś biednego Hindusa?

– Jesteś, Heinz, na złym kursie i złej ścieżce – warknął.

– Musisz dwa razy dziennie przyjmować lekki przeciwodrzutowe. I właśnie taki specyfik miałeś ze sobą, gdy widzieliśmy się w Silesia Center i nadaremno czekaliśmy na Josepha, który już wtedy przebywał w tej piwniczce. Rapamune. Przypadkiem zapisałem tę nazwę na kartce. Nazwa, to też wiem od Olewnika, pochodzi od grzyba pleśniowego wyizolowanego z próbek gleby z Wyspy Wielkanocnej.

– Bravo – powiedział – zdumiewasz mnie. Wkuwałeś to chyba całą noc.

– Od terapii możesz mieć też nieznacznie upośledzony słuch – powiedziałem cicho.

– Kurwa! – krzyknął i błyskawicznie znalazł się przy drugim filarze. Roześmiał się i przytknął Josephowi nóż do oka.

– A teraz powiem ci, skąd to się wzięło. Jest rok 1977. Dobrze zapowiadający się obrońca Robert Kruczek wyjeżdża na obóz piłkarski razem z dwiema gwiazdami, Jarosławem i Jerzym Stammami. W ośrodku w nocy wybucha pożar. Skaczecie przez okno. Oni wychodzą z tego cało. Ty fatalnie łamiesz nogę. Wiele lat później złamałeś ją jeszcze raz w tym samym miejscu.

– Gówniarz zaproszył ogień... Mówiłem mu, by tam nie palił. – Kruczek patrzył to na mnie, to na Josepha.

– O karierze piłkarza mogłeś zapomnieć. Postanowiłeś ukarać chłopaka. Podejrzewam, że zabiłeś go, choć nie potrafię tego dowieść. A potem zamordowałeś wielu innych zdolnych chłopców, którzy mieli to nieszczęście, że spotkali ciebie na swojej drodze. Mściłeś się za roztrzaskane udo i roztrzaskane życie. Za to, że musiałeś zrezygnować ze świata piłkarskich fantazji na rzecz szarego życia.

Wzbierała we mnie nienawiść.

– Kręciłeś się w pobliżu Stamma. On był uwielbianą gwiazdą, ty byłeś jego pomocnikiem, skazanym przez fatalną kontuzję na życie w cieniu. Domyślam się, jak musiałeś się czuć. Panowałeś nad swoimi emocjami, ale gdy świat wymykał ci się spod kontroli, zabijałeś. W 1991 roku w Sosnowcu, dwa lata później w Warszawie.

– Nikt mi nie udowodni, że tam byłem...

– Mylisz się. Jerzy Stamm żyje.

– Kiepsko kłamiesz, Heinz. Twój ojciec robi to lepiej, gdy mam kontraktami piłkarzy.

– On żyje. Ma połamane nogi i żebra, ale żyje. Byłeś razem z nim na tych obozach w Sosnowcu i Warszawie, wiem to na pewno. Rozmawiałem ze Stammem w szpitalu po wypadku i to potwierdził. Swoją drogą, dlatego tak późno wróciłem z Darłowa. Ale gdy zabijałeś w Pruszkowie w 2008 roku, Stamm był pod Poznaniem. Więc nie on jest mordercą. Gdy ty byłeś w Charleroi, on grał we Francji. Mam nawet filmik na YouTube, jak strzela wtedy bramkę.

– Twój czas się kończy, Heinz – powiedział spokojnie. – Masz jeszcze jakieś mądrości w zanadrzu? – Przycisnął ostrze do policzka ojca. Joseph jęknął, a po jego twarzy spłynęła strużka krwi. – Cofnij się!

Za filarami walały się dziecięce zabawki. Wybebeszony pluszak i grzechotka. W kącie stał rozklekotany wózek spacerowy. Niewielkie okno przesłonięte było dyktą. Mój czas rzeczywiście się kończył. Za chwilę mieli wkroczyć uzbrojeni ludzie. Obawiałem się, że więcej niż jedna osoba straci życie w tej piwnicy. Kruczek zginie, ale pociągnie kogoś za sobą. Wybierze chłopca czy Josepha? A może rzuci się na mnie?

Zrobiłem krok w tył.

– W tym roku nagle do akcji wkroczył Grubas. Nie wiem, jak to się stało, ale zaczął łączyć zabójstwa chłopców z twoją osobą. Rozmawiał z Kosem. Może podejrzewał go o współudział. Tego nie wiem. Facet nie wytrzymał i rzucił się pod pociąg. Sprawą zainteresował się Joseph i atmosfera zaczęła się zagęszczać... Przestraszyłeś się, że ktoś dobierze się wreszcie do ciebie.

Rzuciłem okiem na leżący na ziemi pistolet.

– Do tyłu, Heinz! – rozkazał.

Wykonałem jeszcze jeden krok.

– Muszę ci powiedzieć, że wpadłeś na świetny pomysł. – Z uznaniem pokiwałem głową. – Postanowiłeś wykończyć swoich współników, zanim nabrali podejrzeń. A przy okazji przejąłbyś cały interes. Chciałeś zrobić ze Stamma seryjnego mordercę. Tak naprawdę nienawidzisz go i obwiniasz za swoje niepowodzenia...

– Do tyłu! Nie słuchasz mnie! – Znów doskoczył do chłopca.

– A potem zagrałeś ostro. Zwabiłeś Grubasa, poddałeś torturom i zabiłeś go. Do piwnicy na Powiślu podrzuciłeś drewnianą skrzynkę. Do tego potrzebowałeś kluczy. Nawet gdyby nie zainteresowała nas kartka, to ludzka skóra musiała zrobić wrażenie. Jestem pewien, że charakter pisma na kartce jest twój. Prowadziłeś mnie jak po

sznurku. Uwięziłeś Josepha i wysłałeś mi esemesa z jego telefonu. A w galerii handlowej, przy kawie, przypadkiem opowiedziałeś mi o bracie Stamma...

Przełknąłem ślinę.

– Popełniłeś jednak kilka błędów.

– Ja nie popełniam błędów.

Dostrzegłem w jego oczach wzbierającą wściekłość.

– Pamiętasz spotkanie w Zabrze? Mówiłeś wtedy o długoterminowej prognozie pogody. Co ona cię obchodziła, skoro miałeś siedzieć w Niemczech? Ale byłeś w Polsce. Postanowiłeś uprowadzić tego chłopca. – Wskazałem ręką. – To miał być koronny dowód na zbrodniczą działalność Stamma. Podejrzewam, że tym razem zostawiłbyś przy zwłokach jakiś drobiazg jednoznacznie wskazujący na twojego przyjaciela. Dałeś uciec tamtemu chłopcu w Belgii. Pozwoliłeś, by ktoś zapamiętał skromnego, nierzucającego się w oczy menedżera z obozu sportowego w Pruszkowie. Nie powiedziałeś mi, że byłeś w Darłowie, gdy Jarosław Stamm zginął w usypisku. Ale najpoważniejszym błędem było to, że kazałeś Josephowi wykonać do mnie telefon, który miał mnie uspokoić. Kiepsko znasz piosenkę o trzech przyjaciółach z boiska. On cię nam wystawił. Po prostu cię przechytrzył. Jak rasowy napastnik kiepskiego obrońcę... Tyle o tym.

– Nikt mnie nie przechytrzył! – ryknął.

– Zróbcie to. Zanim znowu zabiję. – Ściszyłem głos.

– Co? Co powiedziałeś? – Wykonał ruch głową do przodu.

– Zróbcie to. Zanim znowu zabiję – powtórzyłem. – Pamiętasz swój list, Kruczek? Więc zrobimy to. Tak jak chciałeś. Ten budynek jest otoczony. To koniec.

Kruczek zwrócił głowę w stronę okienka. Zwyczajny odruch w sytuacji zagrożenia. Ten ułamek sekundy wystarczył, by stracił kontrolę. Joseph szarpnął ciałem, a następnie z całej siły nadepnął butem na podbicie jego stopy. Chrupnęły kości i rozległ się wrzask. Zanurkowałem i chwyciłem glocka. Nacisnąłem spust i przetoczyłem się po podłodze. Wstałem, Kruczek także się podniósł. Nie patrzył ani na Josepha, ani na chłopca. Szalone oczy wpatrywały się we mnie. Rękę, w której trzymał nóż, przycisnął do krwawiącego ramienia.

– Zróbcie to! – krzyknął. – No dalej!

Rzucił się na mnie z wyciągniętym nożem. Skręciłem ciało w prawą stronę i wykonałem unik. *Kawashi*. Tyle razy ćwiczyłem to z Kastoriadisem. Wstał i z dzikim wrzaskiem rzucił się na mnie jeszcze raz. Ponownie nacisnąłem spust. Potoczył się w stronę okna, uderzył twarzą w dziecięcy wózek i upadł. Przy prawym boku pojawiła się plama krwi, która powiększała się z każdą sekundą.

Joseph szarpał się przy filarze, a z oczu chłopca płynęły łzy.

Oparłem się o ścianę. Musiałem złapać oddech.

Do piwnicy wpadło troje uzbrojonych ludzi.

– Nie ruszać się! – Usłyszałem kobiecy głos. Policjantka podeszła do leżącego ciała, a potem szybko zbliżyła się do mnie.

– Nic ci nie jest? – zapytała.

Nie odpowiedziałem. To był koniec. Chciałem, by wszyscy dali mi spokój.

DOGRYWKA – DRUGA POŁOWA

31

Kolejne dni upływały na domykaniu śledztwa. Z Niemiec otrzymaliśmy informację o zabójstwach dwóch chłopców. Obaj trenowali piłkę nożną. Przynajmniej z jednym z tych przypadków mógł być powiązany Robert Kruczek. Czekaliśmy na wieści z Portugalii, ale wiadomo, jak długo trzeba czekać na wiadomości z końca świata. Na jednym ze zdjęć z Rabki uchwycono mężczyznę podobnego do mordercy, jakkolwiek w tej sprawie także nie mieliśmy pewności. Jerzy Stamm złożył zeznania i potwierdził, że Kruczek był z nim w Polsce, gdy dokonywano zabójstw. Następnie wrócił do Niemiec, by kontynuować rehabilitację. Obrażenia okazały się mniej groźne, niż na początku uważano.

Odwiedziłem Josepha w szpitalu. Gdy mnie ujrzał, podniósł się gwałtownie na łóżku i równie szybko, z grymasem oznaczającym bezsilność i rezygnację, opadł.

– Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało. – Starał się, by jego głos brzmiał mocno, ale widziałem, ile sił go to kosztuje.

– To jego samochód widziano pod twoim domem, gdy ktoś się włamał? – Nie chciałem męczyć go pytaniami, ale rozmowa sama tak się potoczyła.

Przytaknął.

– Tak. Najpewniej to był jego wóz. Nie subaru. Inny. Zacząłem się zastanawiać, czy on nie robi jakichś przekrętów za naszymi plecami.

Futbol to dżungla i nie jesteśmy święci. Ale coś mi w tym wszystkim nie grało. On by nas wykończył, prawda? Mnie i Stamma... I to biedne dziecko...

Nie miałem wątpliwości, że właśnie tak by się stało. Tyle że Kruczek wpadł w nasze ręce.

– Ale nogę to masz. – Zmieniłem temat. – Zgniotłeś mu staw. Poszedł do grobu ze zmiążdżoną nogą.

– Musiałem coś zrobić. To była ordynarna nakładka. – Uśmiechnął się słabo. – Za takie zagranie wyleciałbym z boiska. Dostałbym czerwoną kartkę.

– Ale to on ją dostał. I na szczęście nie wróci na boisko.

Ojciec zacisnął dłoń na moim przedramieniu. W pierwszym odruchu chciałem cofnąć rękę. Nie uczyniłem jednak nic.

Lekarz, który opiekował się Josephem, był znacznie starszy ode mnie. Zapytałem go, jak wyglądają rokowania.

– Szybko dojdzie do siebie. Ma silny, wytrenowany organizm. Mnie przeżyje na pewno, a może i pana. Pamiętam jeszcze, jak grał. Był naprawdę świetny.

Wina Kruczka nie budziła niczyich wątpliwości. W sprawie pozostało jednak kilka zagadek. Wciąż nie wiedzieliśmy, jaką rolę odegrał w całej historii Grubas. I co stało się z dokumentami, które obciążały mordercę. Jeśli nie zostały zniszczone, Maciejewski wygrzebie je spod ziemi. Zapowiedział, że raz jeszcze, centymetr po centymetrze, przeczesse mieszkanie na Powiślu i zdewastowany dom w Sandomierzu.

Pojechałem do Darłowa, odebrałem samochód i spędziłem kilka dni nad morzem. Hotel „Apollo” omijałem szerokim łukiem. Nie zamierzałem rozdawać autografów. Woda w Bałtyku była zimna, ale tym razem mi to nie przeszkadzało. Nie obawiałem się nawet, że

przyjdzie do mnie mój przyjaciel Raynaud i ból w stawach unieruchomi mnie na jakiś czas. Trwałem w odrętwieniu i było mi z tym dobrze. Zabrałem ze sobą jedną z powieści Lee Childa, ale lektura szła mi średnio. Bohater jego książek z pewnością uznałby mnie za mięczaka. Gdy trzeba było strzelać, robił to bez zmrużenia oka i nie popadał potem w apatię.

Raz zebrałem się w sobie i zadzwoniłem do młodego. Dwóch poranionych mężczyzn odbyło chropowatą rozmowę.

– Szkoda, że jak zwykle dowiaduję się o wszystkim ostatni – warknął, gdy zakończyliśmy część pogawędki w rodzaju: „Co tam u ciebie?”.

– Nie było okazji pogadać – nieudolnie próbowałem się tłumaczyć.

– Dziadek Józek znalazł okazję.

Dziadek Józek. Dobrze sobie.

– Powiedział mi, że gdyby nie on, obaj byście nie żyli.

Chciałem odpowiedzieć, że Joseph trochę przesadził. Ale po chwili pomyślałem, że może wcale nie tak bardzo minął się z prawdą. Miałem o wiele więcej do powiedzenia, ale nie umiałem tego z siebie wydusić. Czułem, że w wypadku młodego jest podobnie. Nasze słowa zawisły gdzieś w próżni, jakby zgubiły drogę do odbiorcy.

Gdy wróciłem znad morza zagraliśmy koncert w Piekarach Śląskich, w pubie „U Jacka”. Kończyliśmy smętnego molowego bluesa, a mnie zdawało się, że zobaczyłem na sali Trolla. Jego obecność była jedynie złudzeniem. Brakowało mi tego, by wkroczył tu dawny herszt z watahą kiboli w szalikach i z chustami na szyi, którzy postanowili wymierzyć mi sprawiedliwość. Jakiś agresywny

mężczyzna niewiele młodszy ode mnie domagał się bisu. Chciał, byśmy zagrali *Hey Joe*. Mam zamiar zastrzelić moją kobietę, przypomniałem sobie fragment tekstu. W innych okolicznościach nie stanowiłoby to dla mnie problemu. Na razie miałem jednak dość broni palnej. Zagraliśmy cover, w którym mowa jest o tym, że w życiu piękne są tylko chwile. Pewnie to prawda. Chodzi jednak o to, jak rozkładają się proporcje między dobrymi momentami i tymi naprawdę kiepskimi.

Stałem przy barze i czekałem na piwo, gdy poczułem, że ktoś kładzie mi rękę na ramieniu. Ta dłoń nie należała do żadnej z moich fanek, o ile takie istnieją, to wiedziałem na pewno. Odwróciłem się. Przede mną stał Marchwicki. Niebieskie światło tworzyło niezwykłą poświatę na łysej czaszce.

– Niezła robota, komisarzu – powiedział.

Nie wiedziałem, czy ma na myśli koncert, czy sprawę Kruczka. Rozejrzałem się.

– Widzę, że zgubił pan gdzieś swoich aniołów zagłady w lustrzankach. – Zetknąłem palce tak, że utworzyły dwa kółka, i przyłożyłem je do oczu.

Grubymi palcami dotknął czaszki, jakby sprawdzał, czy nie powstało w niej niespodziewane wgłębienie.

– Jestem tu prywatnie. A pańskie żarty bywają męczące.

– Wyjaśnił pan swoją sprawę? – zapytałem.

Nie odpowiedział. Lustrował półki z alkoholem, ale niczego nie zamówił. Obok nas rozległ się donośny śmiech. Usłyszałem cichy wystrzał i drgnąłem. Odwróciłem się. Chłopak odkorkował szampana i po chwili zaintonował *Sto lat*. Kolejne głosy dołączały do niego.

Marchwicki nachylił się nade mną.

– To nie jest jego skóra – powiedział. – Badania to wykluczyły.

A zatem jest to zagadka, której pewnie nigdy już nie rozwiążemy. Tę tajemnicę morderca zabrał ze sobą do grobu. Podobnie jak kilka innych.

Pytał mnie pan, dlaczego zajmuję się tamtą historią. To nie był mój syn ani brat. To był brat pewnej kobiety... Znów mówię panu więcej, niż powinienem.

Zamilkł.

– Naprawdę dobra robota – powtórzył.

Zrozumiałem, że nie mówi o koncercie. W sumie poczułem ukłucie żalu.

Marchwicki odwrócił się i ruszył w kierunku wyjścia. Odprowadziłem go wzrokiem i zauważyłem, że się lekko garbi. Mimo to kilku dwudziestolatków, którzy stali mu na drodze, rozsunęło się na boki.

– Kto to był? – zapytał basista, gdy wróciłem do stolika.

– Cień – odpowiedziałem. – Cień człowieka.

Nie sądzę, by ktoś z siedzących przy stoliku mnie zrozumiał. Wiedziałem, że mężczyzna o wygolonej głowie nie ustanie w tropieniu zabójcy. Ta sprawa nadaje sens jego życiu. Niewykluczone, że nada sens także jego śmierci.

Kulesza przeglądał papiery, którymi tak interesował się B-16. Były to akta niewyjaśnionych zabójstw. Sam przerzuciłem kilka teczek i uświadomiłem sobie, że nie chcę do nich wracać. Postanowiłem zostawić to aspirantowi.

Dwa tygodnie po koncercie, 11 czerwca, gdy upał zaczął dawać się we znaki, snując się korytarzem, spotkałem Grzywę. Pozdrowiliśmy

się bez słów.

– Zaczekaj, Hipis. – Usłyszałem za swoimi plecami.

Odwróciłem się. Grzywa miał niewyraźną minę. Słyszałem, że jego notowania po akcji w klinice spadły, ale miałem wrażenie, że chodziło o coś innego. Czekałem bez słowa.

– Miałem przekazać ci wiadomość. Kompletnie zapomniałem w natłoku spraw.

Ciekawe jakich.

– Dzwoniła do ciebie pani Justyna Kobro. Wiesz, wdowa po B-16. Prosiła, by ci coś przekazać. Chodzi o jakiś punkt. Zajrzyj do mnie do pokoju, mam to zapisane.

Pół godziny później dzwoniłem do Kuleszy. Wysłuchał w milczeniu tego, czego się już dowiedziałem. Zaczął zadawać pytania dopiero wtedy, gdy przedstawiłem mu swój plan.

Kampania prezydencka wkroczyła w ostatnią fazę. Za kilka dni mieliśmy poznać nową głowę państwa. Trwała międzynarodowa awantura o wydanie Niemcom agenta izraelskiego wywiadu. Może pójdę zagłosować, może nie. Do niedzieli było mnóstwo czasu. W tej chwili pochłonięty byłem zupełnie czymś innym. Najpiękniejszy moment w *Since I've Been Loving You* to początek piątej minuty, gdy Jimmy Page kończy gitarową solówkę. Następuje kilka spokojniejszych taktów i kolejne muzyczne uderzenie, w którym John Paul Jones grający na organach z pedałem basowym staje się mistrzem pierwszego planu. Chodzi o kanoniczną wersję studyjną, która znajduje się na trzeciej płycie Led Zeppelin i trwa siedem i pół minuty. Niemal osiem minut bluesowego trzęsienia ziemi. Według mnie to najlepszy utwór, jaki kiedykolwiek stworzono, ważny także z osobistych powodów. Przypadek sprawił, że poznałem moją przyszłą żonę w klubie, gdy rozbrzmiewała koncertowa wersja. Od wielu lat, gdy jeżdżę w okolice Bogusławic złożyć kwiaty pod krzyżem przy drodze, mam płytę z tym utworem ze sobą.

Tym razem nie było inaczej. Jak każdego miesiąca zmierzałem w tamtą stronę. Wielokrotnie w takich chwilach myślałem o naszym pierwszym spotkaniu. Ale tym razem moją uwagę zaprzętała odbyta rozmowa z Kuleszą. Raz jeszcze wałkowałem w myślach wszelkie warianty, punkt po punkcie, detal po detal.

Był ciepły, ale nie upalny dzień. Dochodziła piąta po południu, gdy zbliżałem się do celu. Opuściłem szybę w samochodzie i chłonałem zapach lasu. Przyjeżdżałem tam prawie od dwudziestu lat. Niekiedy padał deszcz, czasami powietrze stało w miejscu i nie było czym oddychać. Nauczyłem się, że w zimie, gdy jest minus dwadzieścia stopni, lepiej nie wyłączać silnika. Wprawdzie ruch samochodów był tam duży, ale szanse, że ktoś zatrzyma się przy niebezpiecznym łuku drogi, były równie duże jak prawdopodobieństwo, że dostanę Oscara.

Przez kilka pierwszych lat postawiony przeze mnie krzyż ozdobiony prostą tabliczką stał na poboczu, kilkanaście metrów od miejsca, w którym zdarzył się wypadek. Wreszcie uznałem, że należy go przenieść kawałek dalej, w spokojniejsze miejsce. Ryk tirów często sprawiał, że nie słyszałem własnych myśli. Od głównej drogi odchodziła w stronę lasu przecinka i tam ostatecznie postawiłem krzyż, w miejscu odciętym od wścibskich spojrzeń. Nigdy nikogo ze sobą nie zabierałem. Nie przywiozłem tam nawet syna, gdyż uznałem, że przywoływanie tragedii nie jest mu do niczego potrzebne. Chciałem, by był normalnym chłopakiem, by nie musiał dorastać w atmosferze rodzinnej straty i żałoby. Pragnąłem, by nie dosięgnął go ten cień. Nie pokazałem tego miejsca także Kastoriadisowi. Nigdy zresztą się o to nie dopominał. Te przyjazdy były moim prywatnym rytuałem.

Dojechałem do miejsca, gdzie droga przecięta jest kilkoma ostrzegawczymi poprzecznymi liniami. Skręciłem w boczną dróżkę. Zatrzymałem samochód i wyłączyłem płytę. Otworzyłem bagażnik, wyjąłem kwiaty oraz butelkę wody, przymknąłem klapę i zbliżyłem się do krzyża. Tabliczka leżała na ziemi. Zastanawiałem się, jak to

się stało, że odpadła. Przecież niedawno, w lutym albo w marcu, ją montowałem. Ktoś tu musiał być, pomyślałem. Czyżbyśmy nie pomylili się z Kuleszą? Schyliłem się, aby podnieść tabliczkę, i wtedy to się stało.

Cios w tył głowy odebrał mi na chwilę świadomość. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, a nogi ugięły się pode mną. Drugie uderzenie otrzymałem w plecy. Ból rozchodził się po całym moim ciele. Musiałem zostać trafiony kijem albo łopata. Zaryłem twarzą w ziemię. Poczułem jej wilgoć. Moje ręce powędrowały na plecy i ktoś sprawnie skrępował mi je taśmą. To samo uczynił z nogami. Powłókł mnie, sapiąc, kilka metrów dalej. Szarpnął mnie za włosy, jakby przygotowywał się do zdjęcia skalpu. Wciąż leżałem na brzuchu. Oprawca chwycił mnie za nogi oraz ręce i poturlał jak kulę bilardową. Zrobiłem kilka obrotów wokół własnej osi i nagle straciłem grunt. Wylądowałem w dole. Usłyszałem trzask plastikowej butelki i zimna woda przywróciła mi świadomość. Spojrzałem w górę.

Zmienił się, ale jego twarz rozpoznałbym o każdej porze i w każdych warunkach. Stalowe, zimne oczy otoczone siateczką drobnych zmarszczek. Zapuścił wąsy i brodę. Na czoło opadała mu grzywka pofarbowanych na czarno włosów.

Nade mną stał Urbaniak. We własnej osobie i do usług.

– No to, Heinz, wreszcie możemy porozmawiać. – Uśmiechnął się.
– Nasze ostatnie spotkania nie należały do udanych. Z góry przepraszam – rozłożył ręce – za mało komfortowe warunki.

Był w dzinsach i sportowych butach. Stopę opierał na łopacie, a obie ręce na trzonku. Flanelowa kraciasta koszula powiewała na wietrze. Ideał polskiego farmera.

– Nie radzę ci krzyżeć – powiedział i wskazał na łopatę. – Przez lata spędzone w szpitalu nasłuchiłem się wrzasków. Sam rozumiesz, że mogę mieć uraz.

Zwrócił oczy ku niebu, jakby stamtąd spodziewał się pocieszenia. A może liczył na to, że ktoś szczególnie go wysłucha. Wszystkie spojrzenia musiały być zwrócone na niego. Tak to już jest z ludźmi, którzy kochają samych siebie i uważają się za mistrzów ceremonii.

Ugiąłem nogi w kolanach, a plecami zaparłem się o ściankę wykopu. Powoli piałem się ku górze, a ziemia zasypywała mi oczy i wpadała do uszu. Wreszcie zdołałem wstać. Zakręciło mi się w głowie i poczułem wzbierające mdłości. Opanowałem jakoś ten odruch i spojrzałem na Inkwizytora. Z dołu wystawała mi tylko głowa.

– Napracowałeś się, Urbaniak. – Wyplułem ziemię z ust. – Moje gratulacje.

Kiwał głową jak dobry wujek na rodzinnym przyjęciu.

– Dziękuję, że to doceniłeś. Trochę czasu mi zajęło, zanim znalazłem ten krzyż. I nie wiedziałem kiedy przyjedziesz. W ogóle trochę bałem się, że coś ci wypadnie. Tylu morderców chodzi po świecie... Ale zjawiłeś się w samą porę.

– Jak takiemu pojebowi jak ty udało się przetrwać na wolności? Minęło półtora miesiąca, odkąd uciekłeś...

Lekko kołysał się na boki. Rytmiczny ruch przypominał wahadło zegara. Wpatrywał się we mnie, ale nie wiem, czy mnie widział.

– Najważniejszy jest początek... – odpowiedział wreszcie. – Trzeba zdobyć środki do życia. A potem można już chodzić po świecie.

Przestał się kołysać, wbił łopatę w ziemię i od niechcienia sypnął nią w moją stronę. Zachowywał się jak grabarz podczas pogrzebu.

Poczułem wilgotne grudki na czole i powiekach.

– Przede wszystkim – spojrzał na mnie – ty jeszcze chodzisz po świecie... A przecież jesteś mordercą. Jesteśmy – podrapał się w policzek – tak to ujmę, braćmi krwi.

Milczałem. Jeśli myślał, że mnie sprowokuje, mylił się. Nie tym razem.

– Zabiłeś swoją żonę, Heinz. Jestem pewien, że to ty wtedy prowadziłeś samochód. No, przypomnij sobie, jak to było, nie zasłaniaj się amnezją.

Szarpnąłem rękami i zacisnąłem zęby. Milcz, Heinz. Ani słowa.

Ukucnął nad krawędzią dołu.

– Przyznaj, przecież po to tu właśnie przyjeżdżasz. Po to, by przypomnieć sobie tamten dzień. A gdy już to się stanie i wróci ci pamięć... – Zawiesił dramatycznie głos. – Jak będziesz z tym żył, Heinz? No jak?

– Odpierdol się – warknąłem. – Powiedz lepiej, co słyhać na cmentarzu? Jesteś tam częstym gościem. Właściwy człowiek na właściwym miejscu.

Nie wydawał się zaskoczony pytaniem.

– Rozumiem, że zmieniasz temat, który jest dla ciebie niewygodny. Jak chcesz... Powiem ci, że nie jesteś tak bystry, jak ci się wydaje. Są bystrzejsi od ciebie. Na przykład twój kolega. Przyłąził do mnie i podejrzewał mnie o bardzo brzydkie rzeczy, wyobrażasz sobie? Tak mówiąc między nami – ściszył głos – miał rację. Dowiedziałem się, że nie żyje. Świeć, Panie, nad jego duszą. – Uniósł głowę.

Odszedł kawałek. Usłyszałem dźwięk sprzączki. Inkwizytor otworzył plecak i wyjął z niego paczkę chesterfieldów.

– Wiesz, gdzie chowa się występnych ludzi? Przy cmentarnym murze. Mówię ci to na wszelki wypadek, gdybyś nie wiedział.

Westchnął.

– Musimy kończyć. Miło się rozmawia, ale mam jeszcze trochę pracy. Przyniosłem dla ciebie chesterfieldy. Podobno to twoje ulubione papierosy. Jeśli chcesz, dam ci jednego. Potraktuj to jako ostatnią przysługę.

Znów sięgnął do plecaka.

– A to – uniósł plastikowy kanister, jaki można kupić na każdej stacji benzynowej – będzie ostatnie namaszczenie. Tyle że nie świętymi olejami, ale benzyną.

Mokry od potu T-shirt przykleił mi się do pleców.

Usłyszałem ciche chrząknięcie. To nie był głos Urbaniaka. Należał do kogoś innego. Inkwizytor drgnął, lecz nie odwrócił głowy. Patrzył na mnie i pierwszy raz zobaczyłem w jego oczach niedowierzanie.

– Teraz przekonamy się – mruknąłem – kto jest błaznem, a kto łotrzykiem.

Nie sądzę, by zrozumiał. Za jego plecami stał Kulesza z wycelowanym w niego pistoletem. Urbaniak odłożył kanister i położył dłonie na łopacie. Widziałem, co się święci. Krzyknąłem, a w tej samej chwili Inkwizytor odwrócił się gwałtownie i sypnął ziemią w twarz aspiranta.

Padł strzał. Kulesza chybił. Urbaniak biegł w stronę drogi. Kulesza spojrzał na mnie, jakby wahał się, co ma robić.

– Strzelaj! – krzyknąłem w tym samym momencie, w którym ponownie nacisnął na spust. Inkwizytor rozłożył ręce i wspiął się na palce. Wyglądał tak, jakby wznosił się do nieba. Trwał tak sekundę

i upadł. Kulesza podbiegł do niego i odwrócił ciało. Spojrzał w moją stronę. Wiedziałem, co to oznacza.

Nie mam pojęcia, gdzie go pochowano. Nie interesuje mnie to. Mam nadzieję, że Urbaniaka opłakiwała siostra i nikt więcej. Wyrzutków chowa się przy murze. Zaczęliśmy szukać w ziemi na cmentarzu tego, co mogło być krwawym testamentem Inkwizytora. Na razie kopujemy bez skutku, ale niewykluczone, że prędzej czy później znajdziemy kości innych jego ofiar. B-16 mógł mieć przecież rację. Urbaniak dowiedział się o jego śmierci i spanikował. Ktoś mógłby zacząć przeglądać, jakimi sprawami zajmował się policjant, i dokopać się do tego samego. Połączy Inkwizytora z kolejnymi zabójstwami sprzed lat. Znow wokół niego zrobiłoby się zamieszanie. Zdecydował więc, że musi zacząć działać. W sprawie śmierci Kobry nastąpił przełom. Wyszło na jaw, że jego żona od lat była związana z pewnym mężczyzną. Między nim i B-16 mogło dojść do kłótni. Resztę już wiedzieliśmy. Przynajmniej takiej wersji trzymał się Grzywa, który przejął śledztwo i zamierzał doprowadzić je do końca.

Kulesza stanął przed komisją, która uznała, że nie naruszył procedur. Ja także musiałem złożyć wyjaśnienia. Skąd wiedziałem, że Inkwizytor zjawi się właśnie w tym miejscu? Nie wpadłbym na to bez żony B-16. W rozmowach, które toczył jej mąż z Urbaniakiem, nie chodziło o żadną grę na punkty ani o słaby punkt. Tematem był czarny punkt, szczególnie niebezpieczne miejsce, w którym stawia się znak ostrzegawczy. Tak jak to przy Bogusłowicach. Morderca uznał, że dopadnie mnie tam, na uboczu. Poza tym przypomniałem sobie zamordowanego pielęgniarza z Sosnowca. Urbaniak lubił efektowne zakończenia. Dobrze przygotował się zresztą do zadania.

W torbie znaleźliśmy mapę i szkic terenu. Trzy zapalniczki i dwie paczki zapalek. Tak na wszelki wypadek. Przy jednym z drzew stał rower, którym pokonał ostatnie kilometry w swoim nędznym życiu.

Tylko raz rozmawiałem z Kuleszą o tej sprawie.

– Mam nadzieję, że nie masz pretensji o to, że tak późno wkroczyłem – powiedział.

Sam tego chciałem. Tak się umawialiśmy. Kulesza miał interweniować dopiero w ostateczności. A przede wszystkim miał dać się wygadać Inkwizytorowi. Mordercy w takich sytuacjach czują się bardzo pewni siebie i uwielbiają mówić.

– Te ostatnie kilometry, gdy siedziałem w bagażniku, to była dziwna sprawa – dodał Kulesza. – Nie chciałbym tego powtarzać.

Poza tym zawarliśmy niepisaną umowę, że nie będziemy wracali do Urbaniaka. Obaj mieliśmy swoje powody. Kulesza zastrzelił człowieka. Ja nie chciałem, by krążył we mnie jad jego pytań. Dwa dni po śmierci Inkwizytora otrzymałem esemesa: „Gratulacje. Opijemy po moim powrocie”. *Sensei* Kastoriadis trzymał rękę na pulsie.

Nasze biurka zawałone były aktami. Porządkowaliśmy papiery, gdy odezwała się komórka Kuleszy. Rozpoznałem fragment piosenki Rolling Stonesów. *Sympathy for the Devil*. Klasyk z dobrego okresu, gdy chłopaki nie woziły za sobą szpitala i nie przetaczały sobie krwi. Jakoś nigdy wcześniej nie zwróciłem uwagi na ten dzwonek.

– Nie wiedziałem, że lubisz taką muzykę. – Wskazałem leżący na biurku telefon, gdy skończył rozmowę.

– Tu nie chodzi o Stonesów – machnął ręką – ale o Manchester.

Nie zrozumiałem.

– Manchester United to Czerwone Diabły. Tak ich nazywają. – Kulesza ożywił się. – Pamiętasz, pytałeś mnie kiedyś o piłkę. O to, w którym roku przyznano nam mistrzostwa.

– I?

– Chciałem ci wtedy pokazać tapetę w moim telefonie. – Sięgnął po komórkę. – Wiesz, kto to jest?

Patrzył na mnie jakiś owłosiony zwierz.

– To jest Fred the Red. Maskotka zespołu.

– Kolejny fan Manchesteru – mruknąłem pod nosem.

Wziąłem papiery pod pachę i poszedłem do archiwum.

Wróciłem do domu i włączyłem Rolling Stonesów. Nie mogłem jednak usiedzieć w miejscu. Coś nie dawało mi spokoju. W pewnym momencie sięgnąłem po pilota i wyłączyłem płytę. Jasne. Jak mogłem to przeoczyć!

Zadzwoiłem do Maciejewskiego. Dawno się nie słyszeliśmy.

– Jedź na Powiśle – powiedziałem. – Ale nie do mieszkania Grubasa, tylko do jego sąsiadki. Pamiętasz, jak nazywał się jego pies?

– Skąd mam to wiedzieć?

– Nazywał się Fred. Jak Fred the Red. Maskotka Manchesteru United. Może staruszka nie oddała go po śmierci dziennikarza. Sprawdź obrożę. I kojec, jeśli pies miał coś takiego.

Mieliśmy szczęście. W kojcu znaleźliśmy pendrive'a. Były na nim zapisane zdjęcia i fotokopie dokumentów. Grubas rzeczywiście trafił na bombę. Materiały dotyczyły nielegalnego handlu młodymi piłkarzami z Afryki oraz Azji. Stamm, twarz naszych mistrzostw, i Kruczek byli w ten proceder zamieszani.

– Nie pytasz o to, więc sam ci powiem. – Maciejewski zaczął temat podczas jednej z kolejnych naszych rozmów. – Nazwisko twojego ojca się tam nie pojawia. Według mnie jest czysty.

Dobre chociaż to.

– A zmieniając temat – ciągnął – ta sąsiadka Grubasa powiedziała mi pyszną historię. Był taki piłkarz Manchesteru, który o innym powiedział, że ma IQ niższe od numeru na koszulce. A tamten na to: „A co to jest IQ?”.

Obaj się roześmialiśmy. Dobry tekst. Muszę zapamiętać.

Dużo myślałem o tej sprawie, która rozpoczęła się od spotkania z Josephem na cmentarzu. Grubas odkrył poważną aferę, a przy okazji natrafił na coś jeszcze. Zaczął kojarzyć fakty. Zapewne uważał tak jak ja, że Stamm jest mordercą, a z Jacka Kosa uczynił swojego pomocnika. Tymczasem prawdziwy zabójca był poza podejrzeniami. Dlatego dziennikarz tak łatwo wpadł w zastawioną pułapkę. Jakie były jego intencje? Co chciał zrobić ze zdobytym materiałem? Pewnie chciał go sprzedać temu, kto da więcej. Nie było w tym żadnego romantyzmu. Tylko biznes.

Od czasu gdy odwiedziłem ojca w szpitalu, słyszeliśmy się tylko raz. Rozmowa nie bardzo się nam kleiła. Czyli wszystko było w normie. Zapowiadał, że nieprędko przyjedzie. Pewnie za kolejnych czterdzieści lat. To też nic nowego.

Zastanawiałem się, dlaczego w ogóle zająłem się tą sprawą i przez dłuższą chwilę bawiłem się w samotnego detektywa w prochowcu. Chyba jakoś tak nazwała mnie mała Pocahontas. Być może nie ruszyłbym tego, gdyby nie list od matki, który Joseph przysłał wraz ze swoim. Czy wypełniłem jej ostatnią wolę? Tego nie wiem. Niewykluczone, że na tym polega wskrzeszenie umarłych. Na krótką

chwile przywracamy ich naszymi gestami do życia. Może właśnie dlatego nie jestem jeszcze na emeryturze. Łapanie morderców nikogo nie może wskrzesić, ale chociaż na moment wyrównuje szale na wadze.

Zadzwoił do mnie młody. Nie spodziewałem się jego telefonu, ale nie dałem znać po sobie, że się cieszę. W wakacje chciał przyjechać na tydzień do Katowic i odwiedzić starych znajomych. Tak powiedział. Ciekawe, ile upłynie czasu, zanim się pokłócimy. Nigdy nie zrozumie tej rezerwy i niechęci, którą młody czuje do mnie. Potrafiłem zrozumieć motywy działania różnej maści psychopatów, a nie rozumiałem własnego syna. Z kolei ja zadzwoniłem do gotyckiej Jolki. Nie czuła się najlepiej. Powiedziała, bym następnym razem, gdy się umówimy, lepiej się ubrał, bo stolica to stolica. Wspomniała też, że ma kilka nowych okazów złowionych na Okęciu.

Kupiłem kilka piw raciborskich, zapakowałem je w karton i wysłałem pewnemu radnemu z Sandomierza. Na pewno znajdzie chętnych do towarzystwa.

Któregoś wieczoru słuchałem bluesów z Delty. Tego dnia stałem się lżejszy prawie o kilogram. Oddałem glocka do zbrojowni. Potem postanowiłem uzupełnić płyny. Po drugim piwie coś we mnie pękło. A może muzyka to sprawiła. Znów wracałem do świata duchów. Odszukałem numer do Alicji Solskiej. Przyciszyłem wzmacniacz. Długo ważyłem telefon w dłoni. Nie wiedziałem, co chcę jej powiedzieć, ale tym razem sama wybawiła mnie z kłopotu. Usłyszałem wiadomość nagraną przez małą Pocahontas, w której poinformowała mnie, że przebywa na dwutygodniowym urlopie. Wzruszyłem ramionami. Podszedłem do lodówki. Ten, który

przegrał zakład, stawiał piwo temu, który wygrał. Pociągnąłem kilka konkretnych łyków.

Spojrzałem na telefon.

Nie teraz, to innym razem. Mam czas.

Od autora

O związkach między powieścią kryminalną i futbolem można by rozprawiać godzinami. Zarówno kryminał, jak i piłka nożna są poniekąd wytworami XIX-wiecznej urbanizacji i industrializacji. Nie jest też przypadkiem, że klasyczna powieść detektywistyczna oraz mecze piłkarskie przywodzą na myśl Anglię, gdzie procesy rozwoju miast dokonywały się w modelowej wręcz postaci. I kryminał, i zmagania futbolowe mają strukturę zamkniętą: w obu wypadkach *finis coronat opus*. I wreszcie tak powieść kryminalna, jak i futbol należą do zjawisk z obszaru kultury fanowskiej. Z niezrozumiałych (do końca) powodów ludzie trawią tak cenny dziś czas na czynnościach zupełnie nieproduktywnych: przewracają kartki książki, by dowiedzieć się, kto zabił, i z wielkim zainteresowaniem śledzą rywalizację Realu Madryt z Barceloną. Niekiedy obie pasje udaje się połączyć, jak stało się w wypadku Manuela Vázquez Montalbàna i jego znakomitego kryminału *Środkowy napastnik zginie o zmierzchu*. Sam także nie jestem wolny od piłkarskich fascynacji: *Zanim znowu zabiję* do tychże w jakiś sposób nawiązuje.

Lubię – to dalszy ciąg fanowskich zwierzeń – czytać kryminały napisane w pierwszej osobie, gdy uwaga nieustannie koncentruje się

wokół bohatera, gdy nie tracimy go ani na chwilę z pola widzenia, a świat chłoniemy jego zmysłami. Być może jest tak, że bohater, z którym czujemy mocną więź, rozwiązuje sprawy niejako w naszym imieniu. Ten szczególny typ uczestnictwa *per procura* jest charakterystyczny także dla współczesnych doświadczeń sportowych, gdy kibicujemy tym, którzy zmagają się w naszym zastępstwie. Mógłbym zatem wymienić wiele powodów, które sprawiły, że *Zanim znowu zabiję* jest opowieścią w pierwszej osobie; pośród nich kwestie czytelniczego uczestniczenia w opisywanych zdarzeniach i owej więzi ze światem, pełniejsze w wypadku tak prowadzonej narracji, wydały mi się szczególnie ważne. Ponieważ pisałem powieść, nie zaś kronikę historyczną, pozwoliłem sobie na pewną kompresję czasu (przesunąłem zatem o dobrych kilkanaście dni kulminacyjną falę powodziową w Sandomierzu; „Kubę Rozpruwacza z Lizbony” schwytano później, niż dzieje się akcja powieści, prawdą jest natomiast, że zdradził go pisany przezeń pamiętnik). Z podobną swobodą potraktowałem kilka szczegółów topograficznych, starając się pamiętać o zasadzie prawdopodobieństwa przedstawianych zdarzeń – zasadzie, która jest, jak sądzę, jednym z fundamentów powieści kryminalnej.

I wreszcie nadszedł czas na najprzyjemniejszą część tej noty. Książka ta nie powstałaby bez pomocy wielu osób. Szczególne podziękowania niechaj przyjmą doktor Jakub Trnka – znakomity medyk sądowy z Wrocławia – oraz doktor Robert Krawczyk – również świetny nefrolog z Ostrowa Wielkopolskiego. Obaj służyli doświadczeniem i radami, z cierpliwością oraz – co szczególnie godne podkreślenia – wyczuciem literackim, podsuwając mi

rozmaite rozwiązania fabularne. Najszczerze podziękowania należą się Wiesławowi Sikorskiemu – człowiekowi niepospolitych talentów, posiadającemu dar opowiadania zajmujących historii. Bez jego opowieści Heinz i Kastoriadis nie trafiliby nocą do pewnego wulkanizatora... O spożywaniu orzeszków z baru opowiedział mi z kolei *sensei* Włodzimierz Kwieciński, twórca potęgi polskiego karate tradycyjnego. Niezawodną pomocą dotyczącą spraw Śląska służyła mi doktor Elżbieta Anna Sekuła – socjolożka i kulturoznawczyni z Warszawy. Marek Krajewski znalazł czas, by przeczytać *Zanim znowu zabiję* między studiowaniem pism Tarskiego i Wittgensteina, a z jego analitycznych uwag skwapliwie skorzystałem. Nazwa zespołu Rudolfa Heinza to ukłon w kierunku pewnej powieści Lee Childa. Opowieść o dwóch buddyjskich mnichach przytaczam za książką Johna Stevensa *Trzej mistrzowie budo*. Szczególne podziękowania kieruję w stronę redaktorów tej książki: Anny Kubiak oraz Filipa Modrzejewskiego. Ich czujność pozwoliła uniknąć wielu błędów, rozmowy z Filipem zaś inspirowały do rozważań nad ważkimi kwestiami (tak to się zwykle ujmuje) warsztatu pisarskiego.

By zacytować klasyka, kłopoty to moja specjalność. Za wszelkie błędy odpowiada więc autor, mając nadzieję, że czytelnicy nie pokażą mu czerwonej kartki.

Mariusz Czubaj

Redaktor serii: Filip Modrzejewski
Redakcja: Anna Kubiak
Korekta: Małgorzata Kuśnierz, Joanna Habiera
Redakcja techniczna: Izabela Gołaszewska
Projekt okładki i stron tytułowych: Piotr Grabowski
Logo serii: Marek Goebel
Zdjęcia wykorzystane na pierwszej stronie okładki:
© Jacek Adam Modrzejewski
Fotografia autora: © Aleksandra Litorowicz
Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka
Piaseczno, Żółkiewskiego 7A
Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
wab.com.pl
ISBN 978-83-7747-392-4

¹Czarny Kraj (fr.).

² *Musi być stąd jakieś wyjście, powiedział błazen do łotrzyka (ang.).*